

GEORGE J. FLEMMING

CZYM TO SIĘ JE ?

CZYLI DOBRE RADY
DLA REEMIGRANTÓW I TURYSTÓW

INSTYTUT

PARYŻ

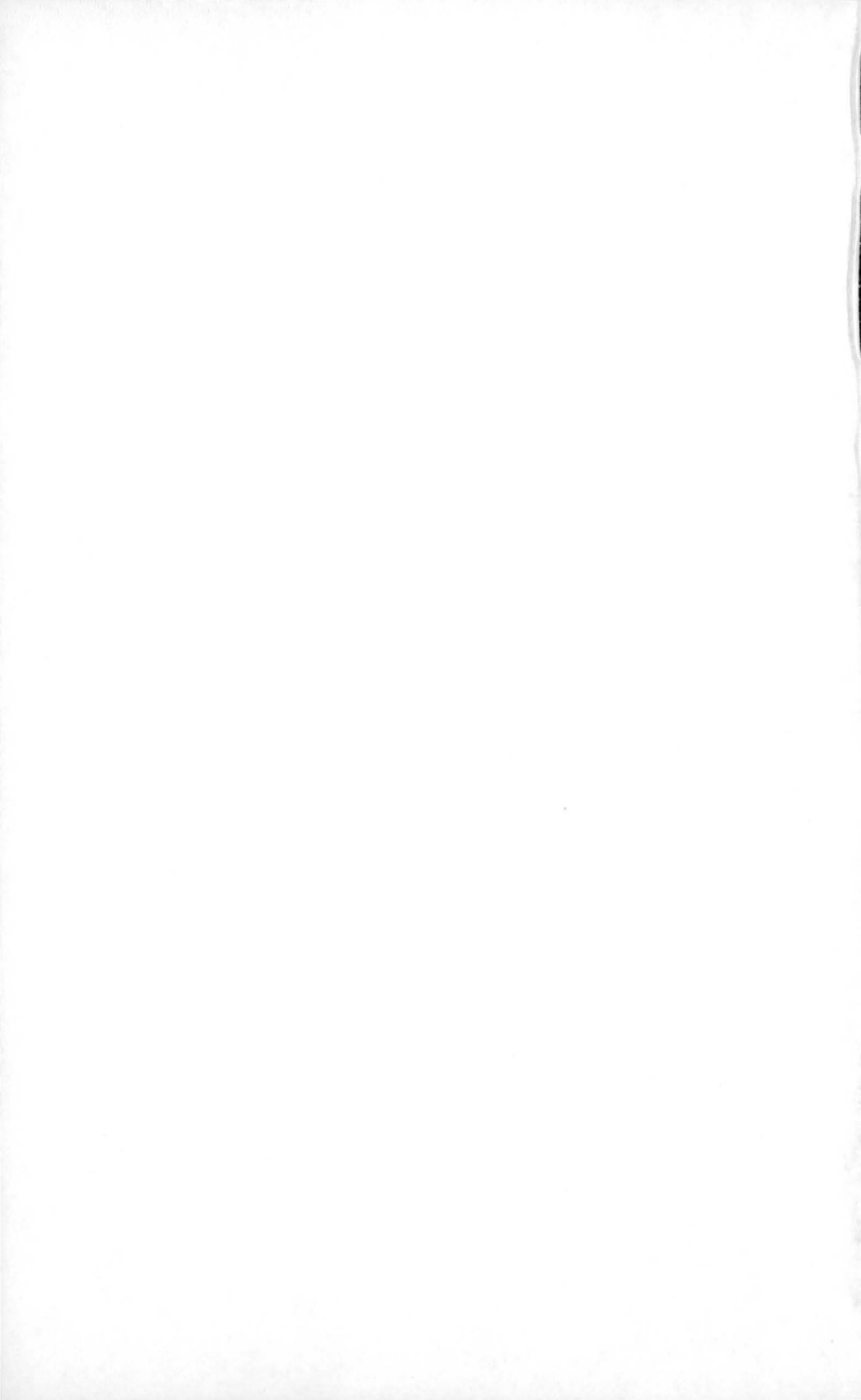


LITERACKI

1966

F.W. 25347

π 380.046; π 457.9104



CZYM TO SIĘ JE ?

BIBLIOTEKA « KULTURY »
TOM CXXXVII

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par MAISONS-LAFFITTE (Yvelines)

GEORGE J. FLEMMING

CZYM TO SIĘ JE ?

CZYLI DOBRE RADY
DLA REEMIGRANTÓW I TURYSTÓW

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1966

TEGOŻ AUTORA
W BIBLIOTECE « KULTURY »

Polska mało znana, 1966.

W S T Ę P

Prasa na szerokim świecie codziennie donosi o różnych wydarzeniach w Polsce: a to postawiono przed sądem paru pisarzy, a to znów obrzydza się życie kardynałowi, czy też jeszcze jakieś inne nieszczęście — wszystko to mające udowodnić jak straszne, niesprawiedliwe i niemożliwe jest życie za żelazną kurtyną, pod panowaniem czerwonego totalitaryzmu.

Prasa na szerokim świecie codziennie donosi o nieludzkich warunkach mieszkaniowych, o brakach żywnościowych, o tym, że partia to, że „nowa klasa” tamto, że brak demokracji...

Ale w Polsce i w innych krajach „demokracji ludowej” żyje kilkadziesiąt milionów ludzi — i jakoś żyją, mieszkają, jedzą, piją, ubierają się, ba nawet bawią i podróżują. Pytanie jest więc: jak to jest, jak to wygląda, czym to się je?!

Od czasów pałacowej rewolucji w październiku 1956 roku, minęło już dziesięć lat, i niejedyn Polak zamieszkały zagranicą zdecydował się wrócić do kraju (nie liczymy coraz liczniejszych turystów z nowej i starej emigracji) i spróbować żyć tam w, podobno, nowej sytuacji. Ale ponieważ taki jegomość robił to na podstawie nie zawsze dokładnego rozeznania i bez gruntownej wiedzy — przyszedłem do przekonania, że na rynku książkowym świata brak jest — odczuwa się to nawet boleśnie — odpowiedniego vademecum, czyli dobrych rad dla ewentualnych reemigrantów. Taka książeczka może się stać nawet swego rodzaju podręcznikiem dla dewizowych rodaków przyjeżdżających na krótki pobyt do kraju swych ojców. Co więcej, również i cudzoziemcy mogą chyba znaleźć pewne wskazówki, bo czy to wiadomo, czy na przykład Nowa Zelandia nie zdecyduje kiedyś w wolnych i demokratycznych wyborach, że od zaraz zostaje demokracją ludową z twardym zamiarem budowania socjalizmu. Wtedy

niniejsza książeczka może stać nieocenionym kompendium na przyszłość.

I tak oto powstała myśl uzupełnienia tej luki.

Może się zdarzyć, że wielu potencjalnych reemigrantów po przeczytaniu następnych stron, zrezygnuje z osiedlenia się w tym kraju, przynajmniej do czasu jakichś poważniejszych zmian w rządzie, a może i ustroju — ale na to nie mogę nic poradzić: mnie przyświecał jeden tylko cel — prawda, tylko prawda, i nic innego jak prawda.

Prasa na świecie donosi, że życie jest tam niemożliwe — a ja jestem zdania, że gdzie w końcu żyje kilkadziesiąt milionów ludzi, musiały się wytworzyć jakieś sposoby, jakiś *modus vivendi*, ludzkie przetrwalniki, dobór naturalny, przystosowanie, mimikra i tyle innych rzeczy, o których słyszeliśmy we wczesnych latach gimnazjalnych na lekcjach przyrody. Bo człowiek jest, jak wiadomo, zależnie od tego gdzie: koroną stworzenia, kontynuacją małpy, najwyżej ukonstytuowanym ssakiem, i w ogóle „brzmi dumnie”. Przy takim wyborze i różnorodności, nic dziwnego, że trudno go zniszczyć, zawsze znajdzie sposoby, by przeżyć, przetrwać w formie albo korony stworzenia, albo darwinowskiej małpy.

Jednym z kamieni węgielnych realizmu socjalistycznego było — a w Rosji jest jeszcze do dziś — ukazywanie podstawowej roli partii w tworzeniu nowego życia. Postawiłem sobie za cel nie odstępowanie od tego wzoru, i chociaż w moim poradniku partia jako taka będzie mało widoczna — to jednak rezultaty jej nieustannej, czujnej pracy są podstawą i zasadą niniejszego dziełka. Więcej — bez udziału partii, bez jej wkładu w najnowszą historię Polski, powstanie tej książki byłoby niemożliwe. Należy się więc tej partii wdzięczność, uznanie — i nawet wahałem się przez moment, czy nie zadedykować tej książki Gomułce, ale wydaje mi się, że byłoby to kontynuowaniem kultu jednostki, tak niezgodnego z czystym marksizmem-leninizmem. I znacznie słuszniejsze — politycznie słuszniejsze — byłoby zadedykowanie jej szarym masom partyjnym drobnych instruktorów, sekretarzy powiatowych, pracujących u podstaw władzy ludowej.

Ale we mnie, jak to kiedyś słusznie mi wytknięto, pozostały przeżytki kapitalizmu, burżuazyjnego myślenia, ba nawet zgniłego liberalizmu typu zachodnio-europejskiego — i w związku z tym jeżeli jakakolwiek dedykacja jest tej książki potrzebna: poświęcam ją zwykłemu obywatelowi Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, który mimo wszystko, przez lat dwadzieścia, potrafił przeżyć i, co więcej, nawet wypracować na użytek swój i innych, metody o wartości niepowtarzalnej, a skuteczne.

Jak wiadomo do życia potrzebne jest wiele rzeczy, takich jak pieniądze, praca, mieszkanie, przyjemności i rozrywki — ale cokolwiek by się nie powiedziało, przy każdym podejściu do zagadnień samego życia, sprawą pierwszą jest: mieć gdzie postawić łóżko, stół, parę krzeseł i szafę na ubrania, jeśli się je ma.

Toteż zgodnie z hierarchią potrzeb postanowiłem zacząć mój poradnik tak:

R o z d z i a ł I

JAK ZDOBYĆ MIESZKANIE!

Moim zamierzeniem nie jest napisanie pracy naukowej, lecz raczej popularyzatorskiej, toteż nie znajdzie tu czytelnik podziału na metodycznie zorganizowane wskazówki. Choć metod jest wiele, to jednak będę się starał operować przykładami, jako sposobem najłatwiej przemawiającym do wyobraźni i lekko przyswajalnym dla osób nieobeznanych z życiem w demokracji (ludowej) — a takie osoby będą głównie czytelnikami myśli i prawd zawartych w niniejszym dziele.

A więc metod jest wiele, zależnie od tego kim się jest, gdzie się chce mieszkać, czy i ile ma się pieniędzy, jakie ma się znajomości. Również kandydat na posiadacza mieszkania musi się zdecydować, o jakie mieszkanie mu chodzi. Nie mówię tu o tym jak obszerne, bo te sprawy zostały zdecydowane mimo niego przez władze ustalające z dokładnością zdumiewającą, ile metrów kwadratowych ma usatysfakcjonować obywatela. Mówię tu o typie mieszkania, a więc: domek własny, mieszkanie spółdzielcze własnościowe, spółdzielcze lokatorskie, mieszkanie z przydziału, czyli z kwaterunku, mieszkanie służbowe. Inną sprawą jest powzięcie nieugiętej decyzji: gdzie, w jakim mieście, chce się to mieszkanie uzyskać.

W powyższych warunkach metody postępowania są i powinny być następujące:

Jeśli jest się mieszkańcem wsi lub miasteczka, a marzeniem życia i celem jedynym jest zamieszkanie w stolicy, to albo posiada się zawód, który uprawnia do starania się o przeniesienie służbowe do miasta marzeń — i wtedy otrzymuje się mieszkanie służbowe, albo z przydziału kwaterunkowego, albo jeśli się za-

woду nie ma, załatwia się te sprawy zgodnie z własną pomysłością lub sytuacją finansową.

A więc znam małżeństwo z Sokołowa Podlaskiego, które nie mając pieniędzy na kupno mieszkania, ani widoków na przeniesienie służbowe, zdecydowało się na uaktywnienie zawodowe pani domu w profesji pielęgniarki. Pielęgniarek, jak wiadomo, nigdy dość, a więc o posadę w szpitalu miejskim numer cztery — dawniej Przemienienia Pańskiego — nie było trudno, i małżeństwo dostało mieszkanie na podstawie niezbędności pani domu, która po odpowiednim czasie porzuciła umiłowany zawód i zajęła się dziećmi, które już teraz mogą wzrastać w atmosferze wielkomiejskiej, o co przecież od początku chodziło.

Inna pani zdołała namówić poważną instytucję stołeczną do zakupienia jej skromnego domku w Zakopanem, przy czym w kontrakcie obok odpowiedniej sumy pieniędzy, znalazła się klauzula przyrzekająca skromne mieszkanie kwaterekowe w jednej z warszawskich dzielnic mieszkaniowych.

Ale nie każdy ma domek w Zakopanem, toteż pewne wiekowe małżeństwo zmęczone dojazdami do kina czy teatru, nie mówiąc o codziennych zakupach — postanowiło drogą dłuższą, ale jakże skuteczną, jak się to okaże — dojść do mieszkania spółdzielczego, i to możliwie blisko umiłowanego centrum. A więc posiadany pokój z kuchnią udało się zamienić bez żadnych dopłat na mały domek poza granicami miasta, tzn. Wielkiej Warszawy, ale w okolicy, o której wiadomo — im — było, że wkrótce zostanie włączona do obszaru miejskiego. Tu drobne wyjaśnienie: miejscowość włączona, to od razu nie małe korzyści, choćby takie jak natychmiastowy skok wartości posiadanej nieruchomości kilkakrotnie, ponieważ zamieszkanie w granicach miasta daje automatycznie prawo do zameldowania, a więc i prawo do pracy. Poczekają więc małżeństwo mało-wiele, aż dalekie przedmieście włączono do stolicy, a wtedy domek łatwo znalazł chętnych, którzy w zamian dali własnościowe mieszkanie w śródmieściu, skąd już blisko i do sklepów przyzwoitych, i do kina i do teatru.

Jest rzeczą jasną, że takie postępowanie wymaga wiele cierpliwości, samozaparć i deptania po urzędach właściwych dla takiej transakcji. Trzeba czasem przedstawić zaświadczenia lekarskie, że wskazane jest zamieszkanie w okolicy lasów i pól — póki stara się o zamianę na przedmieście, a zupełnie innego zaświadczenia — że na przykład serce wymaga mieszkania w takiej bliskości centrum, która wyklucza podróż środkami komunikacji miejskiej. Rzecz jest o tyle prosta, że takie zaświadczenie, dla celu tak zbożnego jak zdobycie mieszkania, wyda każdy lekarz

mający zrozumienie dla największego nieszczęścia: braku odpowiedniego dachu nad głową. A po drugie, w obu wypadkach zaświadczenia i tak przedstawi się w zupełnie innych kwaterunkach dzielnicowych — a więc spotkać się takie papierki nie mogą! Takie są błogosławieństwa decentralizacji, o którąśmy tyle lat walczyli!

Jest w kraju pewna instytucja nie znana z pewnością żyjącym w świecie kapitalistycznego ucisku masom pracującym. Tą instytucją jest Biuro Wymiany Mieszkań przy odpowiedniej terenowo radzie narodowej. Rzecz zdawałoby się nie nowa, bo przecież na całym świecie istnieje takie miejsce, gdzie przychodzi się i załatwia mieszkanie, co nawet popularnie nazywa się pośrednikiem mieszkaniowym, lub jakoś bardziej uroczyście, zależnie od tego, jakie ma obroty i czym dysponuje. Takie biuro zamiany mieszkań w kraju budującym socjalizm powinno być instytucją olbrzymią zważywszy, że nawet jeśli są pośrednicy prywatni, to z uwagi na kosztowność ich usług, znikoma część ludności może z tych usług skorzystać. Natomiast urząd miejski służący wszystkim, jest zdobyczą świata pracy w nowym i postępowym ustroju. Ale postępowość tam posunął się w kierunku takim, jak cały postęp w ogóle. Otóż takie biuro istnieje po to — wyłącznie po to — by tam przyjść, powiedzieć, że chce się zamienić mieszkanie, podać adres chętnego do wymiany innego obywatela, udowodnić po co i dlaczego chce się zamiany, — po czym udowodnić jeszcze, że mieszkanie własne jest identyczne z tym pożądanym, że też ma gaz, łazienkę, kuchnię i centralne ogrzewanie — bo jeśli nie — to trzeba dopłacić za zyskiwane dobrodziejstwa cywilizacji. Czy temu, co tych dóbr się wyrzeka? Ależ skąd — oczywiście biuro wymiany mieszkań! Poza tym do tejże instytucji wnosi się opłatę zależną od wielkości wymienianego mieszkania za zezwolenie o dokonanie takowej — i wtedy już można czekać z niepokojem na decyzję. Bo trzeba dodać, że decyzja mimo wszelkich logicznych i innych przesłanek wcale nie musi być korzystna dla petentów. Znam wypadki, w których odmówiono zamiany identycznych mieszkań w tym samym domu, między lokatorami z parteru i szóstego piętra — co potrzebne było temu z szóstego jako choremu na anginę pectoris, co przy często psującej się windzie uniemożliwiało mu mieszkanie we własnym lokalu w sposób ciągły. Znam wypadki, kiedy w jak najbardziej uzasadnionych sprawach, przy zgodzie obu stron i wniesieniu koniecznych opłat — zwyczajnie odmówiono, a sprawa się wlokła poprzez komisje odwoławcze, kolegia, aż do Ministerstwa Gospodarki Komunalnej, i wreszcie zawędrowała do biura skarg przy Radzie Państwa — skąd odbyła powrotną drogę przez wszystkie

wymienione instancje, aż do biura wymiany, które niezadowolone z wysokiej interwencji i stawiania się bezczelnych petentów — odmówiło jeszcze raz, nie znajdując podstaw do załatwienia przychylnego. Czy trzeba dodawać, że biuro to mimo pobieranych wysokich opłat sięgających nieraz kilku tysięcy złotych za dokonanie, a dokładniej za zgodę na wymianę, nie robi samo nic, bo wszystkie, ale to absolutnie wszystkie dokumenty, papierki, zaświadczenia muszą strony zainteresowane zdobyć własnym przemyśleniem i na własny koszt, niezależny od opłat manipulacyjnych dokonanych w wymienionym biurze.

Czy rozumiesz, czytelniku, przez jakie piekło musieli przejść ci uparci ludzie, którzy w ciągu kilku lat przeprowadzili dwie zamiany i to w trzech dzielnicowych radach narodowych?

Wiadomo powszechnie, że willa zawierająca kilka mieszkań zajętych jest warta tyle co nic — może pójść za psie pieniądze. Natomiast willa, w której jest wolne mieszkanie — to już majątek. W takim wypadku można ją korzystnie sprzedać i to natychmiast. Tu, metoda następna. Kupuje się za psie pieniądze willę bez mieszkania wolnego, a następnie występuje do dzielnicowego architekta o pozwolenie nadbudowania piętra, co w końcu można załatwić. Nadbudowuje się rzeczzone piętro — i wtedy można willę sprzedać za ciężkie pieniądze i albo rozpocząć podobną akcję od nowa w innym miejscu, albo kupić sobie mieszkanie, jakie się chce — bo pieniędzy już starczy. Nadbudowę można załatwić sposobem gospodarczym przy pomocy rzemieślników pracujących na fuchę w soboty i niedziele, a i samemu ręki przyłożyć. Trzeba może dodać, że także i mieszkanie w stanie surowym, a więc wcale niewykończone, natychmiast znajdzie nabywcę na tyle zasobnego, by odpowiednią sumę wyłożył bez dłuższych wahań i grymaszeń.

Są naturalne metody zdobycia lokalu całkiem proste, jak zapisanie się do spółdzielni i czekanie przez lat pięć czy sześć na wybudowanie domu, chociaż zapłaciło się za mieszkanie sumy niebrzydkie już przy zapisie. Ale to są metody dla frajerów. Choć trzeba powiedzieć gwoli prawdzie, że takich frajerów — nie z własnej winy — jest jednak znaczna większość.

Chytrzy a przewidujący rodzice zapisują dzieci do spółdzielni mieszkaniowej już wkrótce po ich urodzeniu, bo kiedy dorosną, będzie jak znalazł — mieszkanie gotowe, chyba że nastąpią jakieś nieprzewidziane opóźnienia w planach budowlanych, albo z przyczyn braku cementu, albo rur, albo drewna na ramy okienne.

Najlepiej jest oczywiście mieć pieniądze, bo forsa jak wiadomo to grunt, a na tym buduje się domy. Na zakopiańskich Kru-pówkach zaczęła mnie kiedyś znajoma gaździna, u której nie

jeden taternicki sezon przemieszkalem. — Powiedzcie, panie, bo to przecież w Warszawie mieszkacie. Mój syn, wicie ten starsy, co to geologią w Krakowie ukończył, nie fce w Zakopanem żyć, ba we Warszawie. Jako to zrobić?!

Wdałem się w wyjaśnienia, że co geolog ma do roboty w stolicy poza jakąś wątlą posadą w biurze, nie wiedząc, że gaździna ma inne kłopoty. Tłumaczyłem, że zameldowanie nie jest łatwe, chyba, że ma się willę własną, bo nawet do spółdzielni nie przyjmą kogoś, kto nie jest stałym mieszkańcem. — To wicie, panie, przerwała gaździna, takem se i myślała, a na domek to chwala Bogu jakoś się dudki naskładało. — No i mieszka potomek starożytnego rodu Gąsieniców we własnym domku na Żoliborzu.

Rzeczą niezłą jest popracować przez parę lat w wytwórni domków prefabrykowanych produkowanych wyłącznie na eksport, bo wtedy przez okazję po znajomości, bo się jest „w środku”, można kupić komplet prefabrykatów i postawić sobie chałupę własną pracą i tanim kosztem, a na taki cel można nawet na miejskich terenach dostać plac w wieczystą dzierżawę. Znow za psi pieniądz.

Czasem znow miasto zamierza wybudować coś gigantycznego, na przykład nową rzeźnię na dalekim przedmieściu, w związku z czym trzeba wysiedlić kilkadziesiąt chałup. Wtedy albo płaci się właścicielom odszkodowanie, albo oferuje wybudowane przez miasto domki w stanie surowym. Jeżeli dotychczasowi mieszkańcy — jak to zazwyczaj bywa — wybierają odszkodowanie: miasto ma pędziesiąt domków na sprzedaż po cenie urzędowej, a więc śmiesznie niskiej w porównaniu z cenami na wolnym rynku, a wtedy jeśli się ma pieniądze, kupuje się taki domek za pół darmo. I już się mieszka.

Jest zasadą, że mieszkańcy domów przeznaczonych na rozbiórkę otrzymują mieszkania zastępcze, przydzielane przez miejski kwaterek. Taka okazja musiała otworzyć szeroko drzwi możliwości mieszkaniowych intelektualistów. Sprawdzano w planach biura naczelnego architekta, jakie ma zamiary ta instytucja na najbliższą przyszłość i wprowadzano się do ruiny na rok czy mniej przed zamierzoną rozbiórką. A wtedy bez żadnych trudów i kłopotów otrzymywało się mieszkanie. Zamiar budowy warszawskiego Pałacu Kultury, był znany nielicznym zainteresowanym już na kilka miesięcy wcześniej, toteż osiemdziesiąt domów, które miały paść ofiarą projektu — zaroilo się mieszkańcami, z których każdy w odpowiednim czasie otrzymał odpowiednie mieszkanie. Ale niestety nic nie trwa wiecznie. Państwo i władze miejskie zwąchały całą sprawę, i wprowadzono zarządzenia, że kto wprowadzi się do domu przeznaczanego na rozbiórkę na mniej niż pół roku przed nią — mieszkania zastępczego nie dostanie, lecz

zostanie zwyczajnie i po prostu wykwaterowany. Dziś nawet w bramach i na ścianach takich domów wiszą ostrzeżenia, których umieszczenie na widocznym miejscu zwalnia władze od odpowiedzialności za przydział mieszkania zastępczego.

Wszystko to nie znaczy, że skończyła się era kombinacji i nie przewidzianych przez zarządzenia możliwości.

W Nowej Hucie, wśród trzystumetrowych, pięciopiętrowych domów, na zieleńcu *in spe*, stoi zwykła drewniana strzechą kryta chałupa. W tej chałupie mieszka stary chłop, ostatni okaz swego gatunku, ostatni mieszkaniec wsi Mogiła. I nie ma praworządniego sposobu na wykwaterowanie go, bo przepisy mówią, że nie wolno rozebrać domu mieszkalnego, jeżeli na jego miejscu nie ma powstać inny dom przeznaczony do takiego celu. Chłop mieszka na terenie przeznaczonym na zieleńiec, i chociaż nie ma ani wody bieżącej, ani kanalizacji, ani gazu, ani światła — wziął na przetrzymanie z krakowską radą narodową, która zresztą na pewno go przeżyje. A rodzina tego chłopca mieszka już w nowych blokach i ogląda swego przodka z okien czwartego piętra swego bloku! Bywa i tak, jeśli ktoś jest za bardzo przywiązany do swej chałupy.

Po tej dygresji przejdźmy do metod następnych załatwiania sobie odpowiedniego mieszkania.

A więc jeszcze raz zajmijmy się ludźmi, którzy dysponują pieniędzmi. Takim jest dobrze: gazety codzienne, zwłaszcza w niedziele przynoszą całe strony ogłoszeń oferujących na sprzedaż mieszkania spółdzielcze, domki jednorodzinne, wille, place, zamiany — a dziesiątki prywatnych pośredników oferują za odpowiednią, wcale nie niską opłatą, mieszkania kwaterunkowe po cenie, jak się to mówi, „kosztów remontu”. Kwaterunki dzielnicowe są rozdawcami mieszkań praktycznie bezpłatnych, ale w tym celu albo należy być nędzarzem, by na taki przydział zasłużyć, albo mieć polecenie od osób godnych zaufania i niebagatelną sumę pieniędzy, by za pomocą łapówki mieszkanie takie uzyskać. Ponieważ dawni kierownicy kwaterunków zaludniają cele państwowych więzień — utworzono siedmioosobowe komisje przydziału. Z jednym rezultatem: wysokość opłaty podskoczyła z dziesięciu tysięcy do czterdziestu i więcej, bo trzeba całą komisję teraz opłacić zamiast jak przedtem pojedynczego faceta. Kogalność zarządzania ma jak widać swoje złe strony i dla klienta i dla organizatorów.

Na fali popaździernikowej reprivatyzacji zwrócono właścicielom domy mające po cztery, sześć, czy nawet osiem mieszkań, jako absolutnie nieopłacalne dla administracji miejskiej. Ten fakt

dodał bodźca pomysłowości. Jeżeli jest się więc właścicielem domu o na przykład czterech mieszkaniach, można postarać się o zamianę, przy pomocy odpowiednich opłat ze strony lokatorów, jednej własności na cztery własności hipoteczne — ku ogólnemu zadowoleniu, bo każde mieszkanie będzie wtedy stanowiło zamkniętą całość jak domek jednorodzinny, a więc wyłączony spod kwaterunku i nie obciążony obowiązkiem stosowania się do przepisów o metrażu. A właściciel zwolniony od ciężaru posiadania domu niedochodowego (w takich domach obowiązują stawki państwowe czyli zupełnie dla prywatnego właściciela nierealne, bo nawet niepokrywające kosztów administracyjnych) zarabia na tym interesie wystarczającą sumę, by kupić sobie naprawdę coś własnego, albo zacząć jakiś prywatny *business* z posiadanym kapitałem.

Rzeczą niezwykle korzystną jest posiadanie albo rodziny za granicą, albo posiadanie możliwości wysłania się za granicę samemu na jakąkolwiek placówkę, czy pracę, bo wtedy ma się nareszcie dostęp do dewiz, czyli twardej waluty, która kupuje w Polsce najlepsze mieszkania, najbardziej luksusowe domy i wille po cenach, liczonych w dolarach, niezwykle przystępnych. Takich szczęściarzy jest jednak stosunkowo niewielu, bo albo rodzina jest skąpa i nie ma zrozumienia, albo nie ma się możliwości wysłania za granicę.

Osobny rozdział stanowią właściciele, najlepiej przedwojennych mieszkań spółdzielczych własnościowych. Znajomy mój starszy już pan, posiadacz czteropokojowego mieszkania na Żoliborzu, wymyślił rzecz oszałamiającą w swej prostocie. Podzielił swoje mieszkanie o dwu wejściach — na dwa mieszkania, przy czym dwa pokoje z kuchnią i łazienką sprzedał jako osobne mieszkanie spółdzielcze własnościowe za paręset tysięcy — drugie zostawił swemu świeżo ożenionemu synowi, a sam dysponując nie najgorszą jak na ceny prowincjonalne emeryturą, wyniósł się do znakomitej, choć taniej, miejscowości uzdrowskiej nabywając tam niewielki domek za pieniądze uzyskane ze sprzedaży połowy swego dawnego mieszkania. Można by powiedzieć: dziel i żyj.

Przepisy kwaterunkowe przewidują twardo siedem albo dziewięć metrów kwadratowych na osobę, dodajmy pracującą, bo już dzieci, albo emeryci nie liczą się jako pełnoprawni użytkownicy — ale znów od czego pomysłowość. W każdym przepisie istnieją furtki, luki. Toteż jeżeli się jest pracownikiem twórczym: malarzem, architektem, pisarzem, kompozytorem, dziennikarzem — dostaje się metraż dodatkowy najczęściej w postaci osobnego pokoju „do pracy”, do czego oczywiście potrzebne jest jakieś tam zaświadczenie ze związku twórczego, albo miejsca pracy.

Podobnie, jeśli się jest projektantem czegokolwiek dla przemysłu, albo dużym dyrektorem, który i w domu nic nie robi — można dostać odgórne błogosławieństwo. To samo dotyczy prywatnie praktykujących lekarzy, ale już nie adwokatów, którzy mają przecież swe miejsca w zespołach, natomiast rzeźbiarzom daje śliczne możliwości nazwania czego tylko dusza zamarzy: *atelier*, pracownią czy studio. Czy mogą więc być rzeczy piękniejsze na tym świecie, niż małżeństwo architekta z dziennikarką, malarza z lekarką, lub dwojga plastyków uprawiających odrębne gatunki sztuki? Tak kombinując, a jeszcze mając do tego dzieci, można dojść wbrew kwaterunkowi — do, nawet, sześciu pokoi — choć w rodzinie normalnej, a nie utalentowanej, trzy pokoje mają obsłużyć rodziców i troje dzieci. Władze nie lubią jednak być szczodre, toteż niektórym wydało się podejrzanym, że coraz więcej ludzi zdobywa sobie prywatnymi pomysłami, a jednak *lege artis*, coraz większą przestrzeń życiową. Zaczęły się więc weryfikacje nadmetrażu i ograniczenia w jego przyznawaniu — tak że dziś na przykład tylko naczelni redaktorzy, sekretarze redakcji i w niektórych wypadkach kierownicy działów mogą za wiedzą i stowarzyszenia i redakcji, otrzymać zezwolenie na przywileje. Ale inne zawody twórcze trudniej przydusić, i zostaje, na razie, tak jak jest — do następnego zarządzenia.

Rozpowszechnione jest na Zachodzie mniemanie, że jeżeli się jest członkiem partii, to już jest się człowiekiem uprzywilejowanym. Nic z tych rzeczy. Chociaż nie wiem, czy dowodem nieudolności, troski o człowieka, czy wykładnikiem trudności mieszkaniowych należy tłumaczyć, że na zebraniach biura politycznego naszej ukochanej partii, jej wysoko politycznie wyrobieni członkowie zajmowali się nieraz sprawą znalezienia mieszkania dla jakiegoś dużego partyjnego kacyka — na co mam potwierdzenie z ust własnych jednego z wielkich członków owego rządzącego ciała. Przynależność partyjna może okazać się błogosławiona w skutkach w wypadku niezaspokojonej żądzy zagarniania coraz większej władzy, z czym kojarzy się posiadanie dla własnego i osobistego użytku na przykład dwóch albo — o Boże — trzech pokoi z kuchnią i łazienką. Jeżeli się jest małym partyjnym pionkiem w Mławie albo Mikołowie, to oddaniem się Sprawie, gorliwością, wznoszeniem okrzyków na cześć osób właściwych i we właściwym czasie — można z czasem dojść do mieszkania najpierw w mieście wojewódzkim, a potem — o rozkoszy — nawet może w stolicy.

To jest jednak droga niedostępna dla ludzi, którzy nie potrafią zapanować nad demonstrowaniem swych uczuć — i w związku z tym nie wstępują do partii. Takim ludziom, prostolinijnym,

pozostają tylko meandry niezawsze uczciwych dróg bezpartyjnych, wiodących do jednego celu — mieszkania.

Marzeniem każdego mieszkańca kraju między Odrą i Bugiem jest posiadanie na starość własnego kąta, możliwie przytulnego, najlepiej absolutnie własnego i niepodzielnego. Wielu ludzi pracowało na to całe życie odmawiając sobie wielu przyjemności, wyrzekając się niejednego, co życie ma do zaofiarowania, by w wyniku, po latach kilkunastu lub kilkudziesięciu — zależnie od zarobków i dyscypliny wewnętrznej — dorobić się chaty w wybranej z dawna małej cichej miejscowości u stóp Tatr, lub nad szarym Bałtykiem. Ale biada tym, którzy nie przewidzieli, że Polska Ludowa zajmie się z czasem rolnictwem na tyle, by dostarczyć każdemu chłopu nawozów sztucznych zgodnie z potrzebami. Gorzej, jeżeli nie przewidzieli, że nad modrą Wisłą w zacisznych Puławach, o krok od romantycznego Kazimierza, wybrane zostanie miejsce na budowę socjalizmu, chemicznego giganta. Jeszcze gorzej, jeżeli swój wymarzony domek postawili tam, gdzie zaplanowano wielkie osiedle bloków mieszkalnych dla budowniczych, a potem pracowników kombinatu. Bo tacy ludzie tracą swoje domki tonące w zieleni wypielęgnowanych ogrodów i muszą się przenieść do mieszkań zastępczych łaskawie ofiarowanych we wzniesionych na gruzach ich posiadłości, blokach. Od takich decyzji odwołania nie ma. Ich wina: trzeba było przewidzieć.

Jak widać z powyższego, ze wszystkiego, co się dotąd powiedziało, jeżeli się nie ma chodów, jeżeli się nie jest nędzarzem w wystarczającym stopniu, jeżeli się nie ma na karku głowy odpowiedniego formatu dla „wielkości przeżywanego czasu” — pozostaje wyjście tylko jedno — nie mieszkać.

Albo: mieć pieniądze.

A pieniądze można robić zawsze i wszędzie, nawet w ustroju zwanym socjalistycznym, na drodze do świetlanej przyszłości tak szczegółowo i z tak małym wycuciem rzeczywistości opisanej przez kudłatego Marksa i Engelsa.

Toteż w tym miejscu następuje:

R o z d z i a ł II

JAK ROBIĆ PIENIĄDZE (BEZ ZBYTNIJ PRACY I MOŻLIWIE LEGALNIE)

Jak powszechnie wiadomo obowiązujące w Polsce minimum zarobkowe, ustalone metodą sufitową (to znaczy wydumaną z sufitu) wynosi złotych polskich siedemset pięćdziesiąt, a statystyczny zarobek przeciętny około tysiąca pięćuset złotych. Łatwo przy tym zauważyć, że takie sumy nie pozwalają nawet umrzeć przyzwoicie, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że niewielki kawałek gruntu na cmentarzu kosztuje od kilku do kilkunastu tysięcy. W świetle powyższych faktów staje się jasne, że nikt przy zdrowych zmysłach będący, nie zda się całkowicie na łaskę i niełaskę oficjalnych dochodów, lecz musi wypracować własne metody, nie zawsze cieszące się uznaniem władz, ale mające niezwykle wartości dla przeżycia fizycznego.

Indywidualizm Polaków nie pozwolił na posługiwanie się stereotypami, i różnorodność metod zarobkowania jest nieskończona. Można powiedzieć, że jest ich tyle, ilu dorabiających obywateli, a fakt, że przez lat dwadzieścia budowania socjalizmu ludzie jakoś przeżyli — jest najlepszym dowodem skuteczności obranej ścieżki obok drogi.

Odrzucamy więc z niesmakiem wszelkie sugestie zaznajomienia czytelnika z pozornym obrazem świata, jaki obserwuje powierzchowny widz — jak to widać z nieskończonej liczby reportaży, artykułów i książek ukazujących się na Zachodzie — a zajmmy się sprawami głębszymi, prawdziwą treścią życia. Pozwoli to nam ustalić jak trzydzieści dwa miliony ludzi potrafiło się utrzymać przy życiu, wyglądać zdrowo i nawet się rozmnażać w chwilach wolnych od chałturzenia.

Sposobów zarabiania jest — jak się rzekło — nieskończoność.

I niezawsze jest to związane z zawodem stanowiącym podstawę dochodu, którego zadaniem jest opłacenie czynszu, światła, gazu, ogrzewania, telefonu, abonamentu za radio i telewizor — bo na więcej już nie starczy. Resztę, a więc codzienne utrzymanie, odzież jaką-taką i przyjemności należy zdobyć innymi sposobami.

Jeżeli się nie ma zawodu konkretnego, technicznego na przykład, który pozwala na dorabianie prawie bez ograniczeń — wtedy trzeba się uważnie rozejrzeć w najbliższym sąsiedztwie, a zawsze dobra okazja znajdzie się dla chętnego.

W powodzi wszelkiego rodzaju wystaw technicznych, handlowych, instruktażowych, rozwoju postępu i td. i td., dla człowieka energicznego zawsze znajdzie się miejsce przy opracowywaniu scenariuszy wystaw. W tym celu nie musi się umieć nic, wystarczy wiedzieć, jaki jest temat wystawy i ile metrów bieżących stoisk czy plansz ma ona zawierać. Taki scenariusz nie jest żadną pomocą dla plastyków wykonujących ją technicznie, bo kto by czytał takie bzdury, ale kosztorys wystawy przewiduje pewną sumę pieniędzy na wykonanie scenariusza — a o to przecież chodzi. Człowiek zręczny, towarzyski i pracowity, może takich scenariuszy wykonać dwa, lub cztery miesięcznie — co już jest zarobkiem niebrzydkim.

Państwo ma ambicje — a nawet przymus ideologiczny — przejmowania wszystkiego i wkraczania w każdą dziedzinę życia. Ten fakt otwiera niesłychane możliwości przed ludźmi mającymi głowę na właściwym miejscu. Jeżeli państwo ma pieniądze na wszystko, a co więcej chce być jedynym nauczycielem i instruktorem — to trzeba państwu pomóc. W tym celu jegomość, który nigdy w życiu nie widział jak się wierci studnię, zaczyna pod opieką właściwego ministerstwa wydawać powielany periodyk poświęcony temu, jakże ważnemu, zagadnieniu. O materiały przecież nie trudno, wystarczy zwrócić się do odpowiedniej katedry krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej, i ściągać ile się da, a właściwie za ile się da.

Znajomy uwieczniony przez Tyrmanda w „Złym” jako hrabia Lolo, trzyma w swoim mieszkaniu niewielką tokarnię i jednego pracownika i ta kombinacja pozwala mu wyrabiać medaliony z księżniczką Nefertete, albo ozdobne klamry do pasków — a dochód starcza na utrzymanie niedoszłej żony z dwojgiem dzieci, i jej rodziców, bieżącej żony i jej rodziców, oraz przyszłej żony — nie licząc kosztownego własnego trybu życia.

Okres stalinowski był mniej sprzyjający inicjatywie ludzi nie obdarzonych talentem, za to tacy potrafili rozwinąć skrzydła bardzo szeroko. Swego czasu, w tamtym okresie, Centralna Rada Związków Zawodowych miała własne wydawnictwo obsadzone

przez ludzi, którzy nie odróżniali linotypu od fortepianu, a jedynym ich zajęciem — według słów pewnego gentlemana — było przerzucanie wzajemnie do siebie woreczków ze złotem, i wszysko co należało zrobić, to wejść w odpowiednim momencie i taki woreczek w powietrzu przechwycić. Wydawnictwo to miało swój ambitny plan polityczno-wydawniczy i zapłaciło kiedyś ciężkie hopy za poemat o Stalinie liczący kilkaset wierszy druku. Sprawa skończyła się skandalem, ponieważ poemat został przez głodnawych młodych dwóch poetów ukończony w ciągu dwóch dni. To wydało się podejrzane nie tyle z przyczyn warsztatowo-zawodowych, ile uznano za obrazę Stalina. (Poemat o Generalisimisie w dwa dni? bez odpowiednich rekolekcji?).

Dziś niestety takich wydawnictw nie ma, i trzeba się ciężko napocić, by jakąś nędzną umowę załapać. I nie ma mowy o woreczkach ze złotem...

Oczywiście dla umysłów żywych pozostaje wiele dróg, by nie robić wiele, a jednak zarobić. Do tego celu dobrze jest zostać wędrownym autorem odczytów dla *Wiedzy Powszechnej*, dla *Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej* i podobnych, bo wtedy można bredzić byle co i na każdy zadany temat, i to bredzić po prowincjonalnych salach klubowych, świetlicach i bibliotekach à złotych pięćset za wieczór plus zwrot kosztów podróży i hotelu. Są w Polsce mistrzowie tego fachu, którzy potrafią wygłosić odczyt na pozornie tak odległe tematy jak na przykład: balet, astronomia, tajniki kuchni francuskiej czy najświeższe zdobycze biologii. Mówię „pozornie”, ponieważ sekretem jest umiejętność mówienia przez godzinę czy dwie, i nie powiedzenia nic, do czego ktokolwiek mógłby się przyczepić. To jest jednak zawód ginący od czasu, jak od każdego najmizerniejszego dziennikarzyni żąda się specjalizacji, i to popartej studiami.

Natomiast zawodem nie wymagającym żadnych kwalifikacji, nieźle płatnym i nie wymagającym zbyt wiele pracy, jest znalezienie się we władzach organizacji takich jak *Polski Komitet Obrońców Pokoju*, *Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej* czy polsko-innej, *Związek Kynologiczny*, *Związek Łowiecki*, *Związek Wędkarski* — choć te trzy ostatnie muszą być w jakimś sensie powołaniem. Będąc myśliwym można żyć — i to nawet nieźle — z polowania na wilki i dziki, na które nie ma okresu ochronnego, wziąć udział w wyprawie muzeum zoologicznego dla ustrzelenia za odpowiednią opłatą potrzebnych okazów, można towarzyszyć dewizowym myśliwym i oprócz zwierzyny ustrzelić trochę dolarów.

Jeśli zna się języki (klasowo) obce, można spędzić urlop jako przewodnik *Orbisu*, żyjąc i podróżując na koszt tej insty-

tucji, a może nawet zarobić na uznanie wycieczkowiczów zza granicy w dosłownym sensie tego słowa. Toteż, o turysto zagraniczny, patrz na takiego przewodnika jak na głodomora, a nie jak na asa wywiadu, i kryptokomunistę, co jest określeniem w Polsce pozbawionym znaczenia i zupełnie nieznanym, a brzmiącym egzotycznie.

Ludzie o mniejszej wyobraźni, albo o mniejszych możliwościach, przeważnie młode kobiety, przyjmują na sezon letni pracę nadetatowych kelnerek w miejscowościach wypoczynkowych, jadą jako opiekunki dzieci na kolonie i obozy harcerskie, panowie zostają strażnikami na plażach nad morzem i nad jeziorami, lub zostają instruktorami pływania. Taka sama wędrówka odbywa się w zimie w kierunku gór — i z podobnych przyczyn: spędzenia urlopu, możliwie długiego, połączonego z zarobkiem. Dodajmy, zarobkiem niewielkim.

Jeśli ma się w domu już wszystko, co się mieć chciało, a więc odpowiednio do gustu meble, wyposażenie kuchni, telewizor — można zdobyte na boku pieniądze zainwestować stosownie do możliwości. Można więc kupić samochód i puścić go jako taksówkę z wynajętym szoferem i najlepiej w miejscowości leżącej w innym województwie, niż miejsce zamieszkania — a to dla zmylenia urzędu skarbowego. Można kupić takich samochodów kilka, czy kilkanaście, na ile pieniądze pozwolą — województw jest przecież coś siedemnaście a tylko miejskie taksówki są deficytowe. Można zaciągnąć od państwa pożyczkę na założenie fermy drobiarskiej w Bieszczadach, a mając własną forszę albo rzeczywiście zacząć jakąś produkcję, albo wydzierzawić i żyć niezłe tam, gdzie się chce i podoba. Można przejrzeć niedzielne gazety, w których zawsze jest ktoś, komu potrzebne są pieniądze dla wsparcia dobrego pomysłu, jeszcze lepszych chęci, a kiepskich kwalifikacji. Można pożyczyć na procent — dodajmy wysoki.

Albo można jak pewien obrotny geniusz, wykupić w sklepach „materiałów użytku kulturalnego” portrety Marksa i po niewielkim retuszu i pokolorowaniu — sprzedawać na odpustach jako świętego Józefa.

Można ściągnąć wycofane przez państwo dwugroszówki i zostawiając na rewersie orzełka, wybić na froncie prymitywną sztanecą Matkę Boską, i sprzedawać razem z łańcuszkiem jako pamiątkę chrztu czy udziału w jakimś odpuscie. Można za niewielką opłatą do kieszeni kierownika punktu skupu złomu dostać zezwolenie na pogrzebanie w zwiezionym żelastwie, a polowanie może się sownie opłacić. Nie tak dawno w takim miejscu szczęśliwy poszukiwacz znalazł Chrobrowe brakteaty i renesansową broń. Zainwestowane pieniądze w podróż po najbardziej zapadłych dziu-

rach też mogą się zwrócić, bo jeden znajomy na podkrakowskiej tandencie nabył za dwadzieścia złotych oryginalny stół z kolbuszowskiej królewskiej manufaktury wart co najmniej tysiąc razy tyle. Na targach i jarmarkach — trzeba tylko wiedzieć gdzie — trafiają się jeszcze, choć coraz rzadziej — stare meble, książki, porcelana z obrabowanych dworów, pałaców i muzeów, bądź odebrane Niemcom, bądź wyhandlowane za butelkę wódki od ruskich wyzwolicieli. Niejeden taki przedmiot drogą przemytu znalazł się na Zachodzie, a sprzedany przed paru laty na aukcji w Paryżu, jedyny po wojnie dostępny do kupna komplet pierwszego wydania Voltaire'a też przecież wywieziono z Polski.

Dla ludzi fachowych w swoim hobby istnieje obszerny rynek, i wymienionych przedmiotów sztuki, i znaczków pocztowych i monet — ale na tym trzeba się znać.

Dla ludzi pracowitych pozostają takie możliwości jak wzięcie paru posad najczęściej kolidujących w czasie, które obsługuje się wędrując z jednego miejsca na drugie. Przyjmuje się zlecenia na prace, które powinny być wykonane w ramach i godzinach urzędowania. Podejmuje się wykonania projektów, o których nie ma się pojęcia, dając w ten sposób zarobić komuś innemu na „Murzyna”, bo ten ktoś nie ma dostępu tam, gdzie my mamy.

Znajome małżeństwo ma łącznie siedem posad, on cztery jako lekarz, ona trzy jako inżynier — i wreszcie nie tylko wiążą koniec z końcem, ale nawet już jeżdżą własnym samochodem i bywają zagranicą.

Po obaleniu Nkrumah'a w Ghanie wygoniono stamtąd podobno niemałą liczbę „komunistycznych doradców technicznych” z Chin i Rosji — ale nie wspomniano w prasie zachodniej ani słowem o wcale licznych Polakach, którzy pracują na rozlicznych budowach. Czyżby i w Ghanie wiedziano, że taką pracę otrzymuje się przez *Polservice*, przedsiębiorstwo eksportowe myśli technicznej, za odpowiednio uplasowaną — co tu dużo ukrywać — łapówką? Polacy, świetni nawiasem mówiąc, fachowcy, biją się o pracę za granicą, otrzymując tam jedną czwartą tego, co dostaje byle jaki angielski, francuski czy amerykański inżynier, i jeszcze 15% pensji muszą oddać swemu pracodawcy czyli *Polservice*'owi, tracić zdrowie w tropikach, a u niezorientowanych zarabiać na tytuł komunistycznej agentury.

Jeśli jest się młodym i nie ma ani zdrowia ani talentu konstrukcyjnego na złożenie w ofierze — można przy pewnym wysiłku fizycznym zostać sportowcem. Minęły chyba bezpowrotnie czasy, kiedy sportowcy byli całkiem nieźle opłacani przez kluby i Główny Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki, a etaty mieli tylko dla utrzymania swego statusu amatora. Niemniej

korzyści z hasła w zdrowym ciele i td., nie wygasły ze szczerem. Ponieważ nikt w całej Polsce nie jeździ tyle zagranicę, co sportowcy. A wyjazdy to pieniądze, nawet bez przesadnego szmuglu. Opowiadał mi kiedyś pewien dość znany bokser dzieje swej decyzji. Jeszcze kiedy był w gimnazjum zastanawiał się długo i głęboko, co można robić, by nic nie robić, a dobrze żyć. Ponieważ to założenie z miejsca eliminowało myśl o studiach, a warunki fizyczne odpowiadały potrzebom — postanowił zostać sportowcem. Po kilku latach jest już człowiekiem zamożnym i ma najlepsze widoki, że po wycofaniu się z aktywnego boksowania, zostanie trenerem, albo tak zwanym oficjalem.

Bo być oficjalem to rzecz jeszcze lepsza, niż samemu biegać, skakać, czy pływać. Oficjel nie chodzi na treningi, może palić papierosy, pić wódkę — i nikt słowa mu nie powie. A co najważniejsze — nie trzeba tam nic umieć i tylko znać się na sporcie co najmniej tyle, ile przeciętny kibic. Taki oficjel jeździ na wszelkiego rodzaju kongresy, zjazdy, zawody, mecze, bierze diety, pensje, a na dodatek przywozi co się da — i wie, że żyje, i to nie na własny koszt. Ale znaleźć się w tym gronie — rzecz nie łatwa, bo są to albo starzy sportowcy, albo dawni, jeszcze przedwojenni opiekunowie klubowi, albo zamożna prywatna inicjatywa, która zwąchała kiedy należy zlikwidować sklepik i przenieść się na coś innego, równie intratnego, a przy tym państwowego i jakże atrakcyjnego. Jeśli oficjel musi pracować, to tylko myśląc jak zdobyć i wychować najlepszych sportowców w swojej dziedzinie, bo dopiero to zapewnia najczęstsze i najciekawsze podróże. Stąd tak częste w polskim sporcie kaperowanie zawodników, przekupywanie lepszą posadą, mieszkaniem, większymi korzyściami lepiej „ustawionego” klubu.

Wcale nie inne cele przyświecają członkom albo kandydatom do zespołów ludowych takich jak *Mazowsze* czy *Śląsk*. A od czasu jak członkini *Śląska*, Androna Linartas wyszła za mąż za wnuka byłego prezydenta Meksyku, napływ nawet koczokodanów i kulfonów stał się zastraszający. Chyba każdy nowy zespół już przy tworzeniu się widzi w chmurach miraż Nowego Jorku, Paryża, Londynu — a najczęściej wyjeżdża do Ostrołęki albo Pcmia. W okresie stalinowskim pewien pisarz, który stęsknił się za Paryżem, a nie mógł swych marzeń zrealizować drogą normalną — wykorzystał znajomość z dyrektorem *Mazowsza* i umiejętność gry na skrzypcach — w związku z czym spędził we Francji parę tygodni pitoląc w szarej sukmanie i pasiastych portkach.

Ludzie, którzy nie mają żadnych złudzeń co do swych talentów wokalnych czy choreograficznych — muszą za granicę jeździć za własne pieniądze, zdobyte w inny sposób, na przykład

poprzez tak zwaną smykałkę w rękach. Wtedy można robić abażury, korale z pestek ogórków, fasoli, gliny, kawałków gąbki — i sprzedawać w *Centrali Przemysłu Ludowego i Artystycznego* nie tylko jako niełychy dodatek do pensji, ale nawet jako źródło podstawowe dochodu. Jeśli się nawet nie ma pojęcia o malowaniu, to jednak można w okolicach Bożego Narodzenia i Wielkanocy wydrukować na zaprzyjaźnionej pedałowce kilkanaście tysięcy kiczowatych pocztówek z gwiazdką betlejemską, zajaczkami i jajkami — i dobrze opchnąć na prowincji. Tamże dużym powodzeniem cieszą się zdjęcia ślubne podmalowane po amatorsku z powiększonego oryginału, idące po cenach zbliżonych do olejnego portretu. Tamże można produkować się w spektaklach pisanych, reżyserowanych i granych przez nikomu nieznanym ludzi — i zbierać ładny grosz w głodnej atrakcji Polsce powiatowej. W ten sposób przed kilku laty nawet deodzieżycza* trafiła pod strzechy.

Daleko jeszcze do wyczerpania tysięcy możliwości stojących przed człowiekiem zaradnym, pomysłowym, a chętnym zarobku — ale nie sposób wymienić tu wszystkie metody stosowane, trzeba zostawić coś indywidualnemu duchowi wynalazczości.

Oprócz dróg uczciwych jest nie mniejsza — jeżeli nie większa — ilość dróg nieuczciwych. Dróg krótszych, przynoszących fortunę, ale także zagrożonych przez prawo i jego służę.

Tu też można nieskończenie, bo każdy zawód (może lepiej powiedzmy: prawie każdy) stwarza takie pokusy.

Nawet jeśli się jest niedużym referentem i jeździ się służbowo czyli „na delegację”, to można zarabiać jadąc drugą klasą, a podając w rozliczeniu pierwszą — co się popularnie nazywa w kraju „zarabianiem d...”. Te kilkanaście czy kilkadziesiąt złotych różnicy znakomicie uzupełnia odchudzającą dietę-cud — powiatowa 19, wojewódzka 21 złotych dziennie — wypłacane służbowym podróżnikom.

Jeśli ma się stanowisko wyższe, to się ma tym samym większy dostęp do dóbr doczesnych — jak to wykazały procesy: mięsny, mączny, skórzany, solny, celny i inne.

Kandydat na kierownika sklepu lub restauracji omawiający swą przyszłą pracę, nie pyta o wysokość pensji, lecz o to „jakię praktykuje się manco dopuszczalne”. Świadczy to zarówno o niskości pensji, jak i o życiowym wyrobieniu kandydata, co musi doń przychylnie nastroić personalniaka: widać, że ma się do czynienia z fachowcem w branży.

Na Ziemiach Odzyskanych, które nawet swego czasu nosiły

* Spolszczenie obcego duchowi polskiego języka słowa *strip-tease*.

nieoficjalną nazwę ziem wyzyskanych, rozsypały się już ponie-
mieckie graty, zestarzały radia, i — co tu dużo gadać — nie ma
co szmuglować. Toteż trzeba z całym podziwem i szacunkiem od-
nieść się do inicjatywy pewnego zamożnego przedsiębiorcy z War-
szawy, który na cegłę rozebrał parę zrujnowanych miasteczek
dolnośląskich. Wysoki, osiągnięty stąd dochód, dał mu możliwość
przeciągania procesu przez wszystkie możliwe instancje i wszyst-
kie kolejne amnestie, aż z pierwotnego ośmioletniego wyroku nie
zostało nic, i gentleman rozgląda się za innymi nie dostrzeżonymi
dotąd interesami.

Pewien ubogi robotnik, który pracował w radomskiej fabryce
wózków dzieciennych, postanowił wynosić część po części, by
oczekująca rozwiązania żona nie musiała nosić potomka na rękę.
Ale przy montażu, jakby części nie zestawiał, zawsze wychodził
mu nie wózek, lecz karabin maszynowy. I chociaż dziś ta fabry-
ka pewnie nazywa się już inaczej, może na przykład Wytwórnia
Sprzętu Ideologicznego, to pomysł wynoszenia części produkowa-
nych w miejscu pracy — pozostał w mocy. Wynosi się więc
wszystko, co może mieć jakąś wartość. Przede wszystkim w uprzy-
wilejowanej sytuacji są pracownicy fabryk motoryzacyjnych zao-
patrujący rynek w inaczej niedostępne części zamienne do War-
szaw, Syren, WFMek Os, Junaków. Z innych zakładów wynosi
się opony samochodowe i motocyklowe, lampy radiowe, narzę-
dzia, surowiec, w tym zwłaszcza reglamentowany jak cyna, cynk,
ołów, miedź, wynosi się spirytus, kakao, kawę — mimo rewizji
na wartowni. Wyniesione przedmioty stają się na ogół półfabry-
katem lub surowcem dla wytwórców prywatnych, którzy mimo
przez państwo udzielonych licencji, zezwoleń i błogosławieństw,
nie otrzymują rzeczy najpotrzebniejszej — właśnie tego, co zy-
skują drogą czyjejs kradzieży. Hodowca kaczek czy kur nie za-
robiłby nawet na skromne utrzymanie, gdyby karmy nie dostarczali
mu, po niższych, niż państwowe cenach, pracownicy pobliskiego
PGRu. Oczywiście karmy kradzionej. Czy należy się dziwić, że
państwo prywatne dobrze się czuje i miewa klasę eksportową,
a państwowe dziobami się z głodu podpiera?

Podejrzanie żywione przez kolegium Ministerstwa Handlu
Zagranicznego, że niektóre transakcje zostały poparte przez za-
granicznych handlowców argumentami wymiennymi w Banku
PeKaO, doprowadziły do wydania wewnętrznego zarządzenia na-
kazującego składanie wszelkich prezentów, nawet prezentów re-
klamowych, w przedsiębiorstwie, do podziąłu między pracow-
ników. Towarzysz minister musi mieć więc nie tylko podejrzanie,
ale chyba nawet pewną wiedzę, jak się te rzeczy załatwia, i nie
wiele złudzeń co do handlowej dziewiczości swych pracowników.

Nie było dla nikogo tajemnicą, że pracownicy ambasad, konsulatów i radcostw handlowych w państwach ościennych poświęcają gros swego czasu handlowi wymiennemu między krajem urzędowania, a krajem ojców swoich. Dla zakamuflowania swej działalności i z prostej przyczyny konieczności pojawiania się jednak codziennie w miejscu pracy — do technicznego wykonania swych pomysłów delegowali żony, które nie tylko w week-endy kursowały do Cieszyna, Jaworzyny Spiskiej, pod Świnoujście, do Zgorzelca, Kunowic i Świecka. (Granica sowiecka jest zaorana i zelektryfikowana — odwrotnie niż okoliczne wsie — a przemysł odbywa się na skalę państwową w ramach obowiązujących umów handlowych).

Nikt więc się nie dziwi, że drobny pracownik z lichej pensji, obciążony przy tym sześciorgiem dzieci, już po trzech miesiącach kupuje wymarzonego Wartburga, Skodę czy Moskwicza za pieniądze zyskane z dożywiania skolektywizowanych głodomorów w NRD i Czechosłowacji.

W czasach, gdy czeskie motocykle Jawa były rarytasem trudno dostępnym w Polsce, górale podhalańscy wzięli na siebie — dosłownie — trud przenoszenia na plecach rozłożonych na czynniki pierwsze motocykli, a w pobliskiej miejscowości powstał nawet warsztat parający się wybijaniem nowych numerów na ramie i silniku. Poza motorami przenoszono chemikalia potrzebne do wyrobu luster i barwników złotych i srebrnych do malowania na szkle świętych obrazków.

Stare, jeszcze okupacyjne powiedzenie głosi, że najtrudniej jest wynieść czy przemycić pudełko czegoś, łatwiej wagon, a najłatwiej pociąg. W związku z tym zapewne są w kraju przedsiębiorcy, którzy zarzucają wszystkie sklepy prywatne, spółdzielcze a nawet państwowe (jak oni to robią?) na przykład setkami tysięcy pudełek pasty do butów Kiwi, albo nie mniejszą ilością szwedzkiej czy holenderskiej pasty do zębów. Czasem na prywatnym rynku pojawiają się pióra kulkowe z strip-teasującą się dziewczicą — znany wyrób duński, albo tysiące fajek z Czechosłowacji. Czasem szmugiel jest oficjalny, jak na przykład pamiętka, jaką zabrał ze swej wizyty w Polsce sowiecki marszałek Malinowski: wagon papierosów *Carmen*, produkowanych w Polsce z tytoniu amerykańskiego.

W sklepach komisowych można kupić wszystko, co świat kapitalistyczny ma do zaoferowania, od skarpetek do telewizorów Philipsa, i od koszul do maszynek do golenia, zapalniczek gazowych i ekspresów do kawy. Kupowanie w komisie, gdzie wbrew nazwie rzadko trafia się towar używany — jest dowodem zamożności nabywcy i braku okazji do podróżowania samemu. W skle-

pach branżowych tego typu można dostać pantofle Bally, obuwie włoskie, francuskie — nierzadko produkowane w kraju i tylko stemplowane zřęcznie podrobioną firmą przez chytrego wytwórcę. Dostawcą modeli i fasonów są miejscowości tak odległe od stolicy jak na przykład miasteczka województwa rzeszowskiego i Podhale — okolice mające największe związki polonijne z zagranicą, a więc otrzymujące najwięcej paczek z ciuchami. Stamtąd, kupione za bezcen suknie, ubrania, obuwie, palta, wędrują w walizkach wielkomijskich handlarzy na bazyry, tandety i „maison ciuch” — zamieniając się albo w gotowe kreacje lokalnych elegantek, albo stanowiąc obok powszechnie dostępnych żurnali francuskich, włoskich, amerykańskich, natchnienie miejscowych dyktatorów mody. Trzeba jednak dodać, że ten rodzaj handlu jest już na wymarcu, zagrożony coraz lepszym wyborem i jakością towarów oferowanych przez spółdzielczość, a nawet magazyny państwowe.

Niedostępność państwowej produkcji, na przykład chemicznej jak nylonu, polistyrenów i winylu dla wytwórców prywatnych, doprowadza do istnienia olbrzymiego rynku nielegalnego takich surowców. Legalnie może producent wentylatorów kupić turystyczne pudełka do masła i przerobić, wstawiając do nich motorki — a w kalkulacji podać rachunki na pudełka zakupione w sklepie sportowo-turystycznym. Natomiast „na lewo” można kupić, co tylko dusza zamarzy, a co znalazło się na rynku albo poprzez wynoszenie z zakładu państwowego, albo przez PeKaO, albo drogą szmuglu z zagranicy. Na usprawiedliwienie trzeba dodać, że inaczej nie istniałoby ani rzemiosło, ani warsztaty prywatne.

Rzemiosło wyprzedziło zresztą na niektórych polach przemysł państwowy, bo są tacy, którzy potrafią barwić szkła optyczne, czego państwo jeszcze nie odkryło.

Na wszystkim, co się wyżej wymieniło, można zrobić pieniądze, i to pieniądze niemałe — i niekoniecznie zaraz pójść siedzieć. Bo im ma się więcej pieniędzy, tym łatwiej o mniej lub bardziej możliwych protektorów, choćby nawet dysponowali tylko pieczętką, papierem firmowym i numerem kolejnym dziennika, dla udowodnienia zakupu ze źródła oficjalnego. Inne nielegalne dochody są trudne do udowodnienia, bo jeżeli na przykład szewc zeluje w spółdzielni ze skóry przydziałowej i musi się wyliczyć z każdego zużytego centymetra kwadratowego — to naciąga skórę na mokro tak, że staje się prawie przezroczysta, co pozwala mu jakąś tam trzecią czy czwartą parę podzelać już do własnej kieszeni z oszczędzonego w ten sposób materiału. Tę samą metodę stosują właściwie wszyscy, od sprzedawczyni owoców wążającej jabłka w grubej torbie papierowej, aż do budowlanych na-

ruszających równowagę składników cementu i piasku, co zmniejsza trwałość budowli wznoszonych przez państwo, ale wzmacnia prywatne domki na peryferiach.

Można przyjąć jako pewnik, że niejeden własnej konstrukcji samochód powstał z części wyniesionych z Żerania, a gdyby nie nieporęczność kilkudziesięciotonowych elementów montażowych w stoczniach Wybrzeża, pewnie niejeden statek mógłby pływać pod flagą prywatnego armatora.

Zastanawiałem się nieraz czym handluje Gomułka i towarzysze. I przyszło mi do głowy, że to handlowcy najrzęczniejsi ze wszystkich, bo potrafią sprzedawać za ciężkie pieniądze towar absolutnie niechodliwy: fałszywą ideologię.

A jeśli nie ma się takiego towaru na sprzedaż, ani nie zeluje butów, ani nie szmugluje — a przy tym jest się konserwatywnym i jednak chce się mieć pieniądze — zostaje jedno wyjście: robić karierę.

Zaleceniami w tym względzie zajmiemy się w części trzeciej niniejszego dzieła.

Będzie to rozdział o znaczeniu niemałym, oparty o retrospekcję, przyczyny historyczne, psychologię sukcesu, technikę stosowania uników i sztukę *come-back'ów*, czyli

R o z d z i a ł III

JAK ZROBIĆ KARIERĘ?

Wbrew podłym insynuacjom kapitalistycznych pismaków, wbrew wrogiej propagandzie, kariera w kraju społeczeństwa bezklasowego jest zdobyczą świata pracy dostępną każdemu bez różnicy przynależności społecznej, pochodzenia czy wykształcenia.

Kariere więc może zrobić każdy, i tylko kwestią jest: jak.

Kariera już zrobiona ma to do siebie, że na czas trwania usuwa z drogi wszelkie przeszkody, które człowiek zwykły musi pokonywać wysiłkiem, pracą, pieniędzmi, intelektem, wcale nie potrzebnym takiemu, co już karierę zrobił. Kariera otwiera granice, paszport przynosi na tacy, także pieniądze, nie mówiąc o samochodzie z szoferem, mieszkaniu i emeryturze dla zasłużonych.

Kariera może jednak ulec nagłemu przerwaniu, jeśli jej się nie pilnuje, albo zbyt łatwo z nią oswoiło i przeoczyło momenty wagi historycznej, które każdą karierę mogą zniweczyć w ciągu jednego przemówienia na zjeździe albo plenum.

A więc karierę może zrobić każdy, co nie znaczy, że pomoc przy jej robieniu należy lekceważyć. Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że posiadanie rodziny, która miała szczęście przebyć szlak bojowy od Lenino do Berlino, walczyć w Hiszpanii po chytrze i z niezwykłą zdolnością przewidzianej stronie, włączyć się przypadkiem w czasie wojny do nikomu wtedy nieznannej organizacji podziemnej zwanej Armią Ludową i td. i td. — jest rzeczą niezwykle pomocną.

Kariere najlepiej jest dziś zaczynać w wieku młodym, bo wtedy nasza krótka przeszłość jest najprawdopodobniej politycznie czysta, nie obciążona i nie budząca wątpliwości. Przeszłość bowiem, to punkt pierwszy, jaki należy opracować zanim się wstąpi do partii, najlepiej oczywiście Polskiej Zjednoczonej Partii Ro-

botniczej. Z przeszłością też bywało najwięcej kłopotów, bo w okresie mimionym polowano zawzięcie na byłych członków Komunistycznej Partii Polski, którą ciężko znieważył Stalin w roku 1938, określając ją jako partię prowokatorów, oportunistów i jeszcze jakoś. Ciekawe, co by powiedział dziś o PZPR, gdyby żył?

W czasie wojny w podziemiu toczyła się twarda walka nie tyle z Niemcami, i wcale nie z Armią Krajową, ale walka o przyszłe kariery — a taka zdolność przewidywania nie jest przecież niczym dziwnym w kręgu wyznawców dialektyki historycznej. Sprzeczały się więc ze sobą dwie zasadnicze grupy: lokalna i zrzućcana na spadochronach z Moskwy. Faktem niezwykle pomocnym we wzajemnym zwalczaniu się była obecność na miejscu, w kraju, organizacji znanej pod nazwą Gestapo, która na żądanie stron i na podstawie w czas nadesłanych donosów, chętnie likwidowała członków to jednej, to drugiej grupy ludzi żądnych zrobienia po wojnie kariery. W ten sposób można było sprzątnąć niejednego stojącego na zawadzie, jak to robił chętnie współpracujący z Gestapo dzisiejszy minister finansów Albrecht, co jest dowodem, że kariera jest rzeczywiście dostępna każdemu.

W innych wypadkach trzeba było korzystać z usług okupacyjnych sił policyjnych, by zaciukać Marcelego Nowotkę, dzisiejszego świętego — skoro wykonania wyroku na nim odmówił inny święty, patron młodzieży komunistycznej, Janek Krasicki. Nie zrobili jednak kariery bracia Mołojcy, którzy sprzątnęli Krasickiego za odmowę wykonania rozkazu, bo sami z kolei zostali dla zatarcia śladów sprzątnięci po cichu i bardzo szybko.

Dziś sprawy są prostsze, nie trzeba już odwoływać się do pomocy Gestapo, z czym mogłyby być niejaki trudności techniczne. Wystarczą porachunki załatwiane do niedawna przy pomocy funkcjonariuszy bezpieczeństwa, a dziś jeszcze inaczej, w sposób bardziej cywilizowany — wysyłaniem na stanowiska ambasadorów, albo umieszczaniem na dożywotnich synekurach, dyrektora Uzdrowisk Państwowych, albo prezesa Towarzystwa Ochrony Przyrody.

Po tym krótkim rysie historycznym możemy przejść do metod robienia kariery dziś.

Zanotujmy dla porządku, że nawet w świecie jak najbardziej laickim i agnostycznym, zdarzają się cuda. Częstym tematem filmów amerykańskich bywa, że primaballerina, lub primadonna nagle łamie nogę, i wtedy wkracza na scenę nikomu dotąd nieznaną aktoreczka, czy baletniczka i w try miga robi karierę. Ze tak się może zdarzyć nie tylko w filmie, dowodem jest kariera nikomu nieznanego faceta pod tytułem Kociołek, który pewnie długo by czekał na okazję podstawienia komuś nogi,

gdyby nie jego szef, pierwszy sekretarz komitetu warszawskiego partii, który poszedł na łatwy chleb wygrywania w bakarata sum nieprzeciętnych od głównego bossa gangu w aferze mięsnej — w czym niektórzy, zapewne uprzedzeni doń niesłusznie, dopatrzyli się ukrytej formy łapówki.

Nie ma natomiast żadnego cudu w kilkunastoletnim pontyfikacie premiera Cyrankiewicza, bo jest to owoc ciężkiej pracy intelektualnej i gruntownego opanowania metod myślenia jak uczynić się niezbędnym i to każdemu. Może to stanowić nieodściągły wzór dla ewentualnych naśladowców.

Jeśli karierę zaczynamy od samych podstaw, od stanowisk najniższych, to powinniśmy stosować się do formuły ubranej nawet przez poetę w słowo wiązane: „nie krytykuj, nie podskakuj, siedź na d... i potakuj”. Nie zwalnia nas to od obowiązku donoszenia za plecami, co nasz bezpośredni zwierzchnik powiedział, i o kim wyraża się nieprzychylnie. Robimy to jednak tylko w takim wypadku, jeżeli mamy szanse na zajęcie opróżnionego miejsca, bowiem w przypadku odwrotnym donosimy je m u, co mówią inni, a wtedy możemy mieć poważne szanse na zrobienie kariery razem z naszym zwierzchnikiem. Tu trzeba jednak orientować się z grubsza, czy i jakie szanse ma nasz szef — ale zawsze znajdzie się ktoś, kto może nas o tym poinformować.

W stadium początkowym nie ma większego znaczenia decyzja, jaki rodzaj kariery chcemy obrać: czy drogę w aparacie partyjnym, czy w służbie zagranicznej, czy w handlu, bo chociaż wszystkie takie możliwości mają swoje jasne strony — jest jeszcze rzeczą przedwczesną parcie w ulubionym kierunku. Dopiero przyszłość pokaże, jak nasza rada była słuszna.

Dopiero bowiem, gdy zbliżamy się do szczytu, gdy zaczniemy ogarniać wzrokiem coraz szersze horyzonty, powoli zdajemy sobie sprawę, że dopiero teraz mamy prawo wyboru.

Wybór powinien paść na drogę taką, gdzie mamy najwięcej znajomych, gdzie jest najwięcej ludzi łatwych do usunięcia — bo kwalifikacje i poziom intelektualny nie mają tu absolutnie żadnego znaczenia.

Na poparcie tego twierdzenia możemy przytoczyć dziesiątki przykładów kariery osób odznaczających się wybitnym niedorozwojem umysłowym, brakiem jakiegokolwiek wykształcenia, co nie przeszkadza im być jakże użytecznymi członkami partyjnej społeczności. Weźmy na przykład generała Witaszewskiego, który mimo nieukończzonej szkoły powszechnej, ze zwykłego ślusarza, po skróconym kursie sowieckich oficerów polityczno-wychowawczych, pełnił już w ludowej ojczyźnie funkcję wiceministra obrony narodowej, a dziś nawet wygłasza referaty i przemówienia piastu-

jąc urząd szefa wydziału administracyjnego KC, i podobno nawet już umie się podpisać. Weźmy ministra Lesza, którego uratował w roku 1956 zwykły, prosty górnik, bo kiedy jego niewyrobieni politycznie towarzysze chcieli wrzucić swego ówczesnego resortowego wiceministra do pustej sztolni — powstrzymał ich słowami: „zostawcie, on nie tyle zły, ile głupi”. Co też jest dowodem na poparcie naszej tezy.

Uważne rozejrzenie się nauczy nas, że w całym rządzie jest czterech ludzi z wyższym wykształceniem, a w Biurze politycznym tyluż — bo ci sami. Fakt ten może nas dowodnie przekonać, że tylko i wyłącznie dobre chęci pomogą nam w naszych zamiarach, a wszelka nauka byłaby tylko stratą cennego czasu.

Zmiany takie jak pamiętny październik 1956 roku są katastrofą tylko dla niższego aparatu partyjnego, bo nie dotyczy to osób postawionych wysoko, a przy tym umiejących w odpowiednim momencie przejść ze skandowania „Stalin-Bierut-Rokos-sowski” na intonowanie możliwie jak najczęściej „sto lat”, pieśni patriotycznej, znanej każdemu, bo śpiewanej na imieninach, w dniu świętego patrona solenizanta.

Jeśli istnieje jakakolwiek nierówność urodzenia w dzisiejszych czasach, to jest to nierówność miejsca — bo mieszkaniec stolicy jest bliżej, i posuwa się po drodze znacznie krótszej: od dzielnicy do komitetu wojewódzkiego, skąd tylko krok do samego KC. Mieszkaniec prowincji musi przejść od swej organizacji partyjnej macierzystej w miejscu pracy, poprzez powiat i województwo, znajdujące się w innych, nieraz odległych miejscowościach.

Inną różnicą jest fakt, że chociaż wszyscy ludzie są równi, to jednak bywają równiejsi, co jest najczęściej wynikiem wspominanych już na innym miejscu powiązań rodzinnych. By braki takie nadrobić, dobrze jest wspominać od czasu do czasu w towarzystwie osób decydujących, jak to walczyło się pod Stalingradem, powoływać się na znajomość ludzi dziś już nieżyjących (żywy jest zawsze niebezpieczny jak nas o tym poucza historia partii, którą powinniśmy studiować), albo w introspekcyjnym zapatrzeniu zanuć jakby od niechcenia: „Płynie, płynie Oka...”.

Niektórzy na fali popaździernikowego pomieszenia pojęć stracili orientację na tyle, że zaczęli się przyznawać do udziału w Bitwie o Anglię, i nad butelką usiłovali marsem i fonią wywoływać macierzyste lotnisko. Jest rzeczą słuszną, że tacy ludzie, którzy nie potrafili uszanować okazji trafiającej się kariery, i ześliznęli się na manowce kosmopolityzmu — poszli w odstawkę. Bowiern przykazaniem pierwszym i najważniejszym jest: nigdy nie zapominać, że „przykład, pomoc, przyjaźń wielkiego kraju socjalizmu, Związku Radzieckiego, jest źródłem naszych zwy-

cięstw”. Wszystko inne to są koniunkturalne manewry partii, ale nie jej członków! Kto o tym zapomina, albo co gorsza nie rozumie — nie wart jest kariery!

Jeżeli będziemy się stosować do powyższych zaleceń — kariera partyjna w aparacie okaże się karierą najtrwalszą i najbardziej owocną. Jeżeli natomiast zapomnimy o przykazaniach podstawowych, lepiej wybierzmy karierę inną, gdzie pewne odchylenia mogą być wytłumaczone zaćmieniem umysłu, brakiem dostatecznego wyrobienia politycznego, czy też artystowską pozą, jeżeli ten kierunek wybraliśmy. I do tego nie jest potrzebne wstępowanie do partii.

Historia literatury okresu minionego — a nie brak na to przykładów i dziś — literatury zaangażowanej naturalnie, bo tylko taka może się liczyć do kariery, poucza nas, że i tam obowiązują podobne zasady jak i w karierze ściśle politycznej. Znaczy to, że nie potrzebny jest tam ani talent, ani tym bardziej wiedza i wykształcenie. *Exemplum*: Putrament, Hen, Lenart, Gisges i wielu innych, których nazwiska niewiele powiedzą cudzoziemcom, ale ileż ważą na gruncie lokalnym, czyli tam, gdzie robi się kariery.

W okresie poprzednim można było zrobić karierę literacką łatwo — albo przez zmieszanie z błotem literata, którego twórczości się nie rozumiało — tak postąpił Grzegorz Lasota, albo przez napisanie wzruszającej biografii Stalinka z jego lat dziecięco-młodzieńczych pod tytułem „Soso” — jak to zrobiła Celina Bobińska (tom drugi mający nosić tytuł „Komu Soso zrobił kuku” — nigdy się nie ukazał, choć miał być osnuty na kanwie znanego opowiadania Chruszczowa na XX Zjeździe KPZR), albo produkowanie literatury dla (ciemnych) mas o tym jak „Numer 16 produkuje”, albo jak się robi „Penicylina” i że „Traktory zdobędą wiosnę”.

Wtedy liczył się nie czytelnik — bo nikt tego nie czytał, nawet w KC — ale recenzja zamieszczona, najlepiej, w *Trybunie Ludu*, bo najbardziej widoczna. Recenzję pisał inny kandydat do kariery, wobec czego pisał z głębokim zrozumieniem zamierzeń autora — i tak rodził się tandem autorsko-recenzencki, jakby sojusz robotniczo-chłopski, tak ważny dla wspólnej przyszłości.

Na marginesie trzeba może wyrazić zdumienie, że niektórzy autorzy nie mający zupełnie wycucia politycznego sytuacji rzeźbili swoje literackie kamee — a mimo to zrobili pewien rodzaj „kariery”, ale tylko wśród czytelników. Do nich zaliczyłbym — wymieniam ich tylko ku przestrodze i z przyczyn historycznych — Marię Dąbrowską, Jana Parandowskiego, Leopolda Staffa.

Chociaż nie ma dziś poważniejszego zrozumienia dla twór-

czości produkcyjnej, to fakt podpisywania swego nazwiska pod protestami przeciwko protestom, już co najmniej nie zamyka drogi przyszłych sukcesów politycznych. A takie okazje, dzięki Bogu, zdarzają się co pewien czas — choć zbyt rzadko, by swe nazwisko lepiej utrwalić w pamięci kogo trzeba. Inną przeszkodą jest zbyt masowy udział w tego rodzaju imprezach, przy czym nazwiska — wszystkie — podpisujących drukowane są taką samą czcionką! bez względu na istotną treść zapatrywań i napięcie dobrej woli!

Nadzieją napawają jednak słowa kierowników naszej partii, którzy niedwuznacznie zapowiadają nadejście znów czasów żywych w kariery łatwe i przyjemne, zwłaszcza dla grafomanów.

Od literatury tylko krok do dziedzin sztuki pokrewnych, takich jak film, teatr, a w nieco większej odległości — trzeba umieć rysować — malarstwo i rzeźba.

R o z d z i a ł I V

JAK BYĆ W POLSCE TURYSTĄ? (I PRZEŻYĆ)

„Cizie na ciow haczy się na styku trując: „Hello - Betty - jesteś - śliczna - podobasz - mnie - się - pójdziem - za - kiosek - skrzyżujem - pare - zdań - pokażem - se - tatuaże - wymieniem - oddechy - mów - mnie - Dżek”.

Powyższa sentencja przekonać nas może ile niebezpieczeństw kryje się w samym języku. Widać jasno, że nawet Hłasko posługuje się mową dziś już anachroniczną, a co dopiero mówić o emigrancie, który opuścił kraj przed laty kilkunastu, by nie rzec kilkudziesięciu?

W krótkim dziełku jak niniejsze trudno zapoznać czytelnika ze wszystkimi subtelnościami przemian, jakim uległa mowa Jana z Czarnolasu. Niemniej kilka wyjaśnień się należy. Tak więc na przykład, gdy turysta zostanie zaczepiony okrzykiem: „wdechowe skoki” — nie wymaga się od niego odpowiednich ćwiczeń jogów, lecz znaczy to po prostu: „jakie ładne buty” — a interpelacja może mieć na celu względy handlowe. Jeśli gromadka uczujących w knajpie rodaków wyda na widok turysty zgodny wrzask: „jelen” — należy lokal opuścić, ponieważ „jelen” jest skrótem myślowym na oznaczenie chętnego, a naiwnego fundatora.

Jeśli dziewczyna uroni zdanie, jakże wymowne: „jak będzie pogodziec, to się doklepiem” — możemy się cieszyć, bo w tłumaczeniu oznacza to obietnicę randki w wypadku pogody.

Określenie „wrzuciłbym na ruszta” — oznacza chęć spożycia posiłku; pół metra — to oczywiście pół litra czystej, podobnie jak pół basa. Góral — to pięćset złotych — pozostałość pookupacyjna, patyk to tysiąc zeteł, znane również jako „dycha” —

bo tak się mnie więcej przelicza wśród ludu wartość złotego sanacyjnego do demokratycznego.

Jeśli o kimś powie się z przekąsem: „a, to samopomoc chłopska”, nie oznacza to, że wspomniany obywatel zatrudniony jest w gminnej spółdzielni zaopatrującej dzielnych rolników, lecz, że jest homoseksualistą. Inne wyrażenia pozornie wiejskie jak na przykład złób z PGR, albo chomąto — są określeniem bądź-to kiepskich manier osoby opisywanej, lub jej niskiego poziomu umysłowego.

Facet „nadziany” albo „szmalcowny” — to człowiek zamożny, czyli ewentualny jeleń.

Dziewczyny powinny być wysoko skanalizowane, bo w przeciwnym razie mają nogi na polskie drogi, albo też mówi się, że są tylko na asfalt, bo na kocich łbach kamienie by odwłokiem obijały. Prócz określenia znanego już nam, jak „cizia”, mamy do opanowania: kociak, babka, szmatka, szprota, złota ryпка, a w nieco późniejszym wieku: biurwa i wreszcie ciociak, i raszpla.

Ze słów innych przydatnych w życiu towarzyskim warto wymienić: gablotę albo kanapę, czyli samochód, — chatę, czyli kamerę, czyli mieszkanie, — szkło, czyli alkohol posiadany w chacie, — taryfa — taksówka, przerwa w życiorysie — utrata przytomności pod wpływem kompotu z kartofli, — mowa do ludu — bredzenie bez związku, — wysychać, w kontekście „wysychaj pan stąd” — oznacza zaproszenie do zniknięcia. Mniej przydatne, ale przynoszące zaszczyt barwności języka to słowa takie jak: ciuch cmentarny — karawaniarz, koszerny kozak — co nie wymaga wyjaśnień; złobek, czyli izba wytrzeźwień.

Posługiwanie się tym językiem wymaga pewnej wprawy, toteż nie doradzałbym turystom próbowania swych sił już na celnikach i służbie granicznej. Moim celem jest, by rodak zza granicy nie czuł się obco i z grubsza wiedział, o czym się w towarzystwie mówi. Tak więc, mamy to z głowy — to znaczy załatwione.

W praktyce codziennej możemy się spotkać z koniecznością „mówienia do ręki”, co należy rozumieć jako wnoszenie opłat ponad sumę ustaloną lub uwidocznioną, — musimy się nauczyć na zachętę „postaw ćwiartkę”, odpowiadać dowcipnie „a co, przewróciła się?” — powinniśmy umieć wznosić toasty takie jak: „chluśniem, bo usniem”, „Jan Sebastian Baaach”, „figura szósta, bierzemy w usta”, „chlup w głupi dziób” i td.

I w ten sposób jesteśmy już mniej więcej przygotowani do życia towarzyskiego. Czy musimy dodawać, że rzeczą jak najbardziej wskazaną jest przed uzyskaniem wizy turystycznej, przeprowadzenie intensywnego treningu w przyswajaniu napojów alkoholowych wysokoprocentowych, odmierzanych w musztar-

dówkach, ponieważ taka miara będzie najbardziej zbliżona wielkością do naczyń, z jakich będzie nas poić uradowana rodzina.

... Byłem kiedyś świadkiem jak na Okęciu u wyjścia z odprawy celnej stała stara kobieta w chustce na głowie i każdego przechodzącego zatrzymywała słowami: „Kaziu, to ty?” Czekala na swego brata, który wyemigrował do Ameryki przed przeszło czterdziestu laty...

Spotkanie z Polską po latach wielu może być długim pasmem niespodzianek, odkryć, wzruszeń. Każdy, w latach tułaczki wojennej, w latach uciążliwego przystosowywania się do obcych obyczajów, obcego języka, innego otoczenia — przechowywał gdzieś w zanadrzu obraz taki, jaki wywiózł z kraju ojczystego. Czasem to będzie cicha droga wśród ulewy brzozowych gałęzi, czasem nagrany słońcem zagajnik z piaszczystą wijącą się wśród niego ścieżką, czasem ten jeden jedyny dom wśród szumiącego miasta. Ale zawsze skojarzenie do słów takich jak ojczyzna, stary kraj — będzie własne, którego będziesz rodaku szukał, może nawet na próżno.

Widziałeś czytelniku w pierwszych rozdziałach tej książki świat obcy ci, choć nie taki, o jakim myślisz czytając dziś o Polsce w prasie swego kraju — ale ten świat jest też umiejscowiony w krajobrazach, jakie zostawiłeś opuszczając swój kraj. Że te krajobrazy są zmienione, inne — nic to. Z katedralnego wzgórze tysiącletniego Płocka wzrok nie biegnie już ku zawiślańskim horyzontom, zatrzymany wieżami osadników i kolumn skraplających chemicznego kombinatu. Chopinowskie wierzby Żelazowej Woli chylą się nad ściekiem rzeczki Utraty, niosącej wyziewy sztucznych jedwabi Chodakowa. Z Wawelu widać pióropusze wysokich pieców Nowej Huty, a w Puszczy Jodłową wiatr nawiewa surową woń wlewków żeliwa. Ale to jest — wiesz — Twój kraj.

Gdy spojrzysz z uboczy w ciche doliny podhalańskie, gdzie strome chaty wspinają się po groniach i grapach, gdy będziesz serpentyną szosy mijał checińskie ruiny — nie pomyślisz o rządzie, o partiach — będziesz w domu.

Nie znajdziesz innego kraju, gdzie tak co chwila będziesz potykał się o historię, nie tę dla turystów, ale prawdziwą — czy tę od Piastów i Jagiellonów, czy tę najnowszą: Oświęcimia, Majdanka, Treblinka, stalinowskiego terroru.

Przed paroma miesiącami napisał pewien biedak w amerykańskim dzienniku, że w Polsce nie ma co oglądać. Nie wierz mu, bo pisał to w Krakowie, mieście, które miało uniwersytet na prawie półtora wieku przed odkryciem Ameryki, — gdzie z wieży Mariackiej hejnał co godzinę odmierza czas zawarty między tatarskimi najazdami XIII wieku, a dniem dzisiejszym, gdzie

w tysiącletniej kaplicy leży bohater dwu narodów: Polski i Stanów Zjednoczonych — Kościuszko. Żal mi takich, którzy turystyczną atrakcyjność mierzą ilością neonów na głównej ulicy.

Nie wierz, jeżeli czytasz w swojej codziennej gazecie „Polska komunistyczna” — takiej Polski nie ma i nie będzie. Mogą być takie czy inne rządy, mogą przychodzić i odchodzić intronizowani, importowaną ideologią mocni władcy — ale to mija. Byli już na tej ziemi Tatarzy, Turcy, Szwedzi, Niemcy, Rosjanie — i minęli. Wsłuchaj się w historię...

Minęło lat tysiąc od czasu jak Polska przyjęła chrześcijaństwo — toteż idź do poznańskiej katedry, gdzie w podziemiach wśród tysiącletnich murów stoi chrzcielnica Mieszka I, — idź na gnieźnińskie wzgórze, na którym Lech w połodze zachodzącego słońca zobaczył białego orła, gdzie dziś w srebrnej trumnie spoczywa święty Wojciech. Odwiedź królów w podziemiach wawelskiej katedry, i częstochowską Madonnę na Jasnej Górze. Pamiętaj, że szosę z Krakowa przez Warszawę ku Poznaniu ciął w puszczech sam Bolesław Chrobry, zobacz jak nad Gopłem przed trzema tysiącami lat żyli Twoi przodkowie, posłuchaj jak w nazwach ulic i dzielnic warszawskich brzmi historia: Bugaj — święty gaj, Rybaki dokąd z Bródna prowadziła przeprawa przez Wisłę — i szlak koronacyjny z rycerskiego Koła, przez Elekcyjną, Elektoralną, Królewską i Senatorską do Zamku i Katedry na koronację.

Kiedy Torres w roku 1606 przepływał cieśninę, która miała nosić jego imię, na 20 lat przed założeniem Nowego Jorku, w Warszawie, na Krakowskim Przedmieściu otwierano aptekę do dziś istniejącą. Z Puszczy Nalibockiej, z Białowięzy spławiano sosny masztowe pod żagle karawel Kolumba, Magellana i Vasco da Gamy. W żyłach szwedzkiego świętego Olafa i duńskiego Kanuta Wielkiego płynęła krew ich matki Świętosławy-Storrady. W czasach europejskiej nietolerancji, wojen religijnych, nocy świętego Bartłomieja — pozwalano spokojnie żyć w Polsce mużułmańskim Tatarom, nadawano przywileje Żydom, przyjmowano Hugenotów, katolickich Szkotów, Niemców, Włochów, Irlandczyków — Polska była krajem tolerancji. A że dziś tak nie jest? To tylko lat dwadzieścia z tysiąca naszych dziejów.



Ale wróćmy na ziemię, do rodziny. Należy się przygotować na przyjęcie, i to przyjęcie nie byle jakie. Tu przydatny okaże się wspomniany wyżej trening w picciu alkoholu szklankami, a także zaprawa w pochłanianiu wielkich ilości ciężkiego jadła

i w przyswajaniu litrów kawy o każdej porze dnia i w każdych okolicznościach.

Rozmaitość dewizowych przeliczeń w stosunku do złotego, jest przyczyną, że nawet ktoś, kto na Zachodzie zarabia dwieście dolarów na miesiąc, będzie w kraju uchodzić za człowieka bardzo zamożnego, jeżeli jego dochód obliczyć po kursie PeKaO, co da w wyniku przeszło czternaście tysięcy złotych, czyli sumę prawie astronomiczną na warunki polskie. Taki członek rodziny będzie podejmowany z podziwem dla jego zaradności życiowej, karmiony albo kawiozem albo kaszanką — zależnie od systemu, jaki tubylcy opracowali: postawić się, albo odwrotnie, wykazać swą nędzę bytowania. Obie metody będą zresztą nieprawdziwe w stosunku do rzeczywistości. Nie znaczy to, że nie ma w kraju nędzy — jest jej aż nadto, ale metoda „na nędzę” może być wycelowana w zwiększenie finansowej pomocy. Podobnie metoda „na postawienie się” może mieć na celu wykazanie, że przesłane walory nie zostały zmarnowane, ale przyczyniły się do wydatnego podniesienia stopy życiowej tubylczej rodziny, i że wobec tego dalsze inwestycje nie będą zaprzepaszczone. Nie mniejszą rozmaitość napotka turysta w referowaniu mu bieżących stosunków politycznych, co będzie zależne od środowiska, miejsca zamieszkania rodziny, a także w niemałym stopniu od zamiarów, jakie rodzina żywi wobec swego zamorskiego krewniaka, na przykład oczekiwania pomocy w wywiezieniu za granicę syna czy córki, sprowadzenia do siebie matki, czy ojca, i tym podobne projekty do realizacji. Powyższe tłumaczy się niemal powszechnym w kraju przekonaniem, że Zachód jest ziemią obiecaną zamieszkałą głównie przez milionerów, a kokieterijna poza wielu odwiedzających Polskę dewizowych rodaków, utwierdza tylko tuziemców w ich idealistycznym poglądzie na świat kapitalistyczny. Słowo Ameryka nie straciło właściwie nic ze swego złotego blasku, a Kanada przez małe k, to w języku potocznym synonim dobrobytu i w ogóle *dolce vita*. Ksenofobia nigdy nie była cechą narodową Polaków, a dziś po prostu nie ma na nią miejsca, z wyjątkiem chyba turystów ze Wschodu — ale diabli biorą człowieka, jeżeli w odpowiedzi na pochwałę cudów Krakowa, słyszy z usteczek uroczej cudzoziemskiej idiotki pytanie: „naprawdę? to nie propaganda?”. Mimo istnienia takich idiotek wszystko co zagraniczne cieszy się raczej uznaniem, poważaniem i szacunkiem, zwłaszcza zagraniczne wyroby, a przede wszystkim te z papieru ze znakiem wodnym. Rzecz jasna, że sympatia i szacunek dla turysty rosną razem z zaprodukowaną przez niego ilością wspomnianych wyżej symboli zamożności jego kraju. Amerykański dolar stał się dziś właściwie drugą polską walutą skoro można zań

wszystko kupić w sklepach dewizowych, a poza tym można się za niespodziewanie niskie sumy ugodzić z prywatnym taksówkarzem na obwiezienie po całej Polsce w ciągu miesiąca czy więcej, nie będąc skazanym na tłok w pociągach i autobusach państwowych w okresie wakacji i urlopów.

Towarzystwo Polonia razem z *Orbisem* organizują dla przybywających zza granicy Polaków, wycieczki po kraju nie omijające i Częstochowy, a obwożące po całym kraju bez trosk o rezerwację pokoi hotelowych czy przedziałów kolejowych. Po takiej trwającej tydzień czy dłużej wycieczce *Orbis* deponuje delinkwenta na łonie rodziny, która pewnie w swoim życiu nie miała zbyt wielu okazji zwiedzenia tego, co zwiedził ich nowo-odkryty krewny. *A propos* nowo-odkryty: widziałem kiedyś na parkingu na Okęciu gromadę co najmniej czterdziestu chłopów nawet z góralską kapelą, z dziećmi dużymi, małymi i zupełnie malutkimi, i jedynego, samotnego, niewątpliwie Amerykanina, który podniecony biegał wokół tej grupy, fotografował ją i zawiadamiał każdego w tłumie gapiów: „to wszystko moja rodzina — nawet nie wiedziałem, że jej tyle mam — ja przyjechałem odwiedzić tylko siostrę...”. Ludzie ze starej emigracji muszą się przygotować na takie niespodzianki, czas nie staje, a jeżeli to tylko w pamięci rozdzielonych, a znany tylko ze słyszenia Funio czy Tuptuś nosi już dziś obuwie numer dwanaście i wprawdzie posługuje się jeszcze butelką, ale bez smoczka i nie z posiłnym mlekiem.

Jaka by nie była rodzina, bez względu na jej zamiary i plan akcji — czeka na każdego turystę z otwartymi ramionami, polską gościnnością i niezliczonymi toastami spełnianymi w grubym szkle albo kryształach, ale z pełnej butelki pod sakramentalną zagrychę: kiełbasy, ogórki, pomidory z cebulą, rzodkiewki, flaki, bigos, schaboszczaka bez względu na temperaturę na zewnątrz i wewnątrz pomieszczenia, w domach prywatnych, w gospodach wiejskich, w luksusowych restauracjach.



Nie wiadomo dlaczego przyjęło się na Zachodzie do wierzenia, że kuchnia w Polsce jest podła — piszą o tym cudzoziemcy, a nawet jednemu biedaczynie z amerykańskiego dziennika coś się tak gruntuje pomierdało, że bredząc coś tam o wpływach okupacji tureckiej na Polskę, był łaskaw napisać, że jedzenie w kraju jest mniej więcej na poziomie prowincjonalnej kuchni tureckiej... Nie, tak źle w Polsce nie jest. Oczywiście pod karą zatrucia, lub przynajmniej niestrawności, nie należy jadać w knaj-

pach trzeciej kategorii, ale nikt z krajowców będący przy zdrowych zmysłach nie chodzi tam jadać, tylko pić. Natomiast lokale kategorii pierwszej, S (specjalna), R (reprezentacyjna) mają kuchnię niczym nie ustępującą najlepszej zachodnio-europejskiej. Toteż jeżeli przy pomocy rodziny uda nam się wymienić posiadane dolary po siedemdziesiąt dwa zetał za sztukę — możemy sobie łatwo pozwolić na łososia z rusztu za pięćdziesiąt złotych, kaczkę z jabłkami za trzydzieści, indyka za zbliżoną sumę i td., podlane węgierskimi, jugosłowiańskimi, bułgarskimi, czy zgoła francuskimi winami. Można doskonale zjeść w restauracjach hotelowych *Orbisu* w Warszawie, Gdańsku, Sopocie, Krakowie, Wrocławiu, Poznaniu, Bydgoszczy, Szczecinie, Zakopanem, — jeszcze lepiej u Wierzyńka na krakowskim rynku, w warszawskim *Krokodylu*, żydowskiej *Amice*, rosyjskiej *Trojce* w Pałacu Kultury, w chińskim *Szanghaju*, w *Rycerskiej* na Szerokim Dunaju, w *Kameralnej* na Foksal, słynne są miejsca takie jak zakopiański *Poraj* ze swymi kanapkami i rydzami z patelni, dziesiątki przydrożnych barów serwujących kurczęta z mizerią, pstrągi, świetne domowe torty i ciastka. Kłopot jest z tym, że takie miejsca jest dość trudno znaleźć, jeżeli się o nich nie wie, i ktoś zdany na własne nogi jako przewodnika, najłatwiej trafi do mordowni, w której żaden przytomny tubylec — jako się rzekło — jeść nie będzie. W ciągu dwudziestu paru lat państwo zrobiło wszystko, co w jego mocy, by wykończyć polską kuchnię, wprowadzając sztywne receptury polegające na dokładnym wymienieniu ile i czego trzeba wziąć, by powstała potrawa, nie wyłączając takich ingrediencji jak sól, pieprz, woda do herbaty i tp. Jeżeli te praktyki nie zabiły i nie zlikwidowały raz na zawsze zawodu kucharza — to tylko zaśluga tego zawodu. A jeśli mimo wszystko ktoś narzeka na pieczywo w Polsce — wysłać go na parę dni do Moskwy, wróci całując warszawskie kajzerki; jeżeli nie odpowiada mu jakość mięsa czy jarzyn i ziemniaków: wysłać go do NRD albo Czechosłowacji — przejdzie mu. Równie orzeźwiająco podziela kuchnia bułgarska czy rumuńska, bo tylko Węgry kulinarnie się liczą w tych okolicach Europy. Na wczasach pracowniczych, w domach związkowych, najbardziej wybredzającą część gości stanowią woźni, drobni referenci, mali prowincjonalni urzędnicy, którzy z pewnością tak w domu nie jedzą, jak tu na urlopie. I mocno podejrzewam, że i wielu krytyków polskiej kuchni, u siebie w domu nie jada masła, lecz margarynę przez oszczędność, by móc na biednym dzikim wschodzie błysnąć obyciem i powybrzydzać się. Daj im Boże zdrowie.



Wiedza o podróżowaniu po Polsce nie jest sztuką małą. W tym celu trzeba opanować przynajmniej podstawowe założenia spośród nadmiaru dostarczonych przez państwo możliwości jazdy w pociągu na jednej nodze, wykupienia miejscówki na miejsca zajęte już przez dwóch innych posiadaczy tego samego numeru, albo na wagon nie istniejący w składzie expressu. Człowiek nie-zorientowany wykupi bilet na pociąg osobowy z Warszawy do Krakowa, który wleczę się coś dziewięć godzin, podczas gdy idący o świcie express dowozi nas tam w niecałe cztery godziny, a samolot, za tę samą cenę w trzydzieści pięć minut. Tylko ludzie do tego zmuszeni wyjeżdżają w okolicach pierwszego lub piętnastego w miesiącach nie tylko wakacyjnych, bo zajmowanie miejsc w pociągach w tym czasie przypomina do złudzenia matejkowską bitwę pod Grunwaldem. Szturmujące wagony rodziny odnajdują się często dopiero pod koniec podróży, nie odwołując się jednak do pomocy Biura Poszukiwania Rodzin PCK. Po ośmio- czy dziesięciogodzinnej jeździe w takich warunkach, wypoczynek wśród lasów lub nad morzem wydaje się jeszcze bardziej usprawiedliwiony. Wydaje się, że Polacy stali się od lat kilkunastu narodem podróżników, jeśli by sądzić z potwornego tłoku we wszelkich środkach komunikacji międzymiastowej i to właściwie o każdej porze roku. Przed kasami *Orbisu* z przedsprzedażą biletów stoją ogony kilometrowe, złożone jednak przeważnie z wynajętych w tym celu zastępców, trzymających miejsca w ogonku nieraz dla kilku lub kilkunastu osób. Przed Bożym Narodzeniem lub Wielkanocą ogonek często ustawia się wieczorem — na następny dzień. Przychodzi wtedy na myśl relatywność wyobrażeń: co mianowicie bardziej się kalkuluje — stanie przez noc w ogonku po bilet, czy stanie przez noc w pociągu...

W odróżnieniu od pociągów, autobusy i samoloty nie są z gumy, toteż coraz bardziej rosnąca ilość lotów i częstotliwość kursowania autobusów wskazują na coraz większe zapotrzebowanie ludności na wygodniejszą komunikację. Komunikacja autobusowa jest właściwie czymś nowym w Polsce, w porównaniu z okresem przedwojennym, i dziś mało zostało dziur, do których nie dochodziłby jeśli nie Fiat czy Jelcz, to chociaż obdrapany San, natomiast tzw. dworce autobusowe to rezerwy prymitywu, brudu, smrodu, zaniedbania, chamstwa. Wcale nielepiej wyglądają lotniska obojętne gdzie, wszystkie noszące nazwę tymczasowych, a wiadomo, że nie ma w Polsce nic bardziej trwałego niż tymczasowość. Na krajowych liniach lata się na zasadzie jak Bóg da, na przestarzałych maszynach produkcji radzieckiej, bez stewardess, ale ze świetnymi pilotami. PLL Lot mają pewnie najniższy procent wypadków na świecie w wyniku chyba specjalnej

Opatrzności. W okresie zwanym minionym opowiadano, że we Wrocławiu zaraz po starcie wyszedł z *cockpit*'u młody pilot i oświadczył pasażerom: „Maszyna, którą obywatele lecimy została przez komisję odrzucona i przeznaczona na złom, ale nasza brygada zetempowska postanowiła w ramach czynu...” i td. Chyba nawet niedaleko prawdy. W tamtych też czasach trafiali się wśród pilotów lotnicy myśliwscy z czasów wojny, którzy na wysłużonych Dakotach czy Limach przypominali sobie nagle jak się startuje immelmanem... Latanie w Polsce przestało jednak być zajęciem szarpiącym nerwy, ale przesadna dbałość o latanie tylko w czasie dobrej pogody, może pasażera *in spe* uziemić na długie godziny w oczekiwaniu, aż nad Kaczym Dołem zniknie ta czy tamta chmurka utrudniająca widocznie pilotaż, skoro loty odbywają się na gratach o wcale nie ciśnieniowych kabinach i na wysokości przeciętnej tysiąca metrów. Dobrą stroną takiego latania, jest, że uważny obserwator może zobaczyć nawet krowę sąsiada włączając w szkodę, a miasta, nad którymi się przelatuje, widoczne są jak na plastycznej mapie o niewielkiej skali. Chyba wyłącznie polską specyfiką jest, że przejście od podróży koleją do przelotu samolotem jest przejściem od współczesności do romantycznego okresu lotnictwa, w którym pasażerom dodawała otuchy bliskość ziemi i jej spraw. Koleje (nie mówię o nielicznych pozostałych ciuchciach w rodzaju wilanowskiej) są na ogół nowoczesne, szybkie — na ile im pozwalają tory układane w pośpiechu po wojennym zniszczeniu — zaopatrzone na liniach dziennych dalekobieżnych w wagony restauracyjne, a na nocnych w wagony sypialne. Powiększająca się ilość expressów ma nie tylko na celu dostarczenie szybkiej komunikacji, ale i droższej o, przeciętnie, 50%, plus koszt miejscówki. Hutnik, Górnik, Krakus, Chopin, Kaszub — to tylko niektóre z „nazywających” się pociągów przekraczających w szybkości handlowej 100 km/godz. Z Warszawy do Poznania, Krakowa, Katowic, Wrocławia chodzą już pociągi elektryczne. A Łódź z tych samych przyczyn stała się przedmieściem Warszawy, chociaż łodzianie twierdzą, że jest odwrotnie, mając liczne połączenia, przy czym czas trwania podróży wynosi nieco ponad godzinę, czyli tyle ile tramwajem z Młocin do centrum, albo autobusem z dzielnic tak odległych jak Falenica, albo Jelonki.

O rozkładach jazdy, połączeniach, i tp. rzeczach dowie się turysta łatwo na dworcach, w biurach *Orbisu* i tp. instytucjach, natomiast czego się nie dowie, to zwykłych, ludzkich sposobów nabywania biletów bez kolejki, wystawiania, i tłoku. Jeśli mieszka turysta w hotelu, to za niewielką opłatą „co łaska” może wysłać po bilet portiera, czy tragarza, który przez swoje chody załatwi

bilet nawet na ten sam dzień, choćby to było w przeddzień 1 lipca albo sierpnia. Rezerwację hotelową można załatwić również poprzez hotel, miejscowym dalekopisem, ale zawsze żądając potwierdzenia, żeby recepcja nie mogła się w żywe oczy wyprzeć, i żebyśmy nie musieli w związku z tym spędzać nocy na dworcu.

Może warto wspomnieć, że w kasach biletowych *Orbisu*, dworców, Lotu, autobusowych, kolejowych na linie dalekobieżne, zawsze zostaje do południa dnia odjazdu pewna drobna ilość miejsc tzw. rezerwy poselskiej, które sprzedaje się ludziom świadomym takiej możliwości. Podobnie zawsze istnieje pewna rezerwa w hotelach, choćby recepcja przysięgała się, że nic już nie ma.

Swoją drogą sytuacja hotelowa w Polsce jest właściwie katastrofalna i masowy napływ turystów byłby tylko klęską. Widuje się coraz częściej zmotoryzowanych turystów, na przykład z Francji, którzy poruszają się po kraju karawanami campingowych trailerów uprzedzeni najwidoczniej o hotelowej pustyni. Są w Polsce miasta, gdzie otrzymanie pokoju nawet poza sezonem należy do szczęśliwych przypadków. Są to — mimo wybudowania nowych wielkich hoteli: Kraków i Katowice. Kraków tak jak i inne miasta, ale może w większym stopniu, utracił większość swych przedwojennych hotelików, które municypalnemu właścicielowi przestały się opłacać i zostały przeznaczone na biura lub lokale mieszkalne. Sprawa moteli, pensjonatów, nowoczesnych ośrodków wypoczynkowych, stanic wodnych, wydaje się zagadnieniem będącym poza zasięgiem zdolności rozumienia osób odpowiedzialnych za turystykę i inwestycje. Gomułka czy inni ekonomiczni czarodzieje wiedzą jakoś, że żeby produkować trzeba wybudować fabrykę, to znaczy zainwestować pieniądze, ale inwestycje w turystykę — to jeszcze do nich nie dotarło. — Wiejskie babiny dziwiają się niepomiernie, że biedne miastowe ludzie z ciężkim plecakiem człapiący wiejską drogą, nazywają taką męczarnię wypoczynkiem. I kto wie czy u Gomułki w podobny sposób nie odzywa się jego małomiasteczkowe pochodzenie?! Nie można przecenić sprawy pochodzenia, środowiska, wychowania u ludzi będących u władzy w kraju, gdzie mimo deklamacji o kolektywności rządzenia — w dalszym ciągu o zbyt wielu sprawach decyduje jednostka.

Turysta polski przyzwyczał się od dawna do chałupy bez wody bieżącej, do drewnianej ubikacji, do braku papieru higienicznego, do kupowania baterii radiowych na długo przed sezonem — bo w sezonie ich, jak powszechnie wiadomo, nie będzie — do zabierania ze sobą na wakacje jak największej ilości kon-

serw, wędlin, papierosów — do zamawiania sobie kwatery letniej w zimie, do trudności w zaopatrzeniu w mleko i kartofle w okolicach rolniczych, w ryby nad morzem, i we wszystko w górach, dokąd produkty z małymi wyjątkami trzeba dowieźć z okolic nizinnych. Co do turystów zagranicznych panuje wśród osób, którym powierzono troskę o tę dziedzinę gospodarki, pogląd, że są to ludzie co najmniej bogaci, przywykli wyłącznie do komfortu międzynarodowych hoteli, i w związku z tym nie należy się zbyttnio zajmować urządzaniem campingów. Oczywiście kryje się za tym jeszcze wyliczenie, że właściwie ile dolarów można wyciągnąć z faceta, który zatrzyma się w domku campingowym w Krynicy Morskiej, w alei Żwirki i Wigury czy na Głodówce? a nie w sopockim *Grandzie*, zakopiańskim *Giewoncie*, *Francuskim*, *Bristolu*, *Bazarze*, *Continentalu*. Pokutują nadal wyobrażenia, że zachodnio-europejski turysta to człowiek na tyle zamożny, by spędzać wakacje zagranicą, a nie u siebie w domu, co jest także wynikiem i zarazem pewnie przyczyną kalkulacji cen zagranicznych wycieczek orbisowskich niedostępnych dla wątlých kieszeni.

Turysta odwiedzający rodzinę w kraju jest w sytuacji o tyle lepszej, że — jak wspomniałem — może wymienić pieniądze w PeKaO, sam czy za pośrednictwem rodziny, i wtedy pozwolić sobie na wszystkie luksusy. Inna rzecz, że płacąc rachunek hotelowy trzeba przedstawić kwit wymiany pieniędzy w kasie hotelu po kursie Banku Narodowego, czyli bardzo dla turysty niekorzystnym, i tu nie pomoże fakt, że polonijny turysta jeździ w towarzystwie krajowego kuzyna, bo samo posiadanie obcego paszportu nie da się ominąć. Chyba że mieszka się prywatnie, a to jest całkiem możliwe, bo po pierwsze rejestracja cudzoziemca odbywa się w miejscu pierwszego zameldowania, a prywatnie wynajmujący pokoje tubylec wcale się nie śpieszy z meldowaniem gości, bo w ten sposób unika opodatkowania. I obie strony są zadowolone.

Oszczędności poczynione na wymianie dadzą się znakomicie zużytkować, jeżeli pewna starsza pani, kuzynka mojego przyjaciela, opuściła kraj w etoli z norek (mink!) za głupie 19 tysięcy — przeliczcie to sobie po kursie 72 zł za jednego dolara...

To jest dosyć niezwykły rodzaj pamiątki zabranej z kraju, bo normalnie Polonia kupuje naturalnie bursztyny (obecnie popiera się w kraju słowo „jantar” — proponuję przyjęcie tego samego za granicą), drewniane rzeźby góralskie, kierpce, pasy juhaskie, łowickie pasiaki, święte obrazy, albumy fotograficzne — wszystko starannie ważone, jako że większość gości przybywa samolotami. Pod Wawelem, w Kuźnicach, na ulicach turystycz-

nych miast i miasteczek, można kupić za psi pieniądz koszarne pamiątki własnoręcznie malowane na nieokorowanym drzewie, straszliwe ciupagi, płaskorzeźby — wszystko w stylu późno-tyrolskim, pozostałość po zaustriaczonym Czechu, który prowadził kiedyś zakopiańską szkołę rzeźbiarską zanim przejął ją Stryjeński, a na szczyty zaprowadził zaszczyty przez powojenne władze, Antoni Kenar. Na dobro *Cepelii* trzeba zapisać, że to co tam jest do nabycia reprezentuje sztukę ludową w najlepszym wydaniu — jeżeli nie potrafimy sami dotrzeć do źródła, do samych artystów podhalańskich, beskidzkich, gorceńskich, łowickich, kurpiowskich, kaszubskich, podlaskich. *Cepelia* jako przedsiębiorstwo dowodzone przez państwo lubi oczywiście zapłacić artyście jak najmniej i wprowadzić odpowiedni narzut, w związku z czym ludowy twórca dostaje za górską spinkę 32 zł, gdy w *Cepelii* kosztuje ona już przeszło dwa razy tyle. Bigos z Brzegów cyzeluje każdą spinkę osobno posługując się podręcznikiem Antoniewicza wydanym przez dawną krakowską Akademię Umiejętności, dla rekonstruowania przy użyciu starych, tradycyjnych narzędzi, spinek z XVII czy XVIII wieku, i nie sprzedaje swych wyrobów *Cepelii*, która nie byłaby w stanie zapłacić za nie ich rzeczywistej wartości, natomiast inni dla tej „spółdzielni” pracujący artyści najzwyczajniej sztancują swoje wyroby. No ale to jest już może wyższa szkoła jazdy. Niemniej, jeżeli to co wywozi się na ogół z Polski ma reprezentować polską sztukę — biada jej obrazowi, i może wobec tego kilka tych uwag nie pójdzie na marne.

Specyficzne są w Polsce ceny i możliwości nabywania antyków bądź w sklepach prywatnych, jakich jeszcze sporo, bądź w państwowej *Desie*. Na krakowskim Starym Rynku można było przed bardzo niedawnym czasem nabyć spinki z orłem i pogonią z okresu Powstania Listopadowego za 300 zł, podczas gdy „wieściórka” I Dywizji Pancerniej — tzw. w Polsce Maczka — kosztuje na Nowym Świecie... 75 zł. Przed kilku laty było w tym samym sklepie biurko z XVIII wieku z inkrustowaną sceną pasterską, za siedem i pół patyka (sto dolarów!), a oryginalny serwis do herbaty Wedgewood miał kosztować około pięćciu. To są „cynki” dla ludzi, którzy potrafią takie rzeczy przesznułować, choć pewnie służba celna nie odróżnia Wedgewooda od współczesnego Ćmielowa — i sprawa polega przede wszystkim na przedstawieniu odpowiednich rachunków z *Desy* i najlepiej w dewizach.

Ciekawe ile w moich drobnych poradach zebrało się nielegalności, półlegalności lub sugestii omijania przepisów — ale tak to chyba generalnie wygląda w Polsce — a to już nie moja wina. Przecież same przepisy celno-dewizowe i wizowe są tak księ-

zycowe, że proszą się o omijanie — i tak są rozumiane przez ogromną większość krajowców. Taki stosunek jest chyba usprawiedliwiony, jeśli na przykład turysta zagraniczny wprowadzony w błąd niedokładnym obliczeniem, wymienia za dużo dolarów na opłatę swego rachunku hotelowego, i nie może wymienić swych niepotrzebnych mu już na nic złotych z powrotem na dolary — to jest już w powszechnym odczuciu oszustwo. I to, dodajmy, oszustwo opracowane w odpowiedniej państwowej ustawie! Czy jeżeli państwo oszukuje nie tylko gości zagranicznych, ale i swoich obywateli — czy ci obywatele mają prawo posługiwać się podobnymi metodami? W powszechnym odczuciu: tak, choć trudno wtedy mówić o prawie, a jeśli, to chyba nie tyle moralnym, ile amoralnym. Z tego sobie również i władze doskonale zdają sprawę, toteż obwarowały każdy przepis dodatkowymi klauzulami, które tylko wzmagają ruch okrężny.

Shopping w kraju różni się zapewne nieco od podobnego zajęcia w krajach kapitalistycznych. O tym turysta niezawsze się dowie, bo niby kto przytomny będzie kupował w Polsce buty, przy których mierzeniu dostaje się tylko prawy, a lewy otrzymuje się po złożeniu w ręce sprzedawczyni na przykład dowodu osobistego jako zastawu. Podobnie trudno będzie turyście sprawdzić ile czasu zabierają zakupy mięsa, sera, pieczywa, — artykułów kupowanych jeżeli nie w ogonku do sklepowej lady, to przynajmniej do kasy w sklepie samoobsługowym. Dość niezwykle mogą się wydać rozpuszczonym zachodnim klientom metody takie jak liczenie złotówki za torbę papierową w *Super Samie* na Puławskiej, albo wręczanie kłopotliwych zakupów, jak śledź marynowany w gołą łapę a jajek w zwykłej papierowej torbie. Tegoroczny jubilat Wiech zwrócił kiedyś uwagę, że sosisty śledź źle się pakuje w periodyki drukowane na 80-gramowym satynowanym papierze, i że do tego celu lepiej się nadają dzienniki drukowane metodą rotacyjną. Wydaje się, że wiele sklepów poszło za tą radą. Personel sklepowy mało wagi przywiązuje do sprzedaży towarów, które w końcu miesiąca nie mają już wpływu na wykonanie miesięcznego planu, toteż możemy się spotkać w wypadku grymaszenia i przewracania zbyt wielkiej ilości przedmiotów z uwagami na temat: „się nie podoba, nie musisz pan przyjeżdżać” — ze strony sprzedawczyń w sklepach z pamiątkami na zakopiańskich Krupówkach. Zakryte pozostaną przed oczami przybysza męki tubylca, który ma wymiary normalne i zapragnie odświeżyć swój wygląd przy pomocy pary — co tu dużo ukrywać — spodni. Czternaście stołecznych wyspecjalizowanych sklepów z odzieżą męską nie potrafi dostarczyć tego co sobie kapryśny klient wymarzył: tropiku na lato, a flaneli na zimę, o ludzkim

kolorze i pasujące. Takie wydarzenia będą może tylko turyście relacjonowane przez krewnych, ale ich pełne znaczenie wymknie się jego pojęciom i nie łatwo je zrozumie.

Przepisy dewizowo-celne nakazują przybywającemu do Polski turyście zbieranie rachunków za poważniejsze wydatki, takie jak hotele, przejazdy kolejowe, pamiątki i tp., ale gwoźli prawdziwie trzeba powiedzieć, że nikt, jak mi o tym wiadomo, nie podejmuje się takim stawianiem sprawy, nawet spośród służby celnej. Jest zasadą — obdarzoną najwyższymi błogosławieństwami partyjnymi i państwowymi — by turysta przywiózł jak najwięcej forsy, jak najwięcej na miejscu wydał i jak najmniej wywiózł. Ta zasada sprzyja w jakimś stopniu urealnieniu metod sprzedaży za dewizy, bo jeśli kiedyś, przed kilku laty, mógł turysta w *Desie* na Nowym Świecie kupić coś ze sztuki nowoczesnej za dewizy, to płacić musiał w odległości paru kilometrów, w kasie zagranicznej teje *Desy*, a potem wolno mu już było wrócić i towar zabrać — to dziś sklep *Polonia* na Kruczej na wprost *Grand Hotelu* załatwia te rzeczy od ręki, tyle tylko, że dolar w tym sklepie, widocznie z przyczyn manipulacyjnych, wart jest 60 zł. Rozmaitość przeliczeń walut zagranicznych nie sprzyja nudzie i turysta, który zainteresuje się tymi sprawami, może spędzić całkiem urozmaicone tygodnie przeliczając sobie na suwaku logarytmicznym ile wart jest złoty dewizowy, a ile dolar w kilku przeliczeniach plus dodatki turystyczne, nie omijając takich wyspecjalizowanych cenników jak za leczenie w krajowych uzdrowiskach, jak polowanie na jelenie czy dziki, łowienie pstrągów i tp. Polowanie w kraju to zabawa wyłącznie dla ludzi bardzo zamożnych, chyba że robi się to przy pomocy miejscowych kuzynów-myśliwych, a wieńce czy szable wywozi z zaświadczeniem, że to podarunek od krewnych. Co do rybołówstwa, to to jest w Polsce nowość turystyczna, i trudno sobie wyobrazić, by poza paroma potokami górskimi dało się cokolwiek złapać w wodach, w których nawet same ryby swego własnego ogona nie zobaczą. Zanieczyszczanie wód stało się rozrywką przemysłu zwłaszcza chemicznego i chociaż istnieją odpowiednie przepisy, to bardziej opłaca się zakładowi płacenie kar, niż założenie importowanych za dewizy osadników zmniejszających dewizowy dochód fabryki.

Oficjalnie zachęca się turystów do przywożenia walut w formie *traveller's check'ów*, ale chyba tylko w tym celu, żeby utrudnić wymianę po kursie PeKaO, bo mogą one być wymienione po 72 zł za dolara tylko wtedy, gdy są podarowane tubylcom, co przeprowadza się w Banku PeKaO na specjalnych formularzach i jest rzeczą o tyle kłopotliwą, że należy podać nazwiska ofiarodawcy i obdarowanego, podczas gdy zwykła wymiana go-

tówki odbywa się anonimowo. Orbisowskie *voucher'y*, metoda i obowiązkowa i w zasadzie wygodna, także kryją w sobie zasadzkę, bo wymienione w hotelu na bony, na przykład, restauracyjne, muszą być wydatkowane zgodnie z kwotami uwidocznionymi, czyli, że jeżeli zje się za więcej niż przewiduje czek — trzeba dopłacić, a jeżeli za mniej — zwrotu się nie otrzyma! Jeżeli to nie jest oszustwo...!

Polityka finansowa *Orbisu* jest ustawiana przez Ministerstwo Finansów pod kątem wyciągnięcia jak największej ilości dewiz za jak najmniejszą ilość usług. Toteż z całą ostrożnością należy traktować zwroty takie jak „luksusowy autokar” i podobne, zawarte w broszurkach reklamowych turystycznych, bo autobusy Jelcz z trudem można uznać za luksusowe na liniach miejskich, ale nigdy w długiej poroży po Polsce. Może należy się tu wyjaśnienie, że Jelcz to wynik kooperacji przemysłu polskiego z czechosłowackim, będąc krajową wersją Skody.

Jeżeli podróżować będziemy indywidualnie, to zawsze należy pamiętać o przyjeździe na stację — jeżeli nie mamy miejsca sypialnego ani numerowanego — na co najmniej trzy kwadransy przed odjazdem, należy się dowiedzieć czy nie doczepia się na tej stacji dodatkowych wagonów, bo wtedy można wsiąść gdzie indziej, a jednak znaleźć się we właściwym pociągu. Zdziwienie może obudzić fakt, że nowo-podstawiany pociąg na Warszawie Głównej bywa już dość pełny. Wyjaśnienie jest dziecinnie proste: hedonicy udają się na stację postojową, gdzie w zasadzie pasażerów się nie wpuszcza, i za drobną opłatą wsuniętą w pomocną dłoń kolejarza, zajmują miejsca, by z rozbawieniem patrzeć na szturm mniej pomysłowych współobywateli. Jeżeli nie mamy miejsca numerowanego, ani żadnego w ogóle, zawsze można umieścić się w wagonie restauracyjnym i odpowiednio dawkując spożywanie pokarmów, przesiedzieć tam przez kilka godzin podróży. Warto wiedzieć, że doba hotelowa zaczyna się o godzinie 18, i zajęcie pokoju przed tym czasem może nas narazić na policzenie nam za jedną dodatkową dobę wstecz, — że jest wiele hoteli, których restauracje nie zasługują na tę nazwę (choć jest to raczej wyjątek), że nie ma osobnych hoteli dla cudzoziemców i że grasujący tam tubylcy nie są funkcjonariuszami UB, lecz sybarytami chcącymi dobrze zjeść, — że mikrofony w pokojach należy włożyć między bajki, choć nie należy wykluczyć, że tak może być, ale ostrzegam turystów przed manią wielkości: nie wszyscy są James Bondami, i nie są ciekawi dla bezpieczeństwa, wobec czego nie należy się skradać ani pełzać odwiedzając kościoły, przyjaciół albo krewnych, bo to są czynności normalne i nie wzbudzają niczyjego niezadowolenia. Polska to nie Rosja

i sympatyzowanie czy współpraca z reżymem mierzą się na nieliczne lata, a nie na pół wieku. Polska to nawet nie Czechosłowacja ani Bułgaria, i władze bezpieczeństwa pracują w próżni, wśród społeczeństwa, które ich serdecznie nienawidzi. Przeciętny krajowiec nie będzie się bał rozmów na tematy najbardziej nawet łaskotliwe, bo wbrew aż zbyt częstym wyobrażeniom kursującym za granicą, Polacy dzisiejsi to ani gromada zwyrodniałych komunistów, ani też nie stado wynędzniałych indywiduów o wargach spękanych od pragnienia wolności i uszach nadmiernie rozwiniętych od słuchania Wolnej Europy. Po bliższe szczegóły odsyłam ciekawych do mojej książki, gdzie te sprawy były potraktowane obszerniej.

Przybysz z Zachodu nie będzie odcięty od tak ważnych dla swej egzystencji wiadomości jak rozgrywki *base-ball*'owe, albo liga angielska (która zresztą jest przedmiotem państwowych zakładów totalizatora piłkarskiego), bo nie tylko w hotelach, ale i w wielu kioskach, a przede wszystkim w powszechnie dostępnych Klubach Prasy i Książki znajdzie prasę swojego kraju bez żadnych opłat, jeśli nie liczyć filiżanki dobrej kawy lub butelki krajowej coli. Każdy mniej więcej przyzwoity hotel posiada w pokojach radia, a niektóre luksusowe apartamenty wyposażone są nawet w telewizory.

Z faktu obecności radioaparatów w pokojach hotelowych może turysta skorzystać nie tylko dla gruntownego poinformowania się o wszelkich wydarzeniach, lecz także o niebezpieczeństwach cychających nań na drogach. Jeżeli turysta przyjeżdża własnym samochodem, jego szanse przeżycia zmniejszają się znacznie, gdyby nie stosował się do lokalnie występujących zjawisk.

Zjawiskiem numer jeden jest prawie milion wozów chłopskich poruszających się po drogach na zasadzie „ja jestem najważniejszy”. Furmanki jeżdżą lewą stroną, najchętniej środkiem, nie ustępują z drogi, skręcają nagle w lewo lub prawo bez żadnego uprzedzenia — przy czym woźnice najczęściej są albo pijani, albo odsypiają pijaństwo, a wypełnianiem przepisów ruchu na drogach publicznych zajmuje się koń.

Noc przynosi tylko natężenie grozy, ponieważ wozy są z zasady nieoświetlone, a jeśli to tylko naftową latarnią zawieszoną z boku, i wobec tego z tyłu niewidoczną. Istnieją wprawdzie zarządzenia o zawieszaniu latarek bateryjnych na dyszlu i na rozworze, ale takie latarki są po pierwsze drogie, po drugie nie bywa ich w sklepach wiejskich, a po trzecie trudno o baterie do nich. Jest jeszcze po czwarte: chłopci uważają te zarządzenia za znęcanie się władz nad nimi — ojcowie i dziadkowie nie używali latarek i też swoje lata przeżyli... Jest w tym chyba

coś z chłopskiej niewiary w jakąkolwiek nowoczesność, i wiary w kiszmet. Kiedy raz milicjant polecił chłopu ogrodzenie znalezionej na jego polu niewypału artyleryjskiego pocisku, do czasu rozbrojenia go przez saperów — żołnierze zastali chłopą przy pracy: wbijał w ziemię kołki posługując się niewypałem jak młotem... Jeżdżąc po nawet niezbyt odległej prowincji można się przekonać, że większość koni płoszy się na widok samochodu, co chyba jawnie wskazuje na wątpliwość motoryzacji w kraju. Z drugiej strony czas nie stoi i dziś Warszawa ma trzy razy tyle samochodów, co cała Polska przed wojną. Ale wieś mimo coraz liczniejszych motocykli nadal uważa się za konnego właściciela dróg i podróż samochodem z Warszawy do Krakowa jest przeżyciem szarpiącym nerwy. Setki napotykanymi wsi, to tysiące dzieci bawiących się na środku szosy, konie, świnie, drób smyrgające przez jezdnię tuż przed nadjeżdżającym samochodem — pijani uczący się jeździć na rowerze. W sobotnie dni wypłaty wsie w pobliżu zakładów przemysłowych i miasteczek wylegają na szosę, która jest zazwyczaj jedyną wiejską drogą i deptakiem, a w niedziele tłumy wędrują środkiem szosy do i z kościoła. Nie pomogą klaksony — nikt z drogi nie ustąpi. Nie pomagają milicja, bo patroli drogowe zajmują się raczej kierowcami, od których da się zarobić mandat, a milicja lokalna zawsze opowie się po stronie tuziemców: obcy z zasady nie będzie miał racji. A teraz do tego obrazka dodajmy ciężarówkę z niezawsze trzeźwymi kierowcami, ale zawsze łamiącymi najbardziej nawet elementarne przepisy, wozy o zdartych oponach w braku nowych w handlu, o niepewnych hamulcach, o wadliwie ustawionych światłach oślepiających nadjeżdżających z przeciwka — a wszystko na szosach mieszczących nie więcej niż trzy pojazdy w rzędzie, obrzeżone rowami i drzewami, przecięte licznymi przejazdami kolejowymi i prowadzące przez setki wsi, osad i małych miasteczek.

Samochód dla turysty zagranicznego może być nieocenioną pomocą przy obejrzeniu miejsc najciekawszych, leżących na ogół z dala od dróg głównych — ale łączy się to z niebezpieczeństwem.

Zastraszająco rośnie w Polsce ilość wypadków na drogach, i to wśród ludzi przecież obznajmionych z panującym tam chaosem. A co mówić o przybyszach, którzy nie wiedzą, że nawet na najcichszej drodze wyskoczy im wprost pod koła dziecko, żrebak, zalany gospodarz.

Niemniejsze niebezpieczeństwo czyha na przybysza z Zachodu również na ulicach miast. A tam nie trzeba nawet być zmotoryzowanym. Nie należy zbyt ufać światłom, bo ruch w Polsce jest „trójstrumieniowy”, co oznacza, że skręcający w prawo robią to przy czerwonym świetle i raczej nie liczą się z prze-

chodniami mającymi wtedy zielone. Nie należy zbyt ufać zebrom, ani oznakowanym przejściom na skrzyżowaniach, bo bezpieczniej jest się od razu wczuć w rolę zająca i zmiatać na widok każdego samochodu, a specjalnie wojskowych, których kierowcy mają osobną sławę. Motocykle — a jest tego w Polsce ponad milion — zastąpiły Sarmatom konie, a kierowcy szarżują na wszystkich i na wszystko, stając się przy tym przyczyną prawie połowy wypadków drogowych. Szybkość w miastach jest w zasadzie ograniczona do 40 km./godz., a tylko na niektórych ulicach dozwolone jest rozwijanie 60 — ale na wiadukcie i moście Poniatowskiego jeździ się spokojnie setką (nie wyłączając autobusów miejskich), i to do tego w niemałym zagęszczeniu, bo przez skrzyżowanie Nowy Świat — aleje Jerozolimskie przejeżdża dziś w godzinach szczytu do dziesięciu tysięcy pojazdów na godzinę. Także stumetrowej szerokości Marszałkowska, mimo licznych przecznic, wydaje się wielu kierowcom torem w Indianapolis. Można sobie wyobrazić co wyrabiają posiadacze samochodów, kiedy wyrwą się na proste i pustawe szosy.

Ale niektóre szosy w Polsce stały się tłoczne jak Nowy Świat. Warszawa-Łódź, Gdańsk-Gdynia, Kraków-Katowice, Kraków-Zakopane. I tam jest właśnie mniej wypadków spowodowanych przez przechodniów i chłopskie furmanki — tłok sprzyja widocznie większemu przestrzeganiu przepisów. Ale i tam nigdy nic nie wiadomo. Trzeba więc, żeby turysta wybierający się do Polski własnym samochodem, o tym wszystkim pamiętał. Ja ostrzegałem!



Turysta polonijny nie będzie miał zapewne w zasadzie trudności z porozumieniem się po polsku. I to jest jego szczęście, bo języki obce nie są wiedzą zbyt popularną ani w restauracjach, ani w kasach biletowych *Orbisu* czy *Lotu*, nie mówiąc o dworcach kolejowych i autobusowych.

— Drei Martini? — zdziwił się kelner w warszawskim *Bristolu* widząc nas tylko dwóch amatorów dry Martini. I co najgorsze to to nie jest dowcip. Bywa i inaczej: zamawiający gdankaniem i ruchami dojenia swoje śniadanie turysta francuski — natknął się na kelnerkę-reemigrantkę z Francji, która go — jak mówi Wiech — fatalnie obcięła w płynnym paryskim *argot*. Stary juhas na Gąsienicowej dyskutował z Amerykaninem zagraniczną politykę USA, posługując się przy tym powolnym *drawl'em* rodem z Teksasu, gdzie spędził na emigracji lat coś dziesięć. (Amerykanin był dla odmiany nowojorskim adwokatem z Małego Cichego z wizytą w Polsce, pierwszą od lat wczesno-młodzień-

czych: „Tak się, wicie panie, kotwiło za tymi gróniami, — tak się fciało pość w ty hole na zjintyce, na bundz, na oscypek...”).

Są hotele, gdzie można porozumieć się w co najmniej dziesięciu językach, a równocześnie są kasy, gdzie poza polskim żaden język nie ma obiegu. Nawet kasy zagraniczne. Zastanawiające jest w tym, gdzie się podziewają te wszystkie dziesiątki tysięcy uczących się obcych języków na setkach najrozmaitszych kursów, bo w miejscach uczęszczanych przez zagranicznych turystów, jakoś ich mało widać.

W kasach wymiany w PeKaO nie trzeba znać żadnego języka, wystarczy podsunąć forszę, otrzymać asygnatę i poczłapać do kasy po krajową walutę. W sklepach można od biedy pokazać palcem co się chce kupić, a sprzedawczyni w zamian pokaże paragon z ceną — i znów nie trzeba znać żadnego języka, bo na jakość nabytego towaru można się poskarżyć sobie samemu w dowolnie wybranym języku. Podobnie w kasie kolejowej można wystękać: Kraków, pokazać jeden palec na klasę, drugi na ilość miejsc, w kalendarzu datę, papierosem — przedział dla palących i dołożyć ewentualnie powszechnie zrozumiałe słowo „express” — a wyniki sprawdzimy na bilecie. W restauracjach o klienteli mniej więcej międzynarodowej jest zawsze menu po angielsku, francusku, niemiecku, co się może przydać także emigrantom, którzy po trosze zapomnieli pewnie co to jest sztuka mięsa w sosie chrzanowym, zraz zawijany z kaszą, kołduny — i mogą mieć trudności z nową kuchnią, a właściwie nazwami, jak: bryzol, forszmak dragomirowski, kotlet po kijowsku, albo serwowane w restauracjach Wybrzeża ryby z wód Afryki Zachodniej.

Nie trzeba uczyć Polaków, skądkolwiek by oni przybywali, co to jest wyborowa, jarzębiak, starka, żubrówka — ale wódek jest dziś w Polsce chyba najmniej czterdzieści gatunków, łącznie z jabłkówką, cytrynowką, porterówką, śliwówką (nie mylić ze śliwowicą), wiśniówką, wiśniakiem, wiśniakiem na rumie, — natomiast ostrzegam przed zamawianiem francuskiego koniaku, szampana, szkockiej whisky, których ceny w restauracjach idą w setki złotych. Zamiast tego można mieć po mniej więcej rozsądnych cenach szampan radziecki, takiż koniak w kilku gatunkach, polski winiak, koniak bułgarski (straszne świństwo), doskonałe wina węgierskie, jugosłowiańskie, kiepskie bułgarskie, bardzo dobre kaukaskie i krymskie, drogie włoskie i francuskie, vermuthy łącznie z polskim Monte Verde (Zielona Góra).

Chociaż przewodniczący Rady Państwa bywa w niedzielę na obiedzie w *Bristolu*, a premier Cyrankiewicz pija swoją południową kawę w *Europejskim*, to jednak większość klientów w tych lokalach to nie „nowa klasa”, lecz raczej stara, a z nowej to

przede wszystkim trochę artystów no i waluciarze. Do lokalu w rodzaju warszawskiego *Krokodyla* czy krakowskiego *Wierzyńka* należy zamówić stolik rano, by być pewnym, gdzie będzie się jadło kolację. To samo należy doradzić mieszkańcom dużych hoteli o małych restauracjach jak *Francuski* w Krakowie, czy *Bazar* w Poznaniu.

Telefon został jak wiadomo wynaleziony w celu ułatwienia życia, ale tego nie przewidziano w kraju. Zamówienie czegokolwiek przez telefon w zasadzie się nie liczy, a za ten stan rzeczy należy chyba winić przede wszystkim dowcipnisiów, którzy robili sobie *practical jokes* w wyrafinowanym stylu. Inna rzecz, że można zamówić dostarczenie do domu artykułów spożywczych z Delikatesów, ale chyba na kosze, bo inaczej się firmie państwowej nie będzie „opłacało”. Można jeżeli ma ktoś pół dnia wolnego — dzwonić do informacji *Orbisu* lub PKP, i niezawsze doczekać się podniesienia słuchawki z drugiej strony, ale w żadnym razie nie należy zamawiać hotelu telefonicznie: nie przyjmą.

Sieć telefoniczna w Polsce jest zautomatyzowana ale o tyle tylko, że to telefonistka w międzymiastowej wykręca numer w zamówionym mieście, a nie klient, — toteż na rozmowę z Krakowem można czekać parę godzin. Tu wypada stwierdzić, po raz nie wiem który, jednak wyższość Polski nad Związkiem Radzieckim, bo tam zamówienie Moskwy z Kijowa trwa co najmniej jeden dzień!

Telefon prywatny, domowy, nie jest już rzadkością, ale są dzielnice nawet w Warszawie, gdzie na założenie telefonu czeka się, bez żadnej przesady, latami, i to po wykorzystaniu wszelkich możliwych protekcji i znajomości, po dostarczeniu dowodów, że telefon jest niezbędny do pracy etc. A wytłumaczenie jest jedno: brak kabli, brak dzielnicowych central i podcentrali. To prawda, że w Warszawie sieć telefoniczna była zniszczona całkowicie a automatyczne centrale rekonstruowali sami pocztowcy sposobem chałupniczo-domowym, ale ile w końcu lat można się w ten sposób przed obywatelami tłumaczyć?

Na wsi telefon jest rzadkością o wiele większą niż telewizja, i jest niemało wiosek, gdzie jedyny telefon znajduje się w zarządzie gromady — wątył łącznik ze światem. A jeśli jest jakiś drugi, to chyba tylko w sklepie Samopomocy Chłopskiej.

Takie odcięcie od świata ma swoje uroki i wielu ludzi przemęczonych nie tyle pracą ile atmosferą w pracy, znajduje ulgę w fakcie, że stają się na ileś tam tygodni nieosiągalni dla swych szefów i kolegów. Tym może się tłumaczyć coraz większe powodzenie wakacji spędzanych w Bieszczadach, w cichych wioskach

Podlasia, Mazowsza, Pomorza Zachodniego, Beskidu. Eskapizm — powiedzieliby w warszawskiej *Kulturze*.

To oddalenie od spraw dnia codziennego, od budowy socjalizmu, od wojen, politycznych nonsensów, Wietnamu, chińskiej rewolucji kulturalnej — to są największe uroki turystyki w Polsce. I gdyby zrozumieli to wreszcie kacykowie od turystyki — Polska zapełniłaby się tłumem ludzi szukających właśnie takiego wytchnienia. Polska, kraj niezepsutej przyrody, lasów, jezior, gór bez wielkich hoteli i zmasowanych kolei linowych, wiosek, gdzie życie toczy się koleją niezmienną od stuleci. Jeżeli takiej Polski szukacie: jedźcie ze mną...

R o z d z i a ł V

... W POLSKĘ!

W prasie nazywa się to różnie: Polska powiatowa, prowincja, Polska B (dodawane z odcieniem pogardy dla czasów sanacji, które tę nazwę wprowadziły) — a dla mnie i dla wielu innych, będzie to Polska dawna, niezmienna, jakiej nie znajdziecie na Marszałkowskiej, Piotrkowskiej czy Świerczewskiego.

Kolejka wilanowska odchodzi dziś nie z placu Unii, ani nie z Belwederu, ale z Wilanowa — ale motorowy wagon ciągnie te same wagoniki co przed pięćdziesięciu laty: do Jeziorny, Konstancina, Skolimowa, Chylic, Piaseczna, gdzie na ulicy Chyliczowskiej do dziś istnieje sklepik, w którym hen przed wojną kupowałem czekoladę Wedla z gwiazdkami ekranu. Dziś nie ma tej czekolady, fotosy gwiazd kupuje się w kioskach *Ruchu*, a Zakłady 22 Lipca tylko na eksport nazywają się E. Wedel. Nie ma także tłumnych targów, na które we wtorki i piątki zjeżdżali okoliczni chłopię, czasem aż spod Góry Kalwarii słynącej cadykiem, którego hitlerowski *Endlosung* wysłał do komory gazowej Treblinki. Piaseczno stało się prawie przedmieściem Warszawy, której granica przebiega zaledwie o parę kilometrów od miasteczka: zwykły los, choć nie wszyscy już muszą dojeżdżać do pracy do stolicy, bo pod bokiem w Iwicznej wyrosły przeszklone bloki nowoczesnej fabryki kineskopów i lamp elektronowych. W upalne letnie niedziele tłumy jadą wilanowską kolejką, grójceką, elektrycznym z Warszawy-Śródmieście, autobusem, własnym samochodem, motocyklem do pobliskiego Zalesia, do campingowego ośrodka z brudnawym basenem, ale za to bez wody do picia. To jest wycieczka dla ludzi bez wyobraźni. Piaseczno, Zalesie, to forpocztę wielkiego miasta, ale wystarczy byśmy pojechali trochę dalej, tam gdzie zaczyna się Polska nieznaną, do Góry Kalwarii,

Czerska, który był stolicą Mazowsza nim Warszawa powstała. Tu życie toczy się biedne i niezmiennie od setek lat, a nowoczesnością można nazwać chyba tylko pobieranie opłaty za wstęp do ruin zamku. Tu, o czterdzieści kilometrów od stolicy zaczyna się stara Polska mierząca czas Bożym Narodzeniem, Wielkanocą, Bożym Ciałem, gdzie ludzie rodzą się „na świętego Michała”, „we żniwa” — gdzie czas stoi ciężki upałem, powolny odwiecznym prawom, daleki wydarzeniom. Na bielone ściany pną się winorośle, malwy strzelają kolorowym cieniem, skrzypią studzienne żurawie, Anioł Pański kończy dzień. W niedzielne popołudnia dziewczyny idą do Góry Kalwarii, gdzie koszary, gdzie kino, gdzie knajpy Samopomocy Chłopskiej, — zabawa „na dechach”, łody w zielonym kiosku, stacja końcowa kolejki, która może zawieźć do innego świata, który tu nie dotarł i nie prędko dotrze.

Ileż takich miejsc w kraju, ileż tysięcy takich wiosek, osiedli, miasteczek — zamieszkałych coraz częściej tylko przez ludzi starych — na nowo odkrywanych przez spragnionych wytchnienia mieszczuchów niosących ze sobą obce obyczajaje, hałaśliwość, nawet wbrew samym sobie. W małych miasteczkach, gdzie miejscowy *high-life* składał się z aptekarza, księdza, nauczyciela, notariusza, lekarza — nowe stosunki niewiele zmieniły, może tylko rozbiły miejscowe bridżowe przyjęcia na dwa stoliki, dorzucając sekretarzy partyjnych, przewodniczących rad narodowych, a ujmując okolicznych ziemian. Może także podzieliły nierówno: na dbających o kariery, i nie — ale to wszystko. Sekretarz partyjny, nauczyciel, też chodzą do kościoła, jeśli chcą mieć autorytet, jeśli chcą mieć w ogóle cokolwiek do powiedzenia. Małomiasteczkowy proboszcz, dziekan, są osobą pierwszą po Bogu, daleko przed miejskimi władzami, — to z nim muszą się liczyć sekretarze partyjni, a nie odwrotnie. I tak jest właściwie wszędzie na prowincji: Kościół Milczenia?

Z mostu Poniatowskiego, z Ronda Waszyngtona, zjeżdżamy w dół Jakubowską, skręcamy na Wał Miedzeszyński, — droga prowadzi wzdłuż Wisły, przez Miedzeszyn, Otwock, przez Maciejowice z dębem, pod którym padł ranny Kościuszko, przez śliczne Puławy ozdobione gigantycznym kombinatem nawozów sztucznych — do Kazimierza. Po drodze cygańskie wozy w wędrowce, chmielowe tyki koło drogi, pęki schnącego tytoniu na dachach mijanych domów, pierwsze śpichrze, parking, — a potem cudowny rynek renesansowego miasteczka. Tu przyjeżdżają snobi, od czasu jak byle kto zaczął jeździć latem do Paryża, — poza tym malarze, architekci, nagle skojarzone na jeden *week-end* pary: do *Domu Architektów*, na obiad do *Esterki*, nad Wisłę

szeroko rozlaną, do ruin kazimierzowskiego zamku, w barokowy chłód kościoła. Puławy przestały być rajem emerytów i ludzi zmęczonych życiem i codziennością — Kazimierz pozostał.

Polska przesunęła się na zachód, — na wschodzie pozostała cisza, rozległe pola, lasy nad spokojnymi wodami Wisły, Bugu, Sanu, — puste białe drogi na Zamość, na Lublin, na Sandomierz. Ale Lublin nie jest już dawnym spokojnym miastem — to przemyśl, trzy wyższe uczelnie, Majdanek z komorami gazowymi o niskich sufitach pooranych palcami umierających ludzi. Zamość to uniwersytet ludowy w Zamoyskiej Akademii, Sandomierz różnorodny tłumem studentów z międzynarodowych sympozjów, malarzy, artystów, oczadziałychem pięknem, ciszą, niemijaniem wieków. Polska południowo-wschodnia: ziemia nieodkryta. Bieszczady brzmiące wyskaniem podhalańskich juhasów, zbyrcieniem dzwonek stad, kolorowe od tysięcy namiotów. Ziemia nieodkryta? Dwie setki kilometrów na zachód, do Krakowa, gdzie prowadzą wszystkie szlaki turystyczne: dwie setki kilometrów nabrane kolorem, zielenią gór, potokami pędzącymi swe wody do Bałtyku i Morza Czarnego, — miasta tysiącletnie, cudowne romańskie, gotyckie kościoły, drewniane cerkwieki Łemków, wieże średniowiecznej szkoły katów w Bieczu, Tarnów generała Bema, uzdrawiająca Krynica, Żegiestów, Iwonicz, Piwniczna — krajobrazy liryczne, własne, niespotykane gdzie indziej, niepowtarzalne. I nowość tych okolic — pieniądze zarabiane w fabryce autobusów w Sanoku, w zakładach elektrycznych Rzeszowa, w kopalniach siarki Piaseczna, Tarnobrzega. Na każdym stole w Polsce pada się do wódki kryniczankę, a Zuber i tuzin innych wód leczą ludzi starych i młodych. Polska nieodkryta?

Kraków? wiemy: Wawel, Wit Stwosz, galeria Czartoryskich, stara synagoga na dawnym żydowskim Kazimierzu, brama Floriańska, kościoły świętego Wojciecha, świętego Idziego, Skałka, pobliska Wieliczka, może Nowa Huta, na pewno: Oświęcim, miasto czterech milionów cieni, gdzie śmierć tysięcy była codziennym wydarzeniem pod czarną ścianą bloku jedenastego, w komorach gazowych pobliskiej Brzezinki, gdzie krzyżowały się linie bydlęcych wagonów i ludzkich losów z Kopenhagi, Rotterdamu, Warszawy, Rzymu, Budapesztu, Kijowa i Paryża. Do dziś smak herbaty w Krakowie psuje płynący z podskórnych wód fenol oświęcimski. Kraków, miasto szczęśliwe, skąd każda ulica wywozi w świat cudów przyrody: Błędownską Pustynią z fata-morgana, krakowską jurę o skałach zwieńczonych ruinami zamków, do Ojcowa, Pieskowej Skały, w tak niedaleki świat młodości Żeromskiego, do Wiśnicza, Baranowa. Wreszcie w Gorce, Pieniny, nad zaporowe jeziora Beskidu, w Tatry.

„U nas w Ludźmierzu było ślicznie. Dunajec szedł przez wieś popod sam dwór. Z jednej strony stały Gorce, z drugiej Tatry jak stalowy mur” — to Tetmajer.

Z alei Trzech Wieszców, koło Akademii Górniczo-Hutniczej, koło Biblioteki Jagiellońskiej skręcamy w Zakopiańską. Wśród pyłu z chemicznych fabryk, kurzu, wyłania się spomiędzy zielonych wzgórz droga ku górom tak mało znaczącym w polskim krajobrazie, a tak wiele w historii kultury. Nie widząc ich nigdy pisał o nich muzykę Stefani, Moniuszko, odkrywał je Staszic, zdobywało całe pokolenie taterników w okresie tak romantycznym jak Afryka Stanleya i Livingstona. Mieszka tam lud nie znający pańszczyzny w swych dziejach, który przechował starą polszczyznę (Sienkiewicz swych „Krzyżaków” pisał stylizowaną gwara podhalańską), budownictwo mądre, sztukę cudowną w swej prostocie tak bliskiej najlepszej sztuki nowoczesnej. Nawet Janosikowe zbójnickie tradycje nie zaginęły: spytajcie fiakra o cenę przejazdu z dworca na Bystre...

Polska dzisiejsza ma wiele obszarów górskich. Nieznane starej emigracji sudeckie Bierutowice, Karpacz, Szklarska Poręba, Kudowa, Łądek Zdrój, Świeradów, — stare, popularne miejscowości jak Wisła, Szczyrk, Jeleśnia, Zubrzyca, — ma dziesiątki osad podgórskich na wschód od Rabki — nie ma tylko Howerli i Pop Iwana. Modne się stają coraz bardziej, nad Wierną Rzeką w Puszczy Jodłowej zatopione Góry Świętokrzyskie. Ale Tatry na zawsze zostaną miejscem pierwszym, o każdej porze roku, w każdym sezonie, i dla każdego. Dla tych, którzy chcą grać w bridża po dziesięć złotych za punkt w domu rzemiosła, dla tych, którzy pójdą w Pańszczycę czy na Polanę Waksmundzką podglądać świstaki i słuchać trąbienia kozic na Buczynowych Turniach i Wołoszynie.

Poszerzana nowoczesna, ale już znów zbyt wąska droga niesie tysiące turystów dziennie przez Obidową i Nowy Targ. Kilka pociągów i kilkanaście autobusów dziennie przerzuca z Krakowa wczasowiczów w podtatrzańskie doliny i gronie: do Kościeliska, Bukowiny, Murzasichla, Ratułowa, Chochołowa. Przeszło milion ludzi rocznie — wyłącznie w sezonie letnim — nawiedza Morskie Oko, fotografuje się u Wodogrzmotów Mickiewicza, wspina się na stawiarską ścianę Czarnego Stawu. Na Giewont chodzą od Kondratowej nawet zakonnice w habitach, całe szkoły z nauczycielami, podobno widziano tam nawet krakowskiego fiakra w meloniku. Coraz więcej ludzi w ucieczce przed tłumem, sięga po liny, haki, by pójść w niedostępne ściany: na Kozi, na Zamarłą, na Mięguszowiecki, — w wapienne jaskinie Kościeliskiej, Małej Łąki.

Krupówkami, Kościuszki, spaceruje opalony tłum, beztroski, opanowany tylko jedną myślą: jak najśmieszniej spędzić dzień następny — na grzybach na Kopieńcu? pod Siedmioma Kotami na Cyrhli? na Gubałówce, U Jędrusia, pojechać na drugą stronę Tatr do Tatrzańskiej Łomnicy, Smokowca, Jaworzyny Spiskiej?

Tatry zostały, ale dawnego Podhala trzeba szukać po odległych wioskach, gdzie jeszcze żyją ostatni dudziarze, gdzie na użytek przede wszystkim amerykańskich górali wyrabia się juhaskie pasy, haftuje bukowe portki i cuhy, rzeźbi i mosiądzem okuwa strojne ciupagi, jaworowe formy do oszczypków.

Na Gubałówce zakończył swą niesławną karierę wódz wojenno „Goralenvolku”, Wacław Krzeptowski, powieszony przez samych górali „w gaciak jino, bo portki góralskie śhanbiel”. Pod Krokwią w pobliżu pięknego stadionu zimowego, wyrosły sportowe hale, hotel dla zawodników i oficjeli, na nowych Krupówkach B — ulicy 1 Maja — wyrosły pięciopiętrowe bloki mieszkalne. Całe osiedla spółdzielczych i prywatnych domków zamieniły podtatrzańskie łąki i zagajniki w ludne dzielnice. Nad Zakopanem wiszą ciemne chmury dymów nie wywiewanych z Doliny Cichej Wody, obliczanej kiedyś — bardzo niedawno — na maksymalne zaludnienie nie przekraczające 25 tysięcy. Ale obliczenia te zakończono, gdy mieszkańców było już kilka tysięcy więcej, i nadal przybywa. Narodowy Park w swej wynaturzonej idei, wypłasza owce, kładzie kres redykom, które od siedmiuset lat grzmiały muzyką po tatrzańskich perciach. Coraz częściej mówi się o budowie nowych kolejek linowych — ponad siedemdziesiąt projektów złożono krakowskim władzom wojewódzkim! — jakby Kasprowego było mało, jakby mało było ścieżek bitych budowanych w głąb gór, gwałcących nietykalność dzikiej przyrody. Cześć po swojej stronie zepsuli już co mogli: kolejką na Łomnicę, Cestą Svobody, ośrodkiem turystycznym nad Szczyrbskim Jeziolem — czy kolej na polskie Tatry?

Przeciętna gęstość zaludnienia przekroczyła już w kraju sto osób na 1 km.², przy czym trzy albo i pięć razy tyle wynosi ona na Górnym Śląsku, a mniej niż połowę w województwach wschodnich, — i biada turyście zagranicznemu, gdy zjawi się pod Tatrami, w Beskidach, na Mazurach, czy na Wybrzeżu w okresie, gdy gęstość zaludnienia przenosi się w tamte okolice. Kilkumilionowa masa turystów poruszająca się wszelkimi dostępnymi środkami lokomocji wypełnia szczerlnie cały kraj od Międzyzdrojów do Komańczy, od Giżycka i Węgorzewa do Dusznik, Malinki i Makowa Podhalańskiego, od Szwajcarii Kaszubskiej i Borów Tucholskich po Zmarzły Staw i Roztokę. Nadmiar wylewa się poza granice: do Czechosłowacji, nad Balaton, do Mamai,

Warny, Opatiji, rzadziej na Krym, Kaukaz. Turysta przyjeżdżający do Polski w sezonie wakacyjnym musi nauczyć się poruszania we wszechobecnym tłoku, wystawiania wszędzie w ogonkach do kas *Orbisu*, na sopockie moło, do kolejki linowej, po lody, wodę sodową. Do tego mieszkańcy już przywykli i jeżeli narzekają to tylko na nadmiernie długie kolejki, lub na dotkliwie braki w zaopatrzeniu. Podróż na korytarzu przez 8 czy 10 godzin nikogo nie dziwi i — nawet — nie przeraża. Przeraża natomiast turystów z zagranicy. Ale moje rady i ostrzeżenia nie zmieniają faktów — mogą tylko uprzedzić, czego należy się w kraju spodziewać i jak się do tego przystosować.

Kogo należy winić za taki stan rzeczy? Turystów? Ludzi, którzy ruszają w Polskę w poszukiwaniu odpoczynku? Czy też takie ustawienie spraw, że zarządom miejskim napływ turystów się nie opłaca! Rada narodowa Zakopanego, Sopotu, czy setki innych miejscowości wypoczynkowych, nie ma nic z tysięcy turystów poza wydatkami na konieczne inwestycje, bo dochody trzeba i tak odprowadzić do skarbu państwa, które nie zawsze (a raczej rzadko) dostrzeże potrzeby odległej miejscowości. To prawda, że na turystyce zarabiają właściciele willi, prywatni sklepikarze, właściciele taksówek, ludzie wynajmujący łódki, leżaki — ale ich zarobek jest ich zarobkiem własnym, nie wpływającym w żadnym stopniu na lepsze zaopatrzenia sklepów, na poprawę państwowej komunikacji, na zwiększenie ilości restauracji, czyli wszystkiego tego, czego brak najbardziej daje się odczuwać sezonowej stoncy wczasowiczów. Dobrze, jeżeli na Podtatrze pojawia się premier, bo wtedy nagle w sklepach pojawia się szynka, bekon, kiełbasa i więcej niż dwa gatunki papierosów. Ale ani członków rządu, ani KC nie starczy, żeby obsłużyć paręset miejscowości, gdzie takie luksusy jak wyżej wymienione — nie bywają. Toteż turysta krajowy coraz częściej zmotoryzowany jeździ z własnym namiotem, własnym żarciem i piciem, uniezależniając się od nieruchawych rad narodowych, a one mogą się cieszyć, że wobec tego zbędne się stają kosztowne inwestycje obciążające „niepotrzebnie” wąty prowincjonalny budżet. Czy inaczej jest z turystyką zagraniczną? Skądże znowu. Dochody dewizowe też przecież nie wpływają do kas powiatowych czy wojewódzkich — lecz przepływają przez nie do Banku Narodowego. Zresztą właścicielem większości luksusowych urządzeń turystycznych nie jest rada narodowa, lecz *Orbis*, nie podlegający przecież lokalnym władzom. A dla mieszkańców takich miejscowości napływ turystów oznacza zawsze jedno: dłuższe ogonki do bardziej pustych sklepów i niemożność korzystania z bardziej zatłoczonych plaż. I wobec tego wyjeżdżają oni do innych miejscowości turystycz-

nych, na drugi kraniec Rzeczypospolitej, by tam z kolei zwiększyć tłok i obrzydląc życie tubylcom.

Ideologia partyjna zaczęła wprawdzie od pewnego czasu dopuszczać do takich zdrożności jak prywatne prowadzenie stołówek dla coś (nie więcej, broń Boże) trzydziestu osób, jak wydzierżawianie mniejszych sklepów, barów i restauracji osobom prywatnym, ale zasadniczego wpływu na poprawę najbardziej podstawowych usług mieć to nie będzie. Ilość lokali zostanie ta sama, może tylko poprawić się jakość. A samo to — choć to wiele — nie wystarczy. Dodajmy jeszcze, że nawet najbardziej prywatnie prowadzony lokal musi produkty żywnościowe, wodę mineralną, piwo — kupować w państwowych hurtowniach, które są zaopatrywane na zasadach opracowywanych centralnie, czyli na ogół bez uwzględniania ludności wakacyjnej. To są sprawy, których nawet najsprawniejsze planowanie nie byłoby w stanie przewidzieć — tu potrzeba elastyczności. A tej w tym systemie nie ma, bo być nie może. Przez lat dwadzieścia przedsiębiorstwo kolportażu Ruch — instytucja przecież przedwojenna i doświadczona — nie potrafiło wypracować systemu rozdziału prasy w sezonach wakacyjnych, w związku z czym miejscowości turystyczne otrzymują tę samą ilość dzienników, co w innych okresach roku. To jest jeszcze jedno miejsce na ogonki: kioski z gazetami.

Sezon letni bywa na ogół sezonem upałów, nie sprzyjających jak wiadomo przechowywaniu na przykład mięsa czy wędlin. Dziś nawet najbardziej prowincjonalne sklepy wyposażono w lody chłodnicze, lodówki, ale czasem zapomniano o ich podłączeniu, albo na przykład o zwiększeniu budżetu sklepiku o wydatki związane ze zwiększonym zużyciem prądu. Byłem niedawno w Giżycku, gdzie na próżno szukałem kawałka wędliny. Wędliny są — odpowiedziano mi w jednym miejscu — ale zaśmierdłe, nie mamy pieniędzy na opłatę elektryczności.

Kiepskie zaopatrzenie sprawia, że jakość usług w restauracjach musi także pozostawiać wiele do życzenia. Że piwo nie z lodu? Ludzie i takie wypiją, więc po co się trudzić, skoro to dochodu nie podnosi. Polska jest pewnie jedynym krajem, gdzie w kioskach z napojami chłodzącymi wiszą tabliczki: w razie braku napojów gazowych, obsługa obowiązana jest podawać wodę z kranu bezpłatnie. A równocześnie w pogoni za dochodem (plan!) w schroniskach górskich pojawiło się wino, które może przecież stać się przyczyną wypadków w bądź co bądź niebezpiecznym terenie. Wino w Polsce uchodzi za *soft drink* i może być sprzedawane również w soboty i w dni wypłat, kiedy sklepy monopolowe są zamknięte. W te dni można jednak nabyć alkohole importowane: koniaki, rum, po cenach dostępnych tylko dla

klas posiadających (pieniądze). — *Pecunia non olet*, byle było tego dużo i w kapitalistycznej walucie. A przy tym w niedziele nie dostanie się w żadnej restauracji świeżego pieczywa, bo to przecież kraj katolicki i w niedziele nikt nie będzie w piekarni pracował.



Cudzoziemcy w Związku Radzieckim mogą poruszać się — nawet własną komunikacją — tylko po wyznaczonych szlakach. Ale Polska to nie Rosja i tu każdemu wolno szwendać się, gdzie chce. W tym względzie nie ma żadnych ograniczeń. Zniesiono także stary przepis nakazujący pasażerom Lotu oddawanie aparatów fotograficznych do przechowania obsłudze na czas podróży. Przepisy mówią, że nie wolno w Polsce fotografować obiektów wojskowych, urzędów granicznych, kolejowych, mostów. Ale w rzeczywistości każdy przecież robi sobie pamiątkowe zdjęcie na Kasprowym Wierchu przez który przebiega granica polsko-czechosłowacka, a za urządzenia graniczne można tam uznać chyba tylko kołki wbite w ziemię, oddzielające dwa kraje budujące socjalizm. Nikt także nie będzie miał pretensji, jeżeli zrobi się pamiątkowe zdjęcie ciotki z Detroit na Poniatoszczaku, albo na Okęciu. Ale zarządzenia istnieją. Widocznie po to by je — tak jak wiele innych — obchodzić, co tylko tym bardziej poucza zwłaszcza młodzież o wartości obowiązujących praw. Z drugiej zaś strony, jeżeli władze bezpieczeństwa chciałyby na kogoś znaleźć dodatkowy kij, to można pod szpiegostwo na siłę podciągnąć nawet zdjęcie, na którym widać wśród tłumu innych ludzi, na przykład kilku żołnierzy. Bo wtedy mogą się oni nazywać „urządzeniem wojskowym”. C.b.d.o. — jak się kończyły przykłady w gimnazjalnym podręczniku geometrii.

Tuzin lat temu, a więc w okresie tzw. błędów i wypaczeń, szukałem razem z przyjacielem polskich bunkrów na Westerplatte. Był to wtedy teren wojskowy i co kilkadziesiąt metrów stały poobtłukiwane tabliczki ostrzegające, że „będzie się strzelać bez ostrzeżenia”. Napotkaliśmy tylko dwa patrole wojskowe, z którymi wymieniliśmy poglądy na sprawę trwałości pogody. I nikt do nikogo nie strzelał. A równie dobrze mogło się to skończyć oskarżeniem o szpiegostwo i kilkoma latami pułda. — Co to jest — mówi popularna zagadka — szare, kudłate, ma cztery łapy i ogon, i leci w powietrzu? — Kot kopnięty w d... — brzmi prawdziwa odpowiedź. Wbrew intencjom taka zagadka może stać się dowcipem politycznym. Przynajmniej w Polsce.



Na ważniejszych skrzyżowaniach ulic w Warszawie widać zielone tabliczki z numerami E8, E12 i td. — czyli oznaczenia dróg międzynarodowych w nomenklaturze europejskiej. Ale to ma znaczenie chyba przede wszystkim moralne dla polskich użytkowników, bo o ułatwieniach wizowych znanych już we wszystkich innych demoludach, jakoś nie słychać. Polska wprawdzie wyemancypowała się od NRD i ma prom przewożący skandynawskich turystów ze szwedzkiego Ystad do Świnoujścia (poprzednio przed wielu laty istniejący prom zlikwidowano na żądanie Niemiec Wschodnich, dla zapewnienia im monopolu na przewóz pasażerów via Sassnitz), ale wize wydawane na samym promie albo na granicy ważne są tylko na województwa nadmorskie. Nawet w ruchu konwencyjnym między zaprzyjaźnionymi krajami jak Polska i Czechosłowacja, pas dostępności dla czeskich gości kończy się na Krakowie — choć prawdę mówiąc mało który z nich nie jedzie do Warszawy — a dla Polaków jeszcze bliżej, choć na ogół odwiedzają oni Pragę. Wiza wydawana na Targi Poznańskie nie jest ważna na inne części kraju i *businessman*, który chce odwiedzić stolicę, musi taką wizę sobie w miejscowej milicji rozszerzyć. Natomiast, jeżeli ktoś już załatwił sobie normalną wizę turystyczną — nie będzie miał żadnych trudności z poruszaniem się po całym kraju. Mało: pies z kulawą nogą o nic go nie zapyta, a jeśli będzie samochodem, to obce znaki rejestracyjne uchronią go od mandatów i zbędnego zatrzymywania przez milicyjne patrole drogowe. Więcej: turysta zagraniczny odwiedzający Polskę może bez żadnych dodatkowych formalności pojechać na parodniową wycieczkę do czechosłowackiego pasa konwencyjnego posługując się przy tym wyłącznie *Orbisem*. Ale płacić będzie w dewizach. Orzeł zygmunowski miał wplecioną w swą sylwetkę literę S — dzisiejszy powinien mieć raczej \$.

Nie tylko państwo cieszy się z przyjazdu dewizowych rodaków. Widziałem kiedyś rano w *Bristolu* paru młodych ludzi o wyglądzie naciągaczy, którzy dawali sobie stawić na śniadanie francuski koniak i pomidory (był czerwiec, a więc pomidory jeszcze piekielnie drogie) jakiemuś amerykańskiemu jeleniowi. Nie czekałem na jego omdlenie na widok rachunku. Polska jest pełna takich naciągaczy. A metod naciągania jest nieskończona ilość. Jeżeli z rozbawionego grona odłącza się młody człowiek i zapewniana nas, że dziewczyna w jego będąca towarzystwie jest zafascynowana naszą urodą — nie idziemy tam. Bo zwykle towarzystwo najadłszy się i napiwszy, będzie się zwolna ulatniało, aż zostaniemy przy stole sami. A właściwie nie sami, bo z rachunkiem. W taki sposób został „zrobiony w konia” mój znajomy, tubylec, który zdawałoby się był obznajmiony z różnymi zagraniami rodaków.

Taki numer w pewnych kołach uchodzi za tytuł do chwały — i nie my będziemy ten pogląd zmieniać. Możemy tylko — i powinniśmy — takich towarzystw unikać. Wiadomo także, że w miejscowościach kuracyjnych grasują bridżowi mistrze nad mistrzami, których dochodem głównym jeżeli nie jedynym jest wygrywanie — w sposób zresztą uczciwy — przy zielonym stoliku. Bywają to ludzie o tytułach inżynierów, doktorów, którzy wszakże najlepiej opanowali zawód karciany, a przynajmniej on im największe dochody przynosi. Mistrzowskie operowanie pięćdziesięcioma dwiema kartami może przynieść w ciągu jednej nocy więcej niż wynosi miesięczna pensja inżynierska. Ludzie tacy spędzają sezon letni w Sopocie, a zimowy w Krynicy lub Zakopanem. Oczywiście na koszt gorzej grających.



Ogromna większość odwiedzających Polskę, to Polonia, a więc ludzie którzy znajdują się pod opieką stęsknionej rodziny, na ogół w rodzinnych okolicach, chyba że te okolice stały się częścią Białorusi albo Ukrainy. I w takim wypadku moje rady nie staną się nieaktualne, bo niezawsze rodzina miała czas i środki finansowe na odbywanie forsownego zwiedzania kraju ojczystego, — i wobec tego nie zawsze się orientuje jak łatwo (albo jak trudno) jest podróżować po Polsce *Orbisów*, *expressów*, restauracji kategorii R.

Oczywiście rodzina pracująca miała tu i tam okazję odbycia wycieczki na wczasy pracownicze do domu Funduszu Wczasów, za pół ceny biletu i jedną dziesiątą wartości pobytu. Ale to nie to samo i rady podróżne takiej rodziny będą tyleż się warte co i wskazówki zawarte w oficjalnych przewodnikach turystycznych. Będą to rady oficjalne, a w ten sposób — jak wiadomo — w Polsce daleko się nie zajędzie. A jeżeli daleko — to przynajmniej drogo. A tymczasem wbrew wszelkim pozorom najtańszym sposobem poruszania się po kraju jest dojście do porozumienia z prywatnym taksówkarzem i zapłacenie mu w dolarach — a suma okaże się znikoma dla turysty wysoka dla drugiej strony. I w ten sposób ku obopólnemu zadowoleniu można się niezależnie od tłoku w kolejach. Szczegóły transakcji pozostawiam indywidualnej pomysłowości. Uprezdam tylko, że pewien słabo po polsku mówiący Amerykanin polskiego pochodzenia jechał z Warszawy do Kielc na taksometr, co może kosztować tyle, co trzy rowery, albo jeden moped.

Hotele *Orbisu*, miejscowości turystyczne, uzdrowiska obsadzone są gęsto przez urodziwe dziewczyny, których imiona po-

winy pisać się \$tasia, Kry\$ia, Ba\$ia, a ile razy w ich imieniu należy powtórzyć znak \$ przekonał się na własnej kieszeni niejeden nieostrożny turysta. Pod tym względem najniebezpieczniejsze są miasta portowe i bałtyckie kąpieliska, choć nie należy lekceważyć wyrobienia dewizowego dziewczyn stołecznych, ani małopolskich. Pisałem już uprzednio, że amerykański dolar stał się właściwie drugą polską walutą. A to w tych sprawach jest szczególnie aktualne. Prostytucja oficjalnie i prawnie w kraju nie istnieje, i nie ma żadnych paragrafów, które by jej zakazywały — ale jej niewątpliwe istnienie może mieć także znaczenie przywabiania waluty obcej do państwa wiecznie głodnego funtów i dolarów.

Ileż niebezpieczeństw czyha na turystę, choćby przyjechał on, tak jak kiedyś Melchior Wańkowicz, dla odszukania Polski lat młodzieńczych w wieczornym rechocie żab. Za żabie koncerty państwo jeszcze osobnych opłat nie pobiera, ale może dojść i do tego, bo chyba żaden rząd kapitalistyczny nie jest tak zachłanny jak te w krajach budujących socjalizm, które traktują turystę jak dojną krowę. Czy można się dziwić, jeżeli również obywatele tych krajów podobnie patrzą na cudzoziemca?

Jeżeli wszystko, co się wyżej powiedziało, będziemy mieli w pamięci — spędzimy w Polsce wakacje urocze, przyćmiewane tylko brakami w sklepach. Ale te braki mogą nas nauczyć szanowania zaskoczeń, cieszenia się najmniejszym drobiazgiem, który uda nam się nabyć niespodziewanie: rzecz zapomniana w krajach gnijącego kapitalizmu.

Gdziekolwiek znajdziemy się w kraju będzie nam towarzyszyć rzewność wspomnień, stary, prawdziwy kraj niezafałszowanych wzruszeń, ale nie zapominajmy ani na chwilę, że wprawdzie idea marksistowska nie zwyciężyła, lecz materialistyczne podejście do zagadnień dnia codziennego jest dla tubylców nakazem chwili, koniecznością, niezbędnym elementem rzeczywistości.

Nie chciałbym, by ktokolwiek myślał, że taki stosunek cechuje dzisiejszych obywateli PRL tylko wobec cudzoziemców. O, nie. Nie darmo powstał cały słownik współczesny określeń i oznaczeń takich jak „kumoterstwo”, „klika”, „właściciele Polski Ludowej”, „środowisko”, „plecy” — w miejsce przedwojennej protekcji i towarzystwa. Protekcja nie jest zresztą wynalazkiem polskim, bo pewien Skandynaw byłby idiotą zwykłym, a ponieważ ma protekcję w swym MSZ, jest idiotą-ambasadorem. W polskich jednak warunkach to wszystko nabiera innego posmaku, a jakiego, o tym będzie mówić...

R o z d z i a ł VI

„WŁAŚCICIELE POLSKI LUDOWEJ”

Ta nazwa straciła już na blasku i właściciele nie są już tymi samymi właścicielami, co w dawnych dobrych czasach stalinowskich. Niemniej istnieją oni, choć już nie w jednolitej grupie odbijającej jaskrawo od reszty społeczeństwa. Część z nich wchodzi w skład tak zwanego „środowiska”, czyli parę tysięcy ludzi liczącej gromady złożonej głównie z artystów, architektów, dziennikarzy, nielicznych zamożnych mecenasów sztuki (gatunek właściciwie wymierający), wreszcie obiboków, którzy potrafili znaleźć jakieś usprawiedliwienie dla swej w tym gronie obecności.

Środowisko spotyka się zawsze i wszędzie mniej więcej w tych samych miejscach: w klubach związków twórczych, w domach *Zaiksu* w miejscowościach wypoczynkowych, nawet w kawiarniach, nie mówiąc o miejscach takich jak wydawnictwa, redakcje, teatry, sale koncertowe, kasy repartycji i wierszówek.

Nie należy sądzić, że środowisko jest grupą specjalnie uprzywilejowaną przez państwo czy partię. To raczej środowisko potrafiło samo ustawić się w takiej sytuacji, w czym pomógł okres błędów i wypaczeń. Dziś nikomu nie przyszłoby łatwo rozbicie tej grupy od wewnątrz, bo chociaż jest ona mocno skłócona, to wspólnota interesów mimo wszystko trzyma ją razem. Nie należy sądzić, że w środowisku znajdują się ludzie wyłącznie legitymujący się czerwoną legitymacją PZPR. Nic podobnego. Byłbym skłonny sądzić, że większość z nich takiego dowodu nie ma. Ci którzy są w partii i to mniej więcej na górze — ci do środowiska nie należą, tak jak nie należą do niego naczelny redaktor *Trybuny Ludu* albo *Nowych Dróg*. Tacy należą do *haute volée*, w sferach, gdzie prawie na codzień widuje się Gomułkę i innych bonzów, — nie bywa się w klubie aktora i nie spędza wakacji w klubie

pracy twórczej, bo ma się dostęp do sklepów rządowych (i wobec tego organizuje prywatki), do *Lwowianki* w Zakopanem, do *Pana Tadeusza* i *Telimeny*, do domów wypoczynkowych Rady Ministrów. A wyżej zostają tylko rządowe domy takie jak pałac w Natolinie, rozrzucone po całym kraju wille, o których czasem tylko sąsiedzi wiedzą.

Do tych luksusów środowisko w dzisiejszym społeczeństwie „bezklasowym” dostępu nie ma.

Mówi się w Polsce, że tylko dwie instytucje pracują tam bezbłędnie: Zaiks i Monopol Spirytusowy. I klienci obu organizacji na pewno chętnie przytakną. Liczne w całej Polsce domy pracy twórczej (instytucja rzeczywiście bardzo potrzebna w kraju, gdzie nawet znani artyści nie mają w domu odpowiednich warunków do pracy) są dla wielu tylko przedłużeniem stołecznych i pozastołecznych klubów, gdzie przychodzi się nie tylko po to, by zjeść obiad w swoim otoczeniu, ale także by na przykład w sobotę potańczyć i wypić swoje pół litra. U dziennikarzy, u aktorów można zawsze spotkać przedstawicieli nie tylko tych dwóch zawodów, lecz także reżyserów, filmowców, pisarzy, kompozytorów, muzyków, wreszcie — jak się wyżej rzekło — obiboków pozujących na artystów, albo nawet nie usiłujących. W takich miejscach jeżeli wszyscy nie znają się osobiście, to przynajmniej wszystko o sobie wiedzą: kto jest kto, kto z kim i t.p. Tam się nic nie ukryje — nikt zresztą nic nie zamierza ukrywać — a najmniej zmianę najnowszej partnerki życiowej, przynajmniej na najbliższe tygodnie. Partnerki nie są przy tym ponumerowane jak dawniej sklepy MHD, lecz noszą nazwy takie jak Kokos, madonna kociaków, Puchar przechodni, Budyń, Kuba, obok swych imion chrzestnych. Partnerki są często członkami stowarzyszeń twórczych, choć bywają także „elementem wprowadzonym” spoza środowiska i są w ten sposób dokooptowane. W takim wypadku stopniem pierwszym jest dla kandydatki pojawienie się w kawiarni PIWu, *Czytelnika*, czy literatów, gdzie też legitymacja członkowska nie jest potrzebna, a za to przychodzą fotoreporterzy z CAFu czyli autorzy okładek, na których miło się przecież znaleźć, — reżyserzy filmowi, mogący zaangażować do jakiejś choćby niewielkiej roli, wreszcie wszyscy ci, którzy dysponują wystarczającą ilością gotówki, by zaprosić do *Dziennikarzy*, *Bristolu*.

Przedstawiciele środowiska łatwo rozpoznać wszędzie: są nie tyle może lepiej ubrani, ile może z pewną wytworną niedbałością, chętnie noszą marynarki zamszowe, lub z czarnej skóry, koszulki polo, dziane krawaty, mokasyny, ciemne okulary — wszystko raczej ze sklepów prywatnych, komisów, ciuchów, a nie z handlu

państwowego. Tu może warto powiedzieć, że tubylcy rozpoznają się niemal bezbłędnie: po butach. Niewielki asortyment państwowej produkcji znajdujący się na rynku, pozwala zapamiętać nieliczne modele, i każdy but nie przypominający swym wyglądem tej produkcji może znajdować się albo na nodze cudzoziemca, — albo takiego, co jeździ zagranicę. I właśnie większość środowiska jeździ zagranicę służbowo, na reportaże, na zjazdy, stypendia, czy wręcz na wakacje. Z takich wyjazdów poza wrażeniami przywozi się wyżej wymienione marynarki skórzane, tanie radia tranzystorowe, buty, i mnóstwo nikomu niepotrzebnych drobiazgów, które normalną koleją znajdują się w komisach. Z innego punktu widzenia najcenniejsze są wyjazdy do krajów skandynawskich, gdzie — o czym każde dziecko wie — można kupić wydawnictwa nudystyczne, filmy *strip-teas*'owe, czyli rzeczy jak najsurowiej ścigane przez służbę celną, i wobec tego bezcenne na rynku krajowym.

Środowisko jako grupa społeczna nie zarabia więcej niż przeciętny krajowiec, a do rekinów należy skromna ilość wyjątkowo dobrze zarabiających grafików, wystawiarzy, trochę aktorów, kompozytorów, reżyserów. Z drugiej strony zawsze wokół klubów wiesz się pewna ilość biedaków, rozglądających się za darmową wódką najchętniej razem z zakąską, a o fundatorów najłatwiej wśród zamożnej prywatnej inicjatywy, która czuje się zaszczycona samym faktem dopuszczenia między ludzi sztuki. Ostatecznie kiedyś, w zamierzonych czasach po I Wojnie, Minkiewicz, Światopełk-Karpiński i inni też mieli cennik na: uścisk dłoni, jedną wódkę, *bruderszaft* z nowobogackimi.

Nie dziwię się, że Marek Hłasko nie może znaleźć w Europie odpowiedników warszawskich lokali, bo rzeczywiście o miejsca weselsze — trudno. Można tu czasem zobaczyć żonę znanego reżysera, która w roli Fortuny (tylko znacznie lżej ubrana) rozrzuca między rozbawiony tłum gorące kołduny z wazy piastowanej na gołym łonie. Można zobaczyć jak kilkunastu aktorów, pisarzy i dziennikarzy w rzadkiej zgodzie gania po klubie rwącego jak jeleni plagiatora, który nie oparł się aż w Wiedniu, gdzie jako przyczynę prośby o azyl, podał antysemityzm. Ze spokojniejszych rozrywek, można posłuchać *duszo-szczypatielnych* wyznań znanego aktora, albo dowiedzieć się o bieżącym stanie zdrowia kilkunastu tysięcy kaczek hodowanych przez pisarza, który gotów jest z miejsca kilkanaście opchnąć na pokrycie kosztów kolacji. Bywają tu ludzie, którym lekarz z uwagi na stan serca zakazał nadmiernego używania płynów i wobec tego piją spirytus jako używkę stężoną. Całe to towarzystwo po północy spotyka się w *Bristolu* czy *Europejskim*, a najwytrwalsi, rano, na Zie-

leniaku, na czerwonym barszczu i ćwiartce pod kiszone ogórki. I w ten sposób udało się spędzić jeszcze jeden dzień dzielący nas od terminu złożenia rękopisu książki, nut, przygotowania inscenizacji i tp., zależnie od specjalności.

Najdalej w połowie marca środowisko przenosi się pod Giewont; mieszka w *Magnolii* Związku Plastyków, w *Halami* albo *Orliku* Zaiksu, w *Astorii* — i też mniej więcej robi to samo co w Warszawie i nawet czasem jeździ na nartach. Lato spędza się zależnie od upodobań albo w górach, albo nad morzem: w Międzyzdrojach, na Helu, w Sopotcie, Świnoujściu. Często środowisko wywołuje „modę” na tę czy inną miejscowość — zupełnie jak *tout-Paris* — choćby to był na przykład Zakroczym, albo do niedawna nikomu prawie nieznanie Mielno nad Bałtykiem. Na Sylwestra i w karnawale środowisko bawi się znów w swoim gronie w klubach, albo wyjeżdża do niemniej swoich domów w góry, gdzie obok smoków, fasonem są narciarskie elastyki i zjazdowe buty. Życie oczywiście nie jest wyłącznie różami usłane, i czasem trzeba coś robić, by jakieś tam pieniądze zarobić. W końcu coraz więcej członków środowiska ma samochody, a dwukrotne wakacje w roku też przecież kosztują. Co prawda wielu, nieobciążonych rodzinami, zarabia tylko tyle, ile im się wydaje niezbędne, ale coraz większa zachłanność państwa, podnoszenie cen — ale nie zarobków — zmusza nawet pięknoduchów do tworzenia coraz więcej, choć pewnie wcale nie lepiej.

Zgranie środowiska ma pewne dodatkowe korzyści, mianowicie kluby, zwłaszcza warszawskie są giełdą wiadomości, plotek, sensacji nie tylko wewnętrznych dotyczących małego światka środowiskowego, ale także tego o jeden stopień wyżej, decydującego w aż nazbyt wielu sprawach politycznych, ekonomicznych. Wystarczy przysiąc się do właściwego stolika, by w ciągu małej godziny być autorytatywnie poinformowanym o tym, czego nie ma i nie będzie w gazetach, choć nosicielami takich wiadomości są na ogół dziennikarze. I co jest najbardziej zdumiewające, to dokładność i prawdziwość tych wiadomości. Nie darmo środowisko, jak ameba, wyciąga wypustki na wszystkie strony. To też jest samoobrona.

Powiązania środowiska z najrozmaitszymi sferami przynoszą niemałe pożytki. Nie tylko w przenoszeniu kazonnych wiadomości. Przy pomocy znajomości, kontaktów, odkrywa się próżnie na wygodnym stanowisku, które można zająć; załatwia się wyjazdy zagraniczne, posady w handlu zagranicznym, w MSZ, stanowiska korespondentów zagranicznych, stypendia, wyjazdy na wykłady, zezwolenia na zakup samochodów przez premiera albo z Targów Poznańskich i td. i tp. Możliwość kombinacji i ko-

rzyści jest właściwie niemal nieograniczona, i wszystko zależy od czaru osobistego osoby załatwiającej dla siebie, no i co ta osoba może w zamian zaofiarować — oczywiście w sensie wzajemności nieodpłatnej. W tym środowisku łapówek nie ma — tu się tylko „daje zarobić”, „ułatwia”, — a więc rzecz w zasadzie zupełnie normalna. Wartość partnera polega na tym, że jest on na przykład redaktorem w jakimś wydawnictwie i uprzejmość jemu wyrażona ma szanse wzajemności, bo gość dysponuje jakimiś realnymi wartościami. Natomiast człowiek, który spodziewa się jakiejś pomocy nie będąc sam nikim — jest godny pożałowania.

Środowisko jest właściwie grupą zamkniętą i wejście do niej, zaliczenie do jej członków niezawsze jest rzeczą łatwą. Niektórzy uważają, że wystarczy już sam fakt, że szatniarz w klubie aktora nie wydaje numerka, bo pamięta ciuch klienta — ale to jeszcze nie jest dowodem, że staliśmy się członkami środowiska, ale świadczy, że jesteśmy na dobrej drodze.

Niemniej jeszcze raz ostrzegam przed mniemaniem, że środowisko jest grupą ludzi obdarzoną najwyższym zaufaniem władz — nic bardziej błędnego, bo — co jest mizernym zresztą dowodem — nawet premier zaglądający do któregoś klubu w noc sylwestrową, przychodzi z obstawą co najmniej kilku smutnych. Na codzień natomiast wszyscy pracujący członkowie środowiska otrzymują swoje instrukcje odpowiednimi do wykonywanego zawodu kanałami, i nawet naczelny redaktor PAPu człapie codziennie ze swego biura w dawnym BGK do KC na codzienną „letuczkę”.

Wydaje się, że coraz gorsze warunki finansowe trapiące większość środowiska, mają wpływ na większą jego zwartość, (piszę „większość”, bo muzycy i kompozytorzy zarabiają nadal dobrze, i można bez wielkiego ryzyka powiedzieć, że Czerwono-Czarni zarabiają na pewno parę razy tyle ile tuzin poetów), solidarność, wspólnotę sympatii i antypatii, (widziałem kiedyś, jak w klubie dziennikarzy serdecznie tam nie lubiany minister finansów Albrecht, pętał się od stolika do stolika, by się przysiąść z braku wolnych, aż wreszcie kierownik restauracji dostawił mu osobny).

Te gorsze warunki finansowe powodują jednak, że coraz częściej jeden i drugi gorzej zarabiający rezygnuje z pobytu w domu pracy twórczej (choć to tylko połowa ceny pensjonatu *Orbisu*) i wynajmuje jeszcze tańszy pokój prywatnie. Czyżby klasowy podział według zarobków wdzierał się także do środowiska? Bo pewien podział polityczny jednak istnieje, a właściwie zawsze istniał, skoro na przykład red. Jaszuski połowę swych kolegów uważa za „czarno-secińców”, a prócz niego są tam i pi-

sarze katoliccy, i kompozytorzy, aktorzy którzy na ogół uważają Stanisławskiego za bałwana, a Meyerholda za geniusza, a przede wszystkim tacy, o których pisał kiedyś satyryk: nie marksistaś, nie katolikś, ale za to alkoholikś.

Z właścicieli Polski Ludowej niewielu zostało w środowisku, i nawet Władysław Szpilman nie jest wyłącznym „właścicielem Polskiego Radia”. Tytuł własności Rzeczypospolitej znów przesunął się o oczko wyżej.



Rządowe wille w Konstancinie przekazano wprawdzie najzupełniej prywatnym użytkownikom, albo Instytowi Reumatologicznemu, — nie ma już wprawdzie KBW strzegącego dawniej rządowego getta, ale to getto nadal istnieje. Przybrało tylko inne formy, mniej rzucające się w oczy. Getto przeniosło się do rządowych domów w aleje Róż, w aleje I Armii WP (dawniej Szucha), do akwarium na plac Na Rozdrożu (dom w Warszawie rezerwowany dla grubych ryb), wreszcie do służbowych Mercedesów, Czajek, Tatr i Humberów. Tak jak dawniej walciono o karty wstępu na Sylwestrowy bal u dziennikarzy, tak dziś stara się za wszelką cenę wejść do Filharmonii, bo purytańska uroczystość w KC dostępna jest tylko dla wybranych, których listy kontrolowane są przez ochronę rządu. Dziś członkowie rządu nie jeżdżą już opancerzonymi Skodami (ciekawe, gdzie one się podziały...), i tylko czasem opuszczają białe (nie, nie żółte) zasłony, by nie widzieć morderczego tłoku na mijanych przystankach tramwajowych i stumetrowych ogonów do autobusów. Sklepy „za żółtymi firankami” odżyły w formie o tyle zmienionej, że tak samo niewiele jest w nich do nabycia, jak i w MHD, — natomiast zaopatrzenie w artykuły luksusowe i w kraju niedostępne odbywa się kanałami dyplomatycznymi. Tu chciałbym uspokoić obce wywiady, które na pewno w parusetkilogramowej poczcie dyplomatycznej nie domyślają się właściwej jej zawartości. Taka poczta nie zawiera bowiem na ogół rewelacji z zakresu techniki nuklearnej, lecz części zapasowe do prywatnych samochodów prominentów. Zdarza się, że kurier taszczy kawał silnika Mercedesa, albo kardana do Humbera zamiast normalnych enuncjacji zanotowanych na dyplomatycznym przyjęciu. Tymi samymi zapewne drogami odbywa się zaopatrzenie nie tylko członków rządu w ulubione papierosy i alkohole. Wiadomo, że premier pali *gauloise'y*, a minister Rapacki *chesterfield'y*, — wiadomo także, że na prywatnych przyjęciach pija się francuskie koniaki, whisky, angielskie giny, i na pewno nie z PeKaO.

Ekskluzywność towarzyszy takim ludziom przez cały czas trwania ich kariery, a nawet po śmierci, bo i leczą się w klinice rządowej (dawniej św. Józefa), a na Powązkach — jeżeli nie popełnili za życia rażących błędów — spoczywają w Alei Zasłużonych, odprowadzeni tam przez zatroskany o ich posadę tłum i pochowani na koszt mającego większe kłopoty społeczeństwa.

W zasadzie z obowiązującej karuzeli stanowisk, jeżeli się już na niej siedzi — nie spada się. Bywają naturalnie wyjątki takie jak były przewodniczący CRZZ Wiktor Kłosiewicz, który wrócił do swego zawodu stolarza, — ale by zostać tak pogwałconym, trzeba się baardzo narazić, i to nie tyle linii partyjnej, ile komuś personalnie.

W trosce o (wysoko postawionego) człowieka wszystkie chwytby są dozwolone, i chociaż popiera się jak najbardziej spółdzielczość mieszkaniową, to jednak nie na tyle, by zapłacić przedwojennym właścicielom mieszkań z dawnej alei Szucha, usuniętym stamtąd jeszcze przez Gestapo i nie dopuszczonym przez obecny rząd. (To jest zresztą wyjątkowo skandaliczna historia, bo sprawa wniesiona przez prawych właścicieli przeciwko rządowi, została wbrew wszelkim prawom utracona z inicjatywy samego ministra sprawiedliwości — który zresztą też zdaje się w tym domu mieszka!)

Przepisy dewizowe także są tylko dla zwykłych śmiertelników, bo ci wyżej takich kłopotów nie znają nie tylko z przyczyn „wagi państwowej”, ale i z prywatnie wykazywanej dbałości o jak najbardziej prywatne konta w bankach zagranicznych, co, jak wiadomo, jest niezgodne z ustawami dewizowymi i zagrożone karami więzienia, konfiskatą i td.

Przepisy o metrażu, zagęszczeniu, kwaterunku — to rzeczy znane tylko z nazwy, i nawet nie z rozmiarów tej prawdziwej kłęski trapiącej ogromną większość ludności, która nigdy nie będzie miała szans zajęcia miejsca na górze.

Miejsce na górze ma to do siebie, że jeśli ktoś tam już jest, to go właściwie nikt nie pyta: jakie ma wykształcenie. Jeśli przy pomocy jako tako możliwych przyjaciół udało się wdrapać na wysoki stołek bez tłumaczenia się ze swego wykształcenia po drodze — co jest konieczne przy zajmowaniu niższych stanowisk — to gdy zostało się „specjalistą” resortowym, można też dojść do wykładowców zleconych na wyższej uczelni, przynajmniej na takiej, gdzie lata praktyki przesłonią podstawowe braki edukacji.

Wielu zaczyna tę drogę mając tylko jeden cel na oku: przejście prędzej czy później do służby zagranicznej na możliwie jak najwyższe stanowisko. Jeśli raz się było ambasadorem, to i tytuł do śmierci zostaje i emerytura, ta wysoka, zapewniona, dewizy,

podróże, podretuszowane życiorysy w prasie, nawet papier higieniczny darmo. Niektórzy na te wymarzone posady dostają się mimo woli, w wyniku niełaski, błędu, opowiedzenia się po złe dobranej stronie.

Żony ludzi tej klasy wykazują ambicję, nawyki i zainteresowania bliźniaczo podobne do pań z przedwojennego towarzystwa, albo dzisiejszej arystokracji i plutokracji Zachodu. Do statusu należą nie tylko samochody służbowe mężów, futra, biżuteria, psy, ale także zakres snobistycznych znajomości, najlepiej wśród tej prawdziwej arystokracji, pracującej dziś na jakichś tam posadkach, lub arystokracji ducha. Ciekawe, że panie ministrowe, panie dyrektorowe przedsiębiorstwowe, panie dyrektorowe fabrykowe i inne — nie chodzą do fryzjera spółdzielni pracy Warszawianka, czy Syrena, lecz do prywatnych sław jak Wiktor, gdzie można także spotkać znane aktorki, żony pisarzy i inne dyrektorowe, — wszystkie razem podlizujące się mistrzowi. Dbalność o siebie, o swój możliwie młody wygląd nie jest wynikiem tylko snobizmu, czy kultywowania burżuazyjnych przywyчек, lecz prostą koniecznością, bo mężowie tych pań ze swej strony, „lubią” wyrastać ze starych żon niebardzo pasujących do piastowanych stanowisk, gdzie reprezentacja nie jest sprawą ostatnią i żaden towarzysz nie chce mieć żony wyglądającej jak Nina Chruszczow.

W Polsce dzisiejszej Mercedes stojący przed Delikatesami, z pudlem albo bedlington-terrierem strzyżonym u Ickowskiego (to taki „Wiktor” dla psów z towarzystwa) nie musi być służbową własnością ministra X czy sekretarza Y, ale na przykład inżyniera Z, który zamiast na budowie socjalizmu, pracuje we własnych rozległych cieplarniach kryjących eksportowe pomidory czy ogórki, albo biega za własnym drobiem w swej podmiejskiej posiadłości. Jest rzeczą pewną, że badylarz czy hodowca prywatny dysponuje sumami nieskończenie wyższymi niż dyrektor czy nawet minister, bo znany mi hodowca pieczarek ma dochodu dziesięć razy tyle co dyrektor Huty im. Lenina, — stanowisko przecieź niepoślednie. Nie ulega także wątpliwości, że arbitrami stylu życia, ani mody nie są ani badylarze i ich żony, ani żony aparatczyków i dygnitarzy. Arbitrami jest opisane wyżej środowisko, no i dyplomacja krajowa spędzająca w swej ojczyźnie wakacje. A dlatego w ojczyźnie, żeby pokazać nowe nabytki, stroje i w miarę możliwości samochody. Samochód bowiem stał się w Polsce symbolem statusu w dużo większym stopniu niż gdziekolwiek indziej w Europie. Przyznanie się do posiadania Syreny, a już nie daj Boże Mikrusa — dyskwalifikuje. Trzeba mieć co najmniej Volkswagena, a dopiero Peugeoty, Fordy, Simci, Renaulty i amerykańskie krążowniki „ustawiają” człowieka na drabinie.

Tak zwane masy, ale wyłącznie chłopskie, usiłują powoli nadążyć. Toteż obok powszechnie używanego na polskiej wsi motocykla, zaczynają pojawiać się chłopci za kierownicami swych Warszaw. To jest zresztą sprawa przyszłości, i chaos na drogach grozi wobec tego przedłużeniem w nieskończoność, skoro zastępy coraz to nowych kierowców pojawiać się będą na szosach.

Jak dotąd zmotoryzowane przede wszystkim są miasta i okolice podmiejskie, a auto stało się ulubionym środkiem lokomocji przy wyjazdach na wakacje zagraniczne. W tym roku, chyba po raz pierwszy, tłumy zmotoryzowanych turystów udających się na Węgry i do krajów bałkańskich — zablokowały punkty graniczne na szosach wylotowych: na Łysej Polanie, koło Kudowy i td., tworząc ogony długie na kilka kilometrów.

Samochód, niska jakość służby i jej wymagania — to tematy pierwsze rozmów pań na przyjęciach (jak za najlepszych czasów przedwojennych?!), choć sprawy literatury, teatru i najnowsze plotki polityczne — oczywiście nie bezpośrednie sprawy polityki, ale kto kogo skąd wysadził, i kto po kim jakie obejmie miejsce — nie są nowemu towarzystwu obce. Jak za najlepszych dawnych czasów, panie intrygują, panie pomagają swym mężom w nawiązywaniu potrzebnych kontaktów, ustawiają siebie i ich w właściwych towarzystwach. Nie ulega na przykład wątpliwości, że to swojej żonie głównie zawdzięcza karierę generał Witaszewski (znów Witaszewski? „— Co u diabła z tym kutasem — jak powiada stary Fredro*”).

Nie wszystkie panie z partyjno-państwowego towarzystwa biorą tak żywy udział w „pracach społecznych”. Towarzyszka życia i walki towarzysza Wiesława jest niemniej jeżeli nie więcej purytańska niż jej mąż. Potrafi ona nawet po audycji telewizyjnej, w której aktorka miała jej zdaniem za duży dekolt, zeszmacić telefonicznie kogo trzeba, co nawet ekspulsowało panią Kalinę Jędrusiak ze szklanego ekranu na pewien czas. Toteż na przyjęciach z udziałem małżeństwa Gomułków, żeńska część towarzystwa wygląda trochę jak szkółka niedzielna w Dickensowskiej Anglii.

W swoich pamiętnikach Jerzy Putrament wspomina czas, kiedy to znane mu z dawnych lat różne dość obdarte Stasie i Jasie stawały się w lubelskiej Polsce ministrowymi, sekretarzowymi i td. Trzeba powiedzieć to czego p. Putrament nie powiedział, że niewiele chyba z tych Staś i Jaś zostało na swych dawnych stanowiskach — przestały wystarczać swym mężom.

Powinowactwo z kimś dużym, zawsze było rzeczą niezwykle pożądaną, — tym bardziej godnym szacunku jest fakt, jeżeli ktoś

* Tadeusz Żeleński (Boy), *Dzieła Wszystkie*, T. I. „Słówka”, PIW 1962.

robi autentyczną karierę zawdzięczając to wyłącznie swym zdolnościom, choć mógłby przy tym posłużyć się protekcją, jak śp. Andrzej Munk — szwagier Cyrankiewicza, albo niezapomniany Bronisław Linke, mąż kuzynki Bermiana. (Wiem od Stanisława Jerzego Leca że przez cały czas wszechwładzy Bermiana, Linke nie tylko nie złożył mu ani jednej wizyty, ale nawet był dla niego nieobecny w swym własnym domu!)

Inni takich skrupułów nie mają w zajmowaniu stanowisk do których nie dorośli, ale za to są kuzynami albo Strzeleckiego, albo Spsychalskiego, albo Zawadzkiego. W tym ostatnim wypadku można objąć stanowisko attaché kulturalnego w Waszyngtonie nie tylko nie znając angielskiego, ale nawet nie mając nic sensownego do powiedzenia na tematy żadne, nie mówiąc o kulturalnych. Cytowany poprzednio Boy-Zeleński, powiedział kiedyś, że „kobieta, która przeżyje zawód miłosny albo wyjeżdża do Zakopanego i otwiera pensjonat, albo zaczyna tłumaczyć romanse francuskie”; trawestując to powiedzenie, Jan Parandowski stwierdził, że ponieważ „istnieją pewne trudności z otwieraniem pensjonatów, więc sytuacja w literaturze przekładowej może być katastrofalna”. Niezawsze dotyczy to kobiet, bo czasem dyrektorzy wydawnictw miewają braci, którym marzy się załapanie tłumaczeń z języka którego nie znają, na język którego też nie opanowali. Ale to jest też dość pewna droga do dostania się między ludzi środowiska czy towarzystwa: do pierwszego drogą wykonanej pracy, do drugiego przez brata, który wprawdzie jest synem fabrykanta, ale organizował w tatusiowej fabryce strajki i wobec tego ma zapewnioną spokojną starość jako — w przyszłości — emerytowany sędzia sądu najwyższego.

W ogóle czytelnika zagranicznego, a zwłaszcza polonijnego zadziwić może zaskakująco wielka liczba ludzi znajdujących się dziś na stanowiskach kierowniczych, lub w ich pobliżu — którym przed wojną nie działa się źle, by użyć eufemizmu. Są dziennikarze synowie znanych plutokratów, ba nawet arystokratów, są tacyż pisarze całkiem polityczni i — jak się to mówi — zaangażowani. Zona sekretarza z KC nosi na palcu bodajże Jastrzębca, a przecież ministrowie Rapacki, Trąpczyński też nie pochodzą z proletariatu. Na szczęście. Znany dziś działacz partyjny, jeszcze niedawno, bo w czasie wojny, dodawał przed swoim nazwiskiem „Rawicz”, o czym może by chętnie dziś zapomniał. W końcu Dzierżyńskiego też można znaleźć jeśli nie u Paprockiego to u Niesieckiego.

Koniunkturalnie myślący Żydzi zmieniali nazwiska na takie więcej ludowe, jak np. Stefczyk (Baśka pracuje na Kasę Stefczyka — mówiono kiedy wyżej wymieniony popełnił koszmarną

teatralną chałę pod tytułem „Baśka”), Muszka (czytaj: Muszkat), albo trochę „szlacheckie” jak Różański (Rozental), Horowitz (Horowitz), Krakowski (Krakauer), i znów ludowe: Światło (Licht).

Będąc przy nazwiskach, warto może dodać, że tak powszechne wśród ludzi piszących pseudonimy wynikają nie z jakichś obaw natury politycznej (wyłączamy z tej reguły G. J. Flemminga!), ale z przyczyn czysto praktycznych. Chodzi o to, by nie rzucać się niepotrzebnie w oczy ludziom ze swymi zarobkami przez nadmierne występowanie stale pod tym samym nazwiskiem, co może wzbudzić czyjeś podejrzenia, że zarabiamy za dużo. Tu należy się wyjaśnienie: wcale nie chodzi tu o urząd skarbowy, lecz o czysto polityczne podejrzenie, że zbyt wiele uwagi poświęcamy kapitalistycznej mamonie. W niejednej redakcji odbyły się „procesy czarownic” nad ludźmi, którzy „za dużo” zarabiali. Tak jakby zarabiali za nic, a nie za swój talent i swą pracę. Ale to jest jasne dla każdego, kto popracował przez lat kilkanaście w PRL, dalej czy bliżej środowiska twórczego.

Urzędnicy, odpowiedzialni za wypłaty według stawek ustalonych przez związki twórcze w porozumieniu z ministerstwem kultury, nie potrafią często zrozumieć dlaczego artysta ma aż tyle zarabiać. Pewien baran spytał kiedyś Eryka Lipińskiego: Ile czasu Pan malował ten plakat? — ponieważ wydało mu się, że parę tysięcy złotych to raczej dużo. — Jeden dzień i trzydzieści lat praktyki — miał podobno odpowiedzieć malarz.



Osobny gatunek, typ, klasę, grupę — czy jak kto chce to nazwać — stanowi aparat partyjny w powiatach, małych miasteczkach — jednym słowem na tak zwanej prowincji. Doły tego aparatu, najniżsi funkcjonariusze, zostali najsurowiej ukarani Październikiem. To oni w dobrej wierze, czy nawet złej, ale z całym samozaparciem przeprowadzali akcje nakazywane przez dalekie, z fotografii tylko znane władze: akcję H, kolektywizację, nabór kandydatów do partii. To oni w czasie październikowego trzęsienia ziemi znaleźli się na samym dnie, jako najbliżsi gruntu. Co się z nimi stało? Nie wiem. W większości swej pewnie nie wrócą już nigdy do poprzedniej pracy, z której i żadna właściwie droga nie prowadzi w górę — tam, gdzie zaczyna się „towarzystwo”, samochody służbowe, wczasy w ekskluzywnych domach. Październik zniweczył ich wiarę, zburzył ich świat, czasem przekonań, czasem tylko pracy — a odbudowa tego świata stała się i jest do dziś: niemożliwa. Spośród nich tylko bardzo nielicz-

nym udało się wdrapać po drabinie ku województwu, ku stolicy — i tych, oczywiście, Październik oszczędził. Reszta — jeżeli ktokolwiek ze starych partyjnych działaczy na swym miejscu ocalał — aż nazbyt często szuka lokalnych sojuszy: z księdzem, z miejscową inteligencją. Tam — organizator partyjny uważany jest za coś znacznie mniej ważnego, niż, także w mniemaniu przeciętnego chłopca niepotrzebny, gromadzki agronom.

Po Październiku korzenie partii zostały podcięte. Czy na długo? Mnie się wydaje, że na zawsze.



Środowisko i towarzystwo państwowo-partyjne są grupami ludności wśród której powstaje i skąd bierze początek znaczna część dowcipów politycznych, bo wbrew wszystkiemu ta grupa — w swej większości — potrafi się z samej siebie śmiać. Jest właściwie regułą, że każdego, kto wraca z odprawy czy letuczki w KC, pytają się koledzy: masz jakie nowe dowcipy? Różnie się mówi o genealogii dowcipu w dzisiejszej Polsce, ale wiem o wielu, które powstały w białym domu. Biorę całą odpowiedzialność za to, że stamtąd pochodzi jeden z najbardziej morderczych: zwiedzającemu państwowy burdel premierowi, przedstawia się przodownicę pracy. Zachwycony premier mówi: no, to może by czas, obywatelko, o wstąpieniu do partii pomyśleć? — A, nie, co to, to nie — odpowiada zainteresowana — mama nie zgodzi się: ledwie mnie tu puściła... — Muszę wyznać, że sporą radość sprawi mi wskazanie, kto mianowicie ten dowcip puścił (to taki mały donos): sam Artur Starewicz.

Biały dom i jego polityczne okolice są także źródłem bijącym plotkami i wiadomościami rzetelnymi, które jednak nie znajdują nigdy drogi do prasowej publikacji — chyba że zagranicą. Jest właściwie regułą, że wieści — nawet te prawdziwe — o swoim miejscu pracy czy działalności zdobywa się: poza nim. Ileż razy znajomi z MSZ pytali mnie: powiedz, co słyhać w naszym ministerstwie? I muszę wyznać, że nieraz wymyślałem na oczekaniu rewelacje, które jakoś się sprawdzały, może zresztą na tej zasadzie, że komuś wydały się na tyle pomysłowe, by je wcielić w życie...

Jeżeli jesteśmy przy MSZ, to właściwie warto by poświęcić temu osobny rozdział i nawet widzę jego tytuł: Coś do śmiechu, czyli o dyplomacji w PRL.

Tak jak wszystko inne, tak i dyplomacja przechodziła w Polsce przez najrozmaitsze stadia i przemiany. W okresie, kiedy za tę dziedzinę życia odpowiedzialny był w Biurze Politycznym sam

towarzysz Mazur, jego podopiecznych zwano Mazurenvolk. O nich można nieskończenie. Był taki górnik-radca kulturalny, który zapewnił zainteresowanego literaturą polską Francuza, że „żadnego Przybyszewskiego nie było nigdy i nie ma”. Był inny, poseł pełnomocny, który na nudne pytanie o Breughela odpowiedział: „Breughel? *Connais pas...*” Był inny protegowany Mazura, który jako świetny fachowiec włókienniczy, macał na przyjęciach garnitury gości, wypowiadając się autorytatywnie o jakości reprezentowanych tkanin. Był inny, który z okrzykiem „nasi goście noszą prawdziwe róże w butonierce” — wyrwał rozetkę Legii Honorowej prominentnemu Francuzowi, i inny, który wręczysz przez pomyłkę order niewłaściwemu osobnikowi — bo bratu odznaczonego — odebrał w kwadrans później bez słowa wyjaśnienia, by wręczyć temu rzeczywistemu. Był taki, który wywołał zainteresowanie swym stanem zdrowia u króla Baudoina, bo... mu się nalepka z wypożyczalni cylindrów na czole przylepiła. Był wreszcie taki, o którym MSZ zapomniał. Nie cały, bo departament finansowy regularnie mu co miesiąc przez jedenaście lat pensję przysyłał, póki inne departamenty nie wykryły że ten konsulat został oficjalnie zlikwidowany. „Wykryły” — bo konsul się swą obecnością nie naprzykrzał i spokojnie zbierał pieniądze, by z odpowiednią gwarancją finansową „wybrać wolność”.

I pomyśleć, że wszyscy ci ludzie jednak należą do „towarzystwa”.

Iluż ludziom w myśl Mazurowych zasad wyrządzono krzywdę, wrywając ich z zawodu i wystawiając na ostrzał snobistycznego środowiska międzynarodowej dyplomacji. Iluż z nich wykoleiło się, bo nie porafili znaleźć się z powrotem w dniu codziennym zwykłych ludzi. Ilu z nich do dziś MSZ płaci wysokie emerytury, by nie dopuścić do ich — posłów pełnomocnych i ambasadorów — powrotu do jedyne go zawodu, jaki znają: robotnika, albo majstra?

Bywali wśród nich ludzie uczciwi, którzy ściągnięci do służby zagranicznej z nauczycielskiego krzesła, potrafili w czas zrezygnować, i jednak wrócić do, o ileż bardziej, w ich warunkach, korszniejszej pracy.

Jeżeli na stanowiska ambasadorów powoływano ludzi takich jak Putrament — to jego pamiętniki zdradzają ile dziecinnej naiwności potrafił on zachować. Tuwim twierdził, że warunkiem zostania dobrym pisarzem, czy poetą, jest umiejętność dziwienia się. Ale nie słyszałem o tym jako o warunku zostania dobrym dyplomata.



Na temat środowiska, właścicieli PRL i temu podobnych krążą zupełnie niesłychane wieści po świecie. Pomogła w tym na pewno „Nowa Klasa” Dżilasa i stereotyp wyobrażeń aż zbyt częsty w polskiej prasie na Zachodzie.

Słyszałem niedawno w audycji Wolnej Europy, jak ktoś wybrzdącał się tam na tygodnik *Stolica*, chrząc go czymś w rodzaju pisma inspirowanego przez UB. Wyobrażam sobie, że biedacy z tego miłego pisma popadli w głębokie zawstydzenie nad sobą. Bo — co tu dużo ukrywać — *Stolica*, jako pismo dalekie od traktów politycznych, jest miejscem, w którym upycha się ludzi, z którymi nie wiadomo co zrobić. Nie znaczy to, że są to kiepscy dziennikarze. Nie — wprost przeciwnie. Ale są oni — mówiąc oględnie — niezawsze w najlepszej zgodzie z linią partyjną, i stąd kłopoty. A dodatkowych przysparza im mało zorientowana stacja monarchijska.

Trzeba może generalnie, i raz na zawsze wyjaśnić, że UB nie jest instytucją popularną wśród dziennikarzy, w stowarzyszeniu, wśród wydawców periodyków. UB w tym środowisku pracuje w sposób podobny jak James Bond na obcym terytorium. Toteż domyślanie się, że ktoś tam spośród „nieprzejednanej” Polonii został zeszmacyony przez taki czy inny dziennik — to to jest albo wynik prywatnych przekonań autora artykułu, albo inspiracja Biura Prasy KC, i może mieć bardzo mało wspólnego z biurami na Puławskiej czy Rakowieckiej. Naturalnie, w środowisku twórczym roi się od konfidentów, ale oni nie mogą mieć i nie mają wpływu na charakter pisma, w którym pracują, bo siedzą bardzo cicho, a zadaniem ich jest raczej pisanie sprawozdań z „politycznego oblicza” kolegów i przełożonych, niż cokolwiek innego. Trzeba pamiętać, że okres stalinowski nie został całkowicie zapomniany i przeciętny partyjny kacyk jest bardzo łaskotliwy na punkcie infiltracji UB, i „stawiania się władz bezpieczeństwa ponad partią”. Ale powszechnie — jak się wydaje — przyjmowane na Zachodzie wzorce radzieckie czy chińskie, przekłada się również — jakże niesłusznie — na stosunki polskie.

Jak to czasem w Polsce wygląda, to opowiadał mi przyjaciel, który niedawno znalazł się jakimś cudem na placówce zagranicznej. Jedną z pierwszych rzeczy, jakie usłyszał od swego ambasadora, to... kogo należy się wystrzegać jako rezydenta UB! Podobnie jest i w miejscowych, krajowych instytucjach, redakcjach, fabrykach.

Inna rzecz, że nawet UB — jeżeli to możliwe — ucywilizowało się w ramach jakiegoś tam przywrócenia norm praworządności. Czy ta praworządność jest zgodna z tym, co przeciętny Polak wie o demokracji — to inna sprawa. Ale prawo jest pra-

wem i posługując się nim, można w końcu nie dać się. We wspomnianej *Stolicy* pracuje znany i zdolny dziennikarz (leń śmierdzący zresztą), który przed paru laty miał sprawę o informowanie prasy zachodnio-europejskiej o co ciekawszych wydarzeniach zachodzących na domowym podwórku. Nie potrafiiono udowodnić mu niczego — i uniewinniono — tyle tylko, że dostępu do co lepszych posad nie ma: musi pracować w *Stolicy*. Właśnie tej *Stolicy* podejrzewanej przez RWE o ubowskie koneksje. Szkoda.



Dużo się napisało o ludziach i sprawach środowiska, towarzystwa, aparatczyków, *high-life*'u badylarzy i właścicieli Polski Ludowej. Ale wydaje się, że właśnie te grupy ludności w jakimś dużym stopniu nadają ton i koloryt sprawom i rzeczom. Gdziekolwiek się znajdziemy, w każdym zakątku Rzeczypospolitej: zawsze napotkamy na ślady działalności, na ślady bytności i wszechobecności którejś z opisanych grup. Więc i może nie szkoda było na to miejsca.

Polska ma trzydzieści dwa miliony mieszkańców, z czego połowa mieszka na wsi, a trzydzieści osiem procent żyje z rolnictwa. Ci ludzie nie należą do środowiska, nawet pewnie nie wiedzą, co to jest, a jednak żyją, a jak żyją, o tym będzie traktował...

R o z d z i a ł VII

P R O W I N C J A

Zajrzeliśmy już w jednym z poprzednich rozdziałów w Polskę malowniczą rozciągającą się od bram wielkich miast ku horyzontom zapomnienia. Widzieliśmy i łatwo napotkamy wszędzie czar nieskażonej przyrody. Ale w tej przyrodzie, wśród tych krajobrazów żyją ludzie, choć niezawsze wiadomo z czego żyją.

Wieś podmiejska, wieś okolic przemysłowych jest zasobna, nawet zamożna, ale z czego żyją miasta takie jak Zamość, Biecz, Pcim — daję słowo: nie wiem.

Więź między polską wsią czy małym miasteczkiem a zamieszkałymi za granicą Polakami jest na pewno ściślejsza niż w innych wypadkach. Wiem, że istnieją w Stanach Zjednoczonych stowarzynia byłych chochołowian, a może też mieszkańców Nowego Bystrego, Ratułowa, Kościeliska — i nie mniejszej ilości miejscowości tak licznie dostarczającej emigrantów rzeszowszczyzny. W Czarnym Dunajcu buduje się wspólnym polsko-amerykańskim wysiłkiem kościół, gdzie indziej szkoła albo szpitalik wiejski. I czasem się wydaje, że to jedyne pieniądze, jakie ta miejscowość od swego założenia oglądała.

Zza morza przyjeżdżają amerykańscy gazdowie obejrzeć swoje posiadłości na Podhalu nabyte poprzez rodzinę pozostałą w kraju. Nie wiadomo jak te tytuły własności załatwiane są prawnie, bo nie wydaje mi się (niech sprostuje — kto wie), by zgadzało się to z przepisami dewizowymi o zakupie nieruchomości przez cudzoziemców.

Fakt, że ziemia i place we wsiach i miasteczkach nie zostały upaństwowione ani umiastowione, sprzyja zachowaniu wyglądu takich osiedli, bo żaden prowincjonalny magistrat nie byłby w stanie wykupić terenów pod jakieś municypalnie projektowane bu-

dowy. W miasteczkach takich jak Maków, Zambrów, Przasnysz, — nowe domy, nawet całe osiedla o prawie wielkomiejskim wyglądzie wyrastają z dala od sypiącego się ze starości i zaniedbania ryneczku, tworząc nowe miejskie centrum. Tam gdzie wyrasta przemysł, osiedla robotnicze tępią kartofliska i ugory. Nowy Konin wygląda jak nowocześniejsza Nowa Huta, podobnie przedmieścia Nowego Targu, Nowe Tychy, miasta zagłębia miedziowego, nadbałtyckie kąpieliska wyrastające na poniemieckich ruinach. Małutki Rzeszów nabrał charakteru stolicy województwa, choć Przemysł nań koso patrzy. Gorzów Wielkopolski uważa się za coś lepszego niż stołeczna Zielona Góra, nie tylko dlatego, że jest większy, ale i ponieważ ma tramwaje, oraz wielką fabrykę włókien sztucznych. Na tej samej zasadzie Kraków przez przeszło trzysta lat nie pogodził się z przeniesieniem stolicy do parwienuszwowskiej Warszawy. Coraz częściej w tym czy innym dechami zabitym miejscu pojawia się raptem nowoczesny budynek klubokawiarni, albo po prostu kawiarni, motelu, schroniska PTTK, co zwykle wygląda jak kwiatek przy kożuchu. Ale w większości miejscowości wydaje się, że czas stanął tam setki lat temu: w Czerwińsku nad Wisłą, gdyby dobrze poszukać, znalazłby się pewnie jeszcze rozrzucone kamienie, których użył Jagiełło do budowy mostu, gdy ciągnął pod Grunwald. Nie ma nic złego w samym fakcie, że w takich miasteczkach zachowały się stare domy, — chodzi tylko o to, że sądząc z wyglądu, nie były one od tamtych czasów ani razu odnawiane. Tak niestety wygląda polska prowincja w przeważającej większości, i obawiam się, że ktoś kto opuścił kraj przed dwudziestu kilku laty, ma spore szanse powrócenia na własne — dosłownie — śmieci.

Przyczyny zaniedbań są jasne: brak pewności jutra, obawa opodatkowania (kto odnawia chałupę — ten ma widocznie forsę), i wreszcie, *last but not least*, po prostu brak pieniędzy. A w panoszącej się prowincjonalnej nudzie najprymitywniejsza rozrywka, czyli ćwiartka, kosztuje na pewno taniej niż puszka farby, czy torba tonu. Toteż mało jest wahań na co mianowicie wydać niewielkie napływające do kieszeni sumy. I jeżeli spożycie alkoholu w Polsce wzrasta, to niemała w tym zasługa i udział zanudzonej prowincji.

Jak za najciemniejszych czasów okupacji bimber jest produkcją uboczną w setkach, jeżeli nie tysiącach, wsi, a tu i ówdzie chłopci o żywszych umysłach odkryli, że tzw. dykta, czyli denaturat — produkt powszechnie dostępny i bardzo tani — daje się pić bez, podobno, złych skutków, gdy zostanie zmieszany z sokiem malinowym.

Chyba nie tyle temperament narodowy, ile wódka są przy-

czyną licznych bójek, nierzadko kończących się śmiercią. Wesele bez mordobicia nigdy nie było ważne i nowożeńcy czuliby pewien niedosyt, gdyby nie uczczono ich wielkiego dnia przy pomocy kłonic, sztchet i butelek — ale to co się dziś dzieje na wsi nie tylko z okazji wesel, przerosło wszelkie dotychczasowe doświadczenia. Przygasły już po dziesięciu latach spory i porachunki osobiste z działaczami partyjnymi, których winiono za zaganianie do kołchozów, ale tym mocniej odżyły odwieczne spory o działy rodzinne, o zaoraną miedzę, o drogę, o drzewo, o owoce. Wybuchają co pewien czas nieporozumienia o wiejską nauczycielkę, o księdza, o — diabli wiedzą o co... ale zawsze daje to powód do krwawych porachunków. Przed laty pijany wyrostek na Bukowinie zabił kołkiem z płotu, bez żadnej przyczyny, młodego inżyniera, który chciał uczyć tylko co otrzymany dyplom wyjazdem w góry. Sprawa odbywająca się w Nowym Targu zmobilizowała nienawiść górali przeciwko „miastowym”, a surowy i bezwzględnie słuszny wyrok, wywołał falę niezrozumiałego oburzenia wśród bukowinian. Trudno wyważyć ile w tej dzikiej nienawiści było spowodowane obarczaniem zbiorową odpowiedzialnością wszystkich „miastowych” za powódź zarządzeń ograniczających swobodę chłopską. Ale to w jakimś stopniu może być przyczynkiem do zilustrowania głoszonego przez partię sojuszu robotniczo-chłopskiego.

Wieś podmiejska urbanizuje się powoli, przynajmniej w odniesieniu do stylu życia jej mieszkańców, ale wieś odległa od ośrodków miejskich, jest prymitywna, zacofana, konserwatywna. Nie tak dawno, w połowie wieku XX, gdy pierwsze statki kosmiczne zaczynały krążyć dookoła ziemi, mieszkańcy podrzeszowskiej wsi nie dopuścili straży pożarnej do swych płonących zagród. Procesjonalnie okrążali pożar z obrazami świętego Floriana, z proboszczem na czele — i kłonicami odganiaли milicję i strażaków. Wieś wypaliła się spokojnie do końca, a był przecież czas, kiedy przedstawiciele rzymskiego kościoła spełniali na tej ziemi misję cywilizacyjną.

Trudno mówić o polskiej prowincji nie mówiąc równocześnie wiele o proboszczach, o roli Kościoła, dewotek. Ale tam te sprawy skomplikowały się niesłychanie. Czasem ksiądz przeciwstawi się pożytecznym planom władz administracyjnych, już tylko dla zasady, że to one wymyśliły. W innych wypadkach, jeżeli taką inicjatywę poprze, może spotkać się z niewiarą, krytyką brakiem zaufania albo ze strony samych mieszkańców, albo swych przełożonych. Tu nie może być żadnego szufladkowania spraw, bo każdy przypadek, w każdej wsi, parafii, gromadzie jest indywidualny, odrębny, nie podlegający jakiegś ogólniejszej klasyfikacji.

Jak widać z przykładu pożaru gaszonego obrazami świętymi, ksiądz i jego poglądy nadal panują nad zdolnościami myślowymi chłopca.

Co pewien czas w Polsce zdarzają się cuda. Nie jest z tego wyłączona nawet Warszawa. Cuda zdarzają się na ogół jednak na wsi: raz gdzieś na Mazowszu, to znów na Podhalu — i w tym wypadku nie pomagają zaprzeczenia księży i biskupów. Ludzie chcą widzieć cud. Na miejsce zwołują się nieprzebrane tłumy, pieszo, wozami, pociągiem, — przetkane gromadą ubeków, którzy też nic nie widzą ani na wieży, ani w kosówce koło kaplicy. Ale niech nikt nie próbuje zaprzeczyć cudowi — zabijają. Zabijają ludzie, którzy posługują się w swej pracy automatami, którzy siadają wieczorem przed telewizorem, korzystają z całej XX-wiecznej cywilizacji. Ale wybór w środowisku wiejskim i małym miasteczkowym jest nazbyt często wyborem między kościołem i partią. Bo bezpartyjny agnostycyzm istnieje tylko w ośrodkach inteligencji miejskiej. Ludzie na prowincji znajdują się pod presją dwu czynników reprezentowanych przez księdza i sekretarza partii, obu fanatycznych w swym starciu światopoglądowym. (Czyżby Stalin miał rację w swej teorii o zaostrzaniu się walki klasowej, w miarę postępu rewolucji?) Ta walka rozgrywa się jednak nie na podłożu różnic ściśle politycznych, ale niejako marginesów, lub może wyników inwazji jakiejś wątej — i potrzebnej przecież — nowoczesności, którą reprezentuje jednak właśnie tylko aparat administracyjny, który niesie także razem nowe zarządzenia, nowe podatki, kontyngenty... Trudno to wszystko rozwikłać: polska specyfika?

Taki podział jest na pewno wygodny partii, jeśli ona przy pomocy posłusznego sobie aparatu dostarcza (a przynajmniej umożliwia) chłopom maszyny, nawozy sztuczne, a ksiądz nadal dysponuje tym samym arsenałem atrakcji jak odpust, nieszpory, pielgrzymka do Częstochowy. Jeśli ksiądz włącza się do akcji unowocześniania, może zostać „księdzem patriotą”, komunizuje, a jeśli się nie włącza — to prędzej czy później (raczej później) władza duchowa przegra w starciu z bardziej realistycznymi potrzebami zaspokajanymi przez konkurencję. Partia to widzi i — nie śpieszy się. Ale czy widzą to władze kościelne?

Chyba zawsze tak było w Polsce i tak się dziś to nadal widzi: wzdłuż szos pojawiają się i znikają nędzne wsie z chatami krytymi strzechą, studzienne żurawie, walące się drewniane „sławojki” otaczające wspaniałe gotycki czy barokowy kościół. We wspomnianym Czerwińsku nie ma chyba ani jednego domu wyższego ponad walący się parter, ale nad miasteczkiem króluje cudowny romański klasztor. „... bram cztery ułomki, dziewięć

klasztorów i gdzieniegdzie domki...” — to biskup Krasicki. Gdzie się podzieli księża tacy jak ów z przedwojennego Liskowa? Dziś byliby potrzebniejsi niż kiedykolwiek. Wieś polska musi znaleźć społeczników czy w sutannach czy bez, jeżeli nie mają nią rządzić ludzie z czerwoną legitymacją w kieszeni, — albo zostanie w średniowieczu.

Tego wszystkiego nie widzi ani zagraniczny ani krajowy turysta, bo obraz powierzchniowy jest taki jak to pokazałem w turystycznym rozdziale. A który jest prawdziwy? Chyba oba.



Pod względem rzeczywistości wewnętrznej prowincja polska jest dość jednolita i urozmaicony krajobraz kryje przed okiem niezbrojonym wcale podobne problemy dnia codziennego.

Ziemie Zachodnie, dawniej zwane Ziemiami Odzyskanymi, a dziś coraz częściej województwami zachodnimi i północnymi, nie różnią się już dzisiaj niczym od reszty Polski. Jeżeli są różnice dostrzegalne dla turysty, to przede wszystkim gorsze drogi niż w Polsce środkowej, mniej stylowe i uboższe kościoły, liczniejsze pomniki z czerwoną gwiazdą znaczące szlak armii-wyzwolicielki. Zamieszkuje te województwa mieszanka środkowo-polska, podolska, wołyńska, wileńska, — katolicka, prawosławna, nawet z rzadka muzułmańska. Drugie pokolenie rodzi się tu, zapominające i nie znające ziemi swych rodziców. I łatwiej porozumieć się dziś po niemiecku w Chorzowie czy Bytomiu, niż w Szczecinie, Wrocławiu, Kołobrzegu, Głogowie. Statystycznie, pozostało na tych ziemiach dwa tysiące Niemców, lub przynajmniej ludzi, którzy przyznają się do tej narodowości. W okresie bezpośrednio po wojnie, w okresie błędów i wypaczeń ówczesne zbrodnicze zarządzenia przegrały dla Polski kampanię o przywrócenie krajowi Mazurów i Opolan. Miejscowe władze faworyzowały w jakichkolwiek sporach zawsze nowoprzybyłych z ziem zabranych przez Rosję, traktując autochtonów prawie jak hitlerowców. Polska przegrała, utraciła tych ludzi, a wśród dobrowolnych emigrantów znalazła się nawet rodzina ludowego poety Kajki, więzionego wielokrotnie przez władze niemieckie za walkę o polskość tych ziem. Nie najmniejszą przyczyną ucieczki tych ludzi z Ziem Zachodnich jest brak stabilizacji i pewności jutra w porównaniu z sytuacją rodzin żyjących w większości w NRF. Z drugiej strony pozostało w Polsce trochę specjalistów w na poły zburzonych fabrykach, w wytwórniach win, trochę właścicieli wiejskich kawiarni i piwiarni, którzy jakimś cudem utrzymali się jeszcze przy swej własności. Są rybacy znad wiślanego zalewu i szczecińskiego,

którzy tak jak dawniej żyją z połowów i nawet między sobą coraz rzadziej po niemiecku mówią. Dzisiejszym władzom żal się zrobiło bzdur popełnionych przez stalinowskie rządy, ale nic nie odwróci spraw nieodwracalnych, chociaż prawie chucha i dmucha się na ostatnich Słowińców pomorskich, którzy przechowali swą mowę i obyczaję przez setki lat germanizacji. Problemy typowo wiejskie z Polski środkowej i wschodniej zurbanizowały się na zachodzie choćby poprzez fakt, że coś trzy czwarte ludności na przykład Wrocławia jest pochodzenia wiejskiego i to z wsi dzisiejszej Ukrainy i Białorusi. To przeniesienie wiejskich odniesień, obyczajów, w świat miejsko-przemysłowy, mogłoby być przedmiotem poważnych i na pewno ciekawych studiów socjologicznych. Tam wieś przychodziła do gotowego miasta, a nie rosła razem z nim, ale przychodziła tam w masie, a nie tonęła w morzu miejskim jak to się dzieje w Warszawie, Katowicach. Ten skład ludnościowy nadaje osobliwy wygląd codziennym i odświętnym ulicom półmilionowego miasta, ale złożonego jakby z kilkuset odrębnych wsi i parafii.

Jeszcze niewiele lat temu przechodząc na ulicach któregośkolwiek z tych miast zapytany, skąd pochodzi, wymieniał Oszmianę, Stryj czy Nowogródek, — a dziś powie: Stargard, Brzeg, Strzelce, Nowa Sól. Na wakacje jeżdżą rodziny w Rzeszowskie, Białostockie, Lubelskie, albo odwrotnie stamtąd na zachód, i wtedy czasem zostają na stałe. Są dwie przyczyny, dla których miasteczka ponemieckie są ludniejsze niż w czasach przedwojennych, a wschodnio-polskie wyludniły się. Pierwsza, to migracja na zachód, gdzie łatwiej o pracę w odbudowanym przemyśle, a druga to wyniszczenie wojenne Żydów stanowiących nieraz przecież więcej niż połowę ludności wschodnio- i środkowo-polskich miasteczek. W wielu małych miejscowościach *Sonderkommanda* realizujące „ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej” niszczyły żydowskie domy a nawet całe dzielnice, gdy zabrakło ich mieszkańców. Powstały takie pustynie we włączonej dziś do Wielkiej Warszawy Falenicy, w Węgrowie i wielu innych miasteczkach, w których istniały powiatowe getta zanim Żydów z nich nie wymordowano albo na miejscu, albo nie przeniesiono do Warszawy czy Łodzi w drodze do zagłady masowej. Takie pustynie w wielu wypadkach pozostały, i nikt nie chce budować się na ruinach ludzkiego życia, które minęło w największej zbrodni wszystkich czasów.

Tymczasem na Ziemiach Zachodnich, w nowej ojczyźnie dla tak wielu, rozwinął się patriotyzm lokalny w rozmiarach nieznanych gdzie indziej. Ze szczeciniaków śmieją się, że oni chwają się swoją niezawodną pogodą, nawet jeżeli leje drugi tydzień

z rzędu; zielonogórzanie uwielbiają swoje rzeczywiście uroczne i optymistyczne miasto; a Wrocław, obok niewątpliwie niemieckich zabytków i pamiątek, ma także jak najbardziej polskie, lwowskie Ossolineum, zadomowione tu jakby nigdy nigdzie indziej nie było.

Na tych ziemiach jest coś z powrotu w piastowskie czasy, coś nienazwanego, choć warszawski nauczyciel wykłada w liceum im. Mieszka I, choć w Jeleniej Górze szanuje się niezwyczajnie jej założyciela, Bolesława Krzywoustego, Frombork żyje czasami swego kanonika Kopernika, a mieszkańcy mazurskich osiedli o małowzrostowych nazwach zmienili je na Spychów i Jurandów. W końcu w Warszawie też się pokazuje dom, gdzie był sklep Wokulskiego, gdzie mieszkał on sam, a gdzie jego dysponent, Rzecki. To już wprawdzie nie literatura, ale dziwnie się robi gdy się zobaczy wrocławski tramwaj z tablicą wskazującą, że jedzie on do dzielnicy Psie Pole.

O Poznaniu, Krakowie i licznych pomniejszych miastach, każdy neofita-warszawiak powie: prowincja. Czy słusznie? semantycznie tak, a jak jest naprawdę?

R o z d z i a ł VIII

PROWINCJA ?

Przeciętnego warszawiaka wkurza (jak mówią krakowiacy) Kraków. I odwrotnie. Choć krakusiki (jak ich nazywa Warszawa) nie mogą odmówić stolicy wielkomięskiego rozmachu, to nie przeszkadza, że pokpiwają sobie z barbakanu na Starówce i murów obronnych*.

Ale Kraków pozostaje i pozostanie na zawsze turystyczną Mekką, gdzie prawie każda brama kryje cuda średniowiecznej i renesansowej sztuki. Krakowiacy protestowali przeciwko układowi nowej nawierzchni z płyt granitowych w miejsce zabytkowych kocich łbów, na których podobno były ślady zębów wybitych na nich jeszcze w średniowieczu. Protestowali przeciwko znieważeniu któregoś tam kopca projektowanym ustawianiem na nim masztu telewizyjnego — i wygrali. Wylegli półmilionowym tłumem, kiedy przy huczeniu Zygmunta z katedralnej wieży, wprowadzano na Wawel arrasy i wnoszono palladium Rzplitej: Szczębiec Chrobrowy. Przyjęli wreszcie do wiadomości istnienie nowej dzielnicy pod tytułem Nowa Huta, co zaokrągliło liczbę ludności do coś tam 550 tysięcy, i teraz odgrażają się, że niedługo — najdalej za dziesięć lat — prześcigną Warszawę. Każdy szanujący się krakowiak zagląda do każdego archeologicznego wykopu na Wawelu czy koło świętego Wojciecha od czasu jak z Jamy Michalikowej (gdzie po starym mieści się zielono-balo-

* Może nie wszyscy wiedzą, że barbakan, a właściwie jego połowa, zachował się wmurowany w kamienicę, która nie przetrwała Powstania, a mury obronne obudowane z obu stron przez osiemnastowieczne i dziewiętnastowieczne kamienice okazały się od nich trwalsze i nie rozsypały się pod ogniem niemieckiej artylerii i Stukasów. Toteż po wojnie nawet nie wiele trzeba było zrobić, poza zakonserwowaniem ich, bo odstąpiły się same.

nikowy kabaret) rozeszła się wieść, że pierwszego krakowiaka, a właściwie jego mumię, odkryto w Egipcie.

A tymczasem odkryto naprawdę, że kamienie zdobiące złotą koronę na sygnaturce złotej kaplicy Zygmuntowskiej, są prawdziwe, co już samo starczyłoby za dowód starożytności budowli datującej się wobec tego na czasy sprzed centusiogrodu (jak mówią warszawiacy). Oczywiście należy przyjąć, że tłumy oblegające wawelską katedrę składają się nie z turystów krajowych i zagranicznych, lecz obywateli grodu Krakusa pilnujących, by kamieni nie wywiózł do Warszawy zachłanny dyrektor Lorentz.

A poza tym niektóre obyczaje krakowskie mają twarde życie. Szpera o godzinie dziesiątej wpływa na elastyczność kroku zazwyczaj powolnych mieszkańców, flanujących z upodobaniem po Floriańskiej i Linii A-B, słuchających hejnału z mariackiej wieży do dziś granego na żywo, oglądających radców u Noworolskiego (jeszcze żyją!) nad różkami i przewrotną kawą, zanim pójdą do żadnego już biura.

Kolorowe parasole kwiaciarek pod świętą Barbarą, w rynku koło Bożego Narodzenia konkurs szopek, Lajkonik wiosenny, studenckie Juvenalia, antykwiariaty, antykwiariaty, plac Wszystkich Świętych — Wiosny Ludów — z apteką sprzed odkrycia Ameryki, Collegium Maius, śmiesznie wąska Wisła (dlaczego Warszawa ma szerszą? — oni wszystko chcą mieć lepsze!) i szachiści nad jej brzegiem, planty, planty, planty.

Koło Sukiennic drzemie na kozle ostatni popielaty fiakier w meloniku, — wycieczka ogląda wiszący na łańcuchu nóż, którym brat zabił brata, wiecie, chodziło o wieżę Panny Marii, — nóż niedawno nowy zawieszony (który to już?), bo stary rąbnął amerykański turysta; na Wawelu, z tłumionym chichotem — jakby podając dalej plotkę o kimś żyjącym — pokażą kręcone kamienne schody, którymi dwumetrowa (i o tym wiedzą) Jadwiga wymykała się ze swej komnaty na spotkanie z ukochanym, który wcale nie nazywał się Jagiełło.

Piwnica pod Baranami, Cricot II, Krzysztofory, Jazz-club, Apollinaire u studentów Pod Jaszczurami, abstrakcja, moderna, „na początku była chuć”, zmieszczanie Nowej Huty — a jednak chyba Boy-Żeleński miał rację: wszystkiemu winne mury. Bo Kraków pozostał Krakowem, jedynym miejscem w Polsce na prawdziwy jubileusz. Czegokolwiek.

Tu też jest środowisko, drugie liczebnie po stolicy, zbierające się u dziennikarzy, u literatów — patronów na Małym Rynku, Boya na Floriańskiej, tylko do dawnego Paonu chodzą głównie k.... i przyjezdni na delegacjach — wieczorem we Francuskim, w Feniksie,

gdzie w barze *Tygodnik Powszechny* goli tę samą wodę z *Gazetą Krakowską*, albo w wawelskiej katedrze po wielkanocne papieskie błogosławieństwo siwego infulata obstawionego przez kleryków z trzech tutejszych seminariów.

Skuszanke z nowohuckiego teatru porwała już Warszawa (oczywiście!), ale u Słowackiego, w Starym, w Miniaturach można zobaczyć spektakle na poziomie europejskim. Że nie w sezonie? Tak jest w całej Polsce. Aktorzy też ludzie i wolą mieć wakacje w lipcu albo sierpniu, niż w innych miesiącach. Cały Kraków jest jednym wielkim muzeum, a tygodnia nie starczy by obejść Czartoryskich, Czapskich, Galerię, Etnograficzne, Wawel (*pocziemu eto muziej, czto on pokazywajet?* — dziwił się bułgarski partorg. Wiadomo, baran). U trumny Piłsudskiego co dzień świeża wiązanka kwiatów rzucona czyjąś ręką, — u stóp Warneńczyka kwiaty z węgierską szarfą: bracia Madziarzy nie zapominają choć to pół tysiąclecia minęło, — wokół biało-marmurowej Jadwigi fotografuje się wycieczka z Ameryki: „jeden picture dla mnie — don't forget”.

Prowincja. Prowincja?



Węgry mają Budapeszt, Pragę ma Czechosłowacka Republika Socjalistyczna, a Austria Wiedeń — i właściwie tyle. Ale polska geografia kulturalna nie kończy się, ale zaczyna w Warszawie. Kiedyś Poznań, Wilno i Lwów znaczyły kulturalne ośrodki pod różnymi zaborami, a jak jest dziś?

W kraju, gdzie miast uniwersyteckich jest więcej niż wojewódzkich, również życie kulturalne musiało wytworzyć więcej żywych ośrodków. Obok świetnych kilku teatrów stołecznych i krakowskich, są zasłużoną sławą cieszące się sceny w Kaliszu, Opolu, Zielonej Górze i wielu innych, nieraz zupełnie małych miastach. Amatorskie teatry zakładów czy klubów nie wystawiają Obrony Częstochowy, ale raczej Becketta — i nieraz zupełnie dobrze. Wbrew ciągotom artystów do stolicy (nie wszystkich na szczęście) i wbrew ciągotom stolicy do zagarniania najlepszych artystów — najlepszą operą w kraju jest chyba poznańska, a po niej bytomska, i wcale nie stołeczna. Opinię najlepszej operetki ma lubelska. Sławne są symfoniczne orkiestry: katowicka i bydgoska. Plastycy abstrakcyjniści występują nie tylko w każdym mieście posiadającym akademię sztuk pięknych, lecz także na przykład w Rzeszowie. Centralizacja kulturalna pojawia się w większym nasileniu tam, gdzie macza w tym palce państwo, tj. w dziedzinie wydawnictw książkowych, które w przytłaczającej

większości zgrupowano w Warszawie. Także środowiska literackie muszą z konieczności być liczniejsze w stolicy niż w miastach tzw. prowincji. Wiadomo, że wkrótce po wojnie poważnymi ośrodkami literackimi były Łódź i Jelenia Góra — ale to minęło, i dziś poza grupującym trzy czwarte pisarzy ośrodkiem warszawskim istnieją znacznie mniejsze grupy w Krakowie, Wrocławiu, Poznaniu, Szczecinie, Olsztynie i Trójmieście — ale niemiędy ruchliwe i dające o sobie znać w miejscowym życiu kulturalnym i na łamach prasy periodycznej centralnej.

Kłopoty i nieporozumienia, złe humory i tak zwane sobaczenie zaczyna się wtedy, gdy dochodzi do rozdziału wyjazdów zagranicznych, stypendiów, wymian — bo klucz ilościowy i terytorialny dzierżą centrale stowarzyszeń twórczych z siedzibą w stolicy. Toteż chociaż geografia kulturalna Polski jest raczej dość urozmaicona, to proporcjonalnie największe korzyści ciągną warszawiacy. Dotyczy to zresztą nie tylko spraw kulturalnych, ale nawet rozdzielnika wycieczek orbisowskich, związkowych, składu „Pociągów Przyjaźni” i td., co obok zrozumiałej niechęci i żalów, sprzyja także wzmózonemu zainteresowaniu przeniesieniem się na stałe do stolicy.

Teatr na prowincji, mimo konkurencji kina i coraz powszechniejszej telewizji, pozostał instytucją na etacie XIX-wiecznej świątyni sztuki, a amant z rzeszowskiego teatru jest tam postacią popularniejszą niż sekretarz wojewódzki partii. Jeżdżący na prowincjonalne wieczory autorskie pisarze miewają konkiety na zasadzie „siedzi dziewczę z literatem, ledwie go oczami nie zji” (to znów Boy), plus aureola stołeczności: „Zna pan Zbyszka Cybulskiego? osobiście?”

Środowiska kulturalno-dziennikarskie są i z tytułu swej mniejszej liczebności i potrzeby większej samoobrony, bardziej zwarte i dysponują większymi wpływami w miejscowym aparacie partyjnym i administracyjnym. Co tu dużo ukrywać: w jednym czy drugim mieście szarogęsią się nie „jak”, ale „na” własnym podwórku, nie bez korzyści dla spraw natury ogólniejszej swego terenu. Toteż rośnie coraz bardziej zapotrzebowanie na lokalną prasę małomiasteczkową wśród ewentualnych kandydatów na redaktorów, by wreszcie sobie pofolgować na miejscowych kacykach pod ochroną ustawy o krytyce prasowej.

Muzealnictwo rozpełzło się po całej Polsce, czasem zresztą i z tej przyczyny, że jak nie wiadomo było co zrobić ze starym pałacem czy dworem — to organizowało się muzeum.

Nie oznacza to, broń Boże, by muzea te były byle jakie, nie, wprost przeciwnie. Prawie z niczego powstały takie placówki w Grudziądzu, w Kielcach, Oblęgorku, setce innych miejscowości,

i — by nie przemilczeć — dubeltowe muzeum Lenina w Poroninie i Białym Dunajcu. (Rzecz o tyle warta zwiedzenia, że stoi tam jedyny w kraju pomnik Lenina, ruskiej proveniencji, a więc z wyciągniętą łapką, tak jak należy). Już trzeba to powiedzieć, że polskie muzealnictwo i technika graficzno-wystawowa nie mają chyba sobie równych w Europie, a sprawdzić to można na każdej najmniejszej wystawie i w każdym muzeum.

Równolegle z tym rozwija się opieka historyków sztuki nad zabytkami. Rzecz niezwykle potrzebna w kraju, który tyle ze swych skarbów utracił w wojnach, a także w wyniku niedouczenia ludzi, którym powierzono te zabytki w opiekę. W niejednym kościele miejscowy ksiądz przeniósł na strych stare rzeźby zastępując je w ołtarzach gipsowymi figurami, a przed paru laty mój przyjaciel na zlecenie zamożnej parafii, która widocznie nie wiedziała co ma zrobić z pieniędzmi, malował *al fresco* ściany i strop w późno-romańskim kościele. Tam widocznie konserwator nie zdążył z interwencją. Czasem ważnej pracy historyków sztuki przeciwstawia się tępa administracja, jeżeli wykonanie planu musi być ważniejsze. W ten sposób przedterminowej odbudowie warszawskiej starówki musiały ustąpić arcyciekawe prace archeologiczne; kustosz muzeum z Sanoka odkrył XII-wieczną ikonę pełniącą obowiązki łaty na pegeerowskiej stodole; a w Nowej Hucie koparki zniszczyły liczne prehistoryczne dymarki zanim resztę zabezpieczyli uczeni.

Po Październiku raptem wróciły do Polski setki płócien i rzeźb znajdujących się na liście strat kultury polskiej — które wprawdzie wywieźli Niemcy, ale przybywały one z kierunku wschodniego w drewnianych skrzyniach z wcale nie germańskim napisem „nie kantowat”, i podobno znajdowały się (widocznie Ruscy chcieli nam zrobić niespodziankę) w konserwacji: przez 12 lat! I nie wiadomo po co wobec tego setka rzeźb z pałacu i parku wilanowskiego musiała przejść gruntowny remont na miejscu. W ramach przyjaźni polsko-radzieckiej wielki wschodni sąsiad przysłał do Polski lwowskie i wileńskie pomniki: Sobieskiego z Wałów Hetmańskich, Fredrę, zachowując sobie Mickiewicza, który jako przyjaciel Puszkina cieszy się tam dużym poważaniem.

W ramach wymiany kulturalnej, w miesiącu przyjaźni polsko-radzieckiej, obchodzi się tygodnie kultury białoruskiej, ukraińskiej, litewskiej, jako republik graniczących z PRL. Inicjatywa niezwykle pomysłowa, bo polscy uczestnicy analogicznych tygodni kultury polskiej u sąsiadów mogą się przekonać o rzeczywistej fascynacji Polską w Mińsku, Kijowie, Kownie.

Nie tylko radzieckie, czeskie i wschodnio-niemieckie teatry odwiedzają Polskę, ale także francuskie, angielskie, — piosenkarze

nie tylko na sopocki festival, ale na tournée także po miastach prowincjonalnych, co daje powód do odkryć, że na przykład w całym 30-tysięcznym Zakopanem nie ma ani jednej zradiofonizowanej sali. Słania się po scenach krajowych Marlena, łapią kontrakty w Pagaracie zachodzące gwiazdy, którym trudno o kontrakty na wybrednym Zachodzie, i gwiazdy autentyczne, wyzwierżają się Animalsi przekrzykujący się ze smętnym wyjcem Niemenem i rześką Kasią Sobczyk („Ona ma dwadzieścia lat — dwadzieścia lat, jak ty” — ona, to PRL).



Są miasta w Polsce, nawet miasta duże, które nabierają ruchu i rumieńców tylko w określonych porach roku, z okazji określonych wydarzeń. Do takich miast należy prawie półmilionowy Poznań żyjący właściwie od Targów do Targów, ocykający się nieco na targi krajowe, kiedy to po Moulin Rouge'ach i Merkurych zalewają się krajowcy, a nie Niemcy, Holendrzy, Francuzi, czy Skandynawowie. Ale za to na dwa tygodnie późną wiosną Poznań żyje. Stroi się na ten okres w kolorowe żarówki, myje i pucuje, — na dworcach milicja przeczesuje przybyszów w poszukiwaniu znajomych oprychów i „nocnego życia”, na terenach targowych w pośpiechu robi się pieniądze, które starczyć powinny do następnej wiosny: maluje, buduje, ustawia. Przez dwa tygodnie będzie dzień w dzień napływać z całego kraju fala turystów żądnych zobaczenia co ma do pokazania zagranica, ale przede wszystkim tego, co się produkuje w Polsce, a czego w skle-pach nie uświadczą. Z otwartymi gębami patrzą ludziska na niewidziane w żadnych *Delikatesach* kiełbasy, konserwy rybne, mięsne — kupują co jest do kupienia: kufel Grodzisza, torciki Wedla, — baranim okiem popatrzą na elektronowo sterowane obrabiarki i karuzelówki, wezmą na pamiątkę na miejscu na stoisku wyrabiane plastikowe naczynia. I koniec. Za parę dni Poznań znów rozpocznie czekanie na następne Targi, rozjadą się „dziewczynki” i łapserdaki — znów będzie spokój.

Stara stolica Chrobrego żyje cicho i spokojnie, rzadko nawiedzana przez zjazdy i kongresy, jeszcze rzadziej przez konkurs Wieniawskiego — pracuje porządnie, uczy się, kiepsko mieszka, odwiedza teatry, pcha się na koncerty, i nikomu się nie narzuca ze swym istnieniem. Gdańsk, Gdynia, Szczecin przeżywają coroczne sezonowe najazdy turystów miejscowych i tych zza Bałtyku, obgryzane do kości przez głodnych przybyszów — a Poznań: nie. To jest miasto, p r z e z które się jedzie, tak jak Radom albo Kielce, a jeśli się ktoś tu zatrzymuje, to wycieczki szkolne

pędzone do złotej kaplicy pierwszych królów, do ratusza, na wzgórze Przemysława. A przecież to miasto ma do zaofiarowania nie mniej atrakcji niż Kraków. Czemu tak? Nie wiem.



Latem cała przestrzeń zawartą między Rozewiem poprzez Hel aż po Zalew Wiślany zamienia się w coś, co na pierwszy rzut oka wygląda jak Bitwa pod Grunwaldem. Skłębiony tłum sunie ulicami ku morzu już od świtu, by po południu odpłynąć ku restauracjom, kawiarniom, nocnym lokalom, smarować plecy zsiadłym mlekiem, wystawać w ogonach do barów samoobsługowych po bigos, fasolkę po bretońsku, ochłapowaty gulasz i bukiet z jarzyn.

Przed sezonem mieszkańcy, którzy mogą sobie na to pozwolić opuszczają w popłochu swe zimowe leża i zmiatają w góry, nad jeziora, — a jeśli nie mogą wyjechać, to chociaż robią zapasy żywności, papierosów, napojów. A w sezonie przemykają się nieśmiało pod ścianami i łupią skórę z przybyszów ile się da.

Fama głosi, że na Wybrzeżu towary szmuglowane przez krajowych i obcych marynarzy, a wystawiane na sprzedaż w prywatnych sklepach i państwowych komisach, są niższe niż w reszcie Polski. Toteż w przewidywaniu natarcia, właściciele i kierownicy podnoszą ceny, bo zaślepieni szukaniem okazji i nadziei wczasowicze i tak co się da wykupią. MHDowskie sklepy upłynniają buble, wyciągają wszystko co niechodliwe, co zalega magazyny i składy: teraz pójdzie.

W wrześnieju stonka odpłynie, znów będzie można odetchnąć, pohandlować z cudzoziemskimi marynarzami bez pośpiechu, statecznie. Wypocząć, pomieszkać, żyć jako tako kulturalnie, może nawet wykąpać się w Bałtyku.



Najstarsi katowiczanie nie poznają dziś swego miasta, jeżeli dawno tu nie byli. Nie tylko że rozrosło się do trzystu tysięcy, ale wyrosło w górę, strzeliło drapaczami w centrum, gdzie koncentracja neonowych reklam upodabnia je do Piccadilly Circus. Choć i tutaj neony nawalają i kiedyś ogromny napis na Barburkę głosił prawdopodobnie: „(ch)WAŁA POLSKIM GÓRNIKOM”. Miasta górnośląskie, koncentracja kopalń, hut, fabryk — Chorzów, Gliwice, Zabrze, Bytom, Kochłowice, Świętochłowice i dwadzieścia innych — to także najzamożniejsza część kraju. W zaopatrzeniu sklepów, w ulicznym ruchu, w wyglądzie przechodniów

widać pieniądze. Zbyt późny powrót z *week-end*'u zakorkuje nas na wąskich ulicach dojazdowych na całe godziny peźzania w powodzi samochodów i motocykli. W soboty, niedziele, w dni wolne od pracy jedzie się do Szczyrku, do Wisły, do Goczałkowic, do Krakowa, do Pragi, Morawskiej Ostrawy, — na rodzinny obiad do *Monopolu*, na mniej rodzinne pląsy do licznych młodziackich lokali, — statecznie na tyskie piwo, do kawiarni na sznekę z glancem. Mieszka się rodzinnie, jada starym obyczajem w kuchni (nawet państwowi planiści wzięli ten zwyczaj pod uwagę i powiększono parokrotnie metraż projektowanych śląskich kuchni), pracuje w kopalni tej samej co dziad, oszczędza, buduje, hoduje gołębie. To chyba jedyne miasta w Polsce, gdzie w drogich lokalach spotyka się nie środowisko, nie badylarzy, ale prawdziwych robotników, górników. Co za dystans stąd do pobliskiej Małopolski! Władze miejscowe szanuje się, bo są gospodarne, bo nie marnują grosza — *Trybunę Robotniczą* czyta się nie dlatego, że partyjna, ale że robociarska, śląska — bo uczyniły Katowice miastem naprawdę europejskim, czystym mimo dymów i pyłu, zaможnym. W miejsce hałd i wysypisk na górniczych szkodach powstał park chyba najpiękniejszy w Polsce, zoo, planetarium. Gdybym nie był Warszawiakiem, chciałbym być Ślązakiem.



W wielu miastach dzisiejszej Polski, w miastach gdzie powstał nieznan tu przedtem przemysł, całe życie skupiło się wokół miejscowego zakładu, a osobą mniej więcej pierwszą jest dyrektor fabryki. W miarę możliwości, w miarę chęci i zainteresowań załogi i dyrekcji, zakład może stać się także ośrodkiem kulturalnym, dysponując klubem, teatrem, — ale także ośrodkiem politycznym, ponieważ dysponowanie pieniędzmi, pracą, mieszkańiami, jest pozycją kluczową dla egzystencji ludzkiej.

Tak jest w bardzo wielu miejscowościach i tak będzie się działo w coraz liczniejszych, w związku z tak zwaną deglomercacją przemysłu z dużych miast na okoliczną, na ogół bezrobotną, prowincję. Warszawski przemysł precyzyjny, elektronowy, przenosi część swej produkcji do miasteczek zasobnych w ręce do pracy, a ubogich w zarobki, skąd dojeżdżano na ogół do stolicy 50 czy 60 km. Teraz praca będzie na miejscu, ale nowe warunki wytworzą z pewnością nowe stosunki — a jakie, zobaczymy. W Polsce nic nie dzieje się stereotypowo, ani nawet często w sposób podobny jak u sąsiadów będących w analogicznej sytuacji. Polska specyfika? Po wędrowce do starych miast przemysłowych, po przenoszeniu się do nowych miast socjalistycznych — to jest

trzeci typ migracji, kiedy sam zakład przychodzi w typowo dotąd rolniczą okolicę. W okolicach, gdzie dotąd najbardziej wyrafinowanym zakładem przemysłowym był tartak albo młyn wodny, pojawiają się nowoczesne hale pełne automatów, laboratoria — rośnie także ilość wypadków przy pracy, bo ludziom z żadnymi maszynami nieobytym, wydają się one zwierzęciem, które można obłąskawić, i wtedy już nie będzie gryźć ani wierzgać. Chociaż o tym mało się pisze, jest to problem bardzo poważny w prowincjonalnych zakładach, nawet w takich, które mają już pewne tradycje i ileś tam lat pracy, jak chociażby wielokrotnie już wspomnianą Nową Hutą.

W miejsce ludzi, którzy odpłyną do pracy w fabryce, których zabraknie na roli — stawia się intensyfikację uprawy: maszyny rolnicze, nawozy sztuczne, organizuje kółka rolnicze. Ale jak dotąd rezultat jest właściwie jeden: ludzi w rolnictwie ubywa szybciej niż się ono unowocześnia. A przyczyny są bardzo zwykłe: dobre zarobki w przemyśle, brak pieniędzy na roli i konserwatyzm chłopca.

Słowo „prowincja” — w tym dawnym znaczeniu — zawęża się do miasteczek, których nie tknął przemysł, deglomeracja, ominęły plany pięcio- i sześćioletnie, gdzie żyje się nie wiadomo z czego, wyjeżdża do wielkiego miasta jak dawniej „na saksy” i czasem nie wraca.

Na takiej prowincji, co pewien czas pojawia się przybysz w szerokoskrzydłym kapeluszu, w rogowych okularach, mówiący śpiewnie i gardłowo chociaż miejscową gwarą. Reemigrant.

Do dziś, po latach prawie czterdziestu, w podwarszawskiej wsi pokazuje się niezwykłe tu murowane zabudowania i mówi o nich „to Amerykan”. Od tamtego czasu znalazło się takich więcej: kanadyjskie wsie na Dolnym Śląsku, tamże francuskie miasteczka górnicze, tu i ówdzie Amerykanie rozsypani po Podhalu, Rzeszowszczyźnie, trochę emerytów, którzy ostatnie lata pracowitego życia chcieli spędzić wśród swoich w swoim kraju.

R o z d z i a ł IX

W R A C A J Ą . . .

Co roku w miesiącach letnich dworce, lotniska, hotele roją się różnokolorowym tłumem o wyglądzie egzotycznym na tle krajowym. Panie w wielobarwnych kapelusikach, w okularach na łańcuszku, panowie w nieeuropejskich garniturach, kapeluszach z kolorową wstążką, z aparatami — często samochodami z tabliczkami rejestracyjnymi wszystkich stanów USA. Mówią z amerykańską po polsku, lub odwrotnie, tracą pewność siebie w zetknięciu z niepojętymi trudnościami podróżowania po kraju, z którego wyjeżdżali dziećmi, pielgrzymują do Częstochowy, do rodzinnych wsi, gdzie na pamięć znają każdą, na ogół do dziś stojącą, chałupę. Czy trzeba mówić kto to jest? Każdy w kraju bezbłędnie ich rozpoznaje: to amerykańska Polonia, stara emigracja.

Co roku przyjeżdża ich kilkadziesiąt tysięcy. A oprócz nich, oprócz dawnych emigrantów francuskich, niemieckich — goście, którzy opuścili Polskę różnymi drogami Września lub Sierpnia. Ci są mniej widoczni, mniej rzucają się w oczy — ich polszczyzna jest bliższa obecnej, a wyobrażenia o życiu kraju dalekie od rzeczywistości — może nawet dalsze dystansem politycznym, mało znanym Polonii przedwojennej.

W pierwszych latach popaździernikowych powroty na stałe były częste. Wracali ludzie przeważnie starzy, z dorobkiem całego życia deponowanym w twardych walutach na zagranicznych kontach bankowych, zaopatrzeni czasem w renty bankowe, czasem nie. Wracali często zwabieni możliwościami stworzonymi w tamtych czasach dla prywatnej inicjatywy, w chęci założenia sklepiku czy pensjonatu w starym kraju. Ale zetknięcie z rzeczywistością przekreślało zamiary. Pewien Amerykanin urodzony w Polsce przed siedemdziesięciu laty a mieszkający w Stanach od lat sześć-

dziesięciu marzył o przeniesieniu swego sklepu instrumentów muzycznych do Warszawy czy Krakowa. Widział przecież na Nowym Świecie i na innych ulicach Warszawy i innych miast Polski sklepy i sklepiki, gdzie w oknie wystawowym straszyły kiepskie klarnety, dobre skrzypce i obdrapane gitary elektryczne („Zaden wynalazek — mówi Wiech — już moja babcia miała cytrę na karbid”) — i nie przyszło mu do głowy, że są to sklepy państwowe. Nawet po długim tłumaczeniu do końca właściwie nie zrozumiał, że sklepu nie ma prawa założyć i wyjechać z Polski w przeświadczeniu, że stary kraj go nie chce. Przypuszczam, że trudno jest zrozumieć ludziom przywykłym do życia na Zachodzie, jak może funkcjonować maleńki sklepik z warzywami albo guzikami, którego właścicielem jest ogromne przedsiębiorstwo państwowe, a nie jego pracujący w tym sklepie kierownik. No i jaki może przynosić dochód. Tu odpowiedź dla każdego tubylca jest prosta, ale niewiele wyjaśniająca przybyszowi: sklepik jest deficytowy. A po dalszy ciąg wyjaśnień muszę chyba ciekawych odesłać do teoretyków marksizmu. Bo w Polsce przez dwadzieścia lat nie można jakoś było nikomu wytłumaczyć dlaczego ma istnieć przedsiębiorstwo przynoszące deficyt.

To prawda, są pewne ulgi w traktowaniu inicjatywy prywatnej zwłaszcza jeśli nazywa się ona usługami dla ludności, ale przystosowanie się reemigranta do warunków krajowych wymagałoby chyba długich lat, — jeśli w ogóle byłoby możliwe. Jeśli jest się rzemieślnikiem, to trzeba nauczyć się jak się kupuje surowiec na lewo, jak się organizuje fikcyjne zakupy, jak się omija podatkowe domiary przy pomocy łapówek i td. To jest wiedza tak obszerna, że na jej temat musiałby powstać osobny tom i nie widzę właściwie powodu dlaczego żaden wydawca w Polsce nie zainteresuje się wydaniem Pamiętników Rzemieślników na wzór arcyciekawych Pamiętników Lekarzy i Pamiętników Nauczycieli. Przypuszczam, że jednak natrafiłaby taka publikacja na poważny sprzeciw cenzury.

Wykwalifikowani robotnicy, górnicy, mechanicy decydujący się na powrót do Polski mają szanse największe na niezłe urządzenie się w kraju. Po pierwsze mają zawód, który zawsze się w Polsce przyda, a po drugie wiem o wypadkach, kiedy na przykład górnicy z Belgii otrzymawszy emeryturę za przepracowane lata pod ziemią, a będąc całkowicie zdolnymi do pracy i w odpowiednim jeszcze wieku do przystosowania się — jechali do Polski na zupełnie dobre zarobki mając przy tym zaplecze w postaci zagranicznej, dewizowej renty miesięcznej. To jest zresztą gwarancja zawodna i niepewna, bo specyfika polska — tym razem rządowa — ma to do siebie, że nigdy nie wiadomo kiedy

i jak zostaną nagle zmienione obowiązujące przepisy. W zasadzie kont zagranicznych obywatelom polskim mieć nie wolno, a czy emerytura jest kontem zagranicznym, to to jest sprawa interpretacji. W końcu obrotny kauzyperda potrafi na dwie analogiczne sprawy uzyskać dwa odwrotne orzeczenia sądowe, opierając się przy tym cały czas na powszechnie obowiązujących i jak najbardziej aktualnych przepisach prawnych. Niemniej ktoś kto przyjechał do kraju na zasadzie posiadanego konta bankowego na Zachodzie, może się pewnego dnia znaleźć w sądzie, oskarżony o przestępstwo dewizowe, a zagraniczna renta bankowa, inwalidzka czy starcza, obciążona o dwie trzecie w wyniku przeniesienia wypłat z Banku PeKaO do Narodowego Banku Polskiego.

Wspomniany Bank PeKaO sprzedaje za dewizy mieszkania, domki jednorodzinne, po cenach właściwie bardzo niskich i przystępnych dla każdego, kto ma jakiś grosz odłożony — i to jest jedyny poważny plus powrotu. Przy pomocy posiadanych oszczędności można uniknąć największych i najbardziej przykrych trudności będących udziałem tubylców: mieszkaniowych.

Domek trzypokojowy dostaje się razem z łazienką w pełni wyposażoną, z piecem kuchennym, nawet z lodówką, na placu należącym do miasta. Przy znanych cenach benzyny i ropy, piece automatyczne olejowe są w Polsce niezbrane i coroczny zakup przydziałowego węgla czy koksu będzie przeżyciem niezapomnianym. Tak samo byłoby w wypadku, gdyby nowemu lokatorowi wydało się, że chciałby mieć łazienkę w tym kolorze a nie innym, obudowaną wannę kafelkami i td. Istnieją wprawdzie w Polsce firmy zajmujące się sprzedażą takich urządzeń, ale bierze się to, co jest i nie grymasi, bo należy być szczęśliwym, że żądany towar w ogóle jest. Przed kilku czy kilkunastu laty sytuacja była trudniejsza bo takiego towaru na rynku państwowym w ogóle nie było, a wanny, kafle, umywalnie kupowało się albo prywatnie, okazjnie, albo od robotników rozbierających stare domy.

Urządzanie się w nowym domu w Polsce może zająć nam parę lat, to jest tak długo, aż nauczymy się cieszyć z najsmieszniejszego drobiazgu, który udało się znaleźć. Sklepy 1001 Drobiazgów ułatwiły sytuację o tyle, że za korkiem do wanny nie jeździ się po całej Polsce, ale ileż jest innych przedmiotów potrzebnych w gospodarstwie domowym. Poza tym trzeba przygotować się na opłacanie instalatorów municypalnych i państwowych za pracę wykonaną jakby nie było w ramach ich obowiązków służbowych, będących przedmiotem umowy z pracodawcą. Tak na przykład przy zakładaniu telefonu zawsze okaże się, że są jakieś trudności nie do przewyciężenia w postaci za krótkiego kabla, czego nie przewidziano, albo ściany tak twardej, że nic

w nią nie wchodzi — ale ta kokieteria jest skierowana wyłącznie na kieszeń klienta i krótka manipulacja może nagle wydłużyć kabel i zmiękczyć ścianę.

Telefon już założony ma to do siebie, że się często psuje, a każdorazowe wezwanie nie poparte drobną opłatą dla technika, wywołać może zepsucie się telefonu na dłużej i utrudnić przyjazd brygady naprawczej. Wszyscy w zasadzie o tym wiedzą, ale trzeba znaleźć jakiś sposób, by swoje zdanie wypowiedzieć dyskretnie i mgliście, bo powiedzenie wprost: panie, pan mnie nie będzie łapówkami szantażował — może skończyć się sprawą sądową o obrazę urzędnika na służbie.

Jeśli już mowa o urzędnikach, to zarządy miejskie są instytucjami upartymi, i znam wypadek, kiedy w dwa lata po śmierci ukochanego psa przyszedł nakaz płacenia zań podatku. Wyjaśnienia, odwołania, nakazy, komornicy, znów odwołania trwały ponad rok, po czym znękany właściciel kupił wreszcie drugiego psa, zapłacił podatek za trzy lata wstecz, a urzędnik w dzielnicowej radzie narodowej powiedział: No, widzi pan, nie trzeba było od razu tak zrobić?

Konstytucja PRL poświęca sporo uwagi ochronie mieszkania obywatela, do którego wolno wejść osobom urzędowym właściwie tylko na podstawie sankcji prokuratury. Ale grasują po miastach inspektorzy departamentu finansowego Ministerstwa Łączności, którzy legitymują się kawałkiem papieru — wprawdzie zaopatrzoną w parę pieczętek — ale wystawioną przez to ministerstwo wbrew konstytucji. Czyli, że na dobrą sprawę właściciel mieszkania zagadnięty przez takiego inspektora na temat posiadania radia i telewizora, może odpowiedzieć twierdząco albo przecząco i zamknąć mu drzwi przed nosem, i właściwie nie ma siły, która mogłaby wprowadzić przedstawiciela ministerstwa do mieszkania, bo nawet pomoc milicjanta na nic konstytucyjnie się nie przyda. Wejście milicjanta do domu w towarzystwie takiego inspektora ma cechy rewizji domowej — a to może narazić ludową glinę na duże nieprzyjemności, jeżeli właściciel będzie bronił konstytucji.

Czynnością jak najbardziej godną polecenia jest regularne czytanie publikacji urzędowych, zawierających wszelkiego rodzaju nowe ustawy i zarządzenia, bo dokładne poinformowanie się o zachodzących zmianach nie tylko może uchronić od niepotrzebnych niespodzianek i nieprzyjemnych zaskoczeń, ale i przynieść spore korzyści. Socjalizm ma to do siebie, że wiele ustaw ma cele humanitarne, i ktoś kto umie się tymi ustawami posługiwać — może z tego ciągnąć niemałe korzyści. Inna rzecz, że stworzona innymi ustawami biurokracja skutecznie przeciwdziała wy-

konaniu ustaw korzystnych dla obywatela. Żeby dać przykład najbardziej jaskrawy: sprawa leczenia bezpłatnego, czy za niewielką odpłatnością jest na pewno wielką korzyścią dla ludności, ale załatwienie sobie leczenia szpitalnego, sanatoryjnego, klimatycznego, czy nawet po prostu zbadania specjalistycznego u kilku lekarzy, wymaga od pacjenta końskiego zdrowia, tak gęsto zostało to obwarowane przepisami, przepisami do przepisów, zarządzeniami wewnętrznymi. Ciągłe braki na każdym polu: mieszkaniowym, zdrowotnym, coraz częściej na rynku pracy, stwarzają konieczność sita przepisów mającego na celu eliminowanie i selekcję wśród ludzi chcących zaspokoić swe pragnienia czy wymagania — na takiej samej zasadzie, na jakiej sklep, w którym jest mało cukru, sprzedaje po nie więcej niż jeden kilogram na twarz, by w miarę możliwości dla każdego starczyło.

Reemigrant nie obstawiony krajową rodziną, dobrze obznajmioną z metodami postępowania, ma dwie drogi przed sobą: albo mieć pieniądze, albo marnie zginąć, bo jeśli nie będzie pracował, to nie będzie miał prawa do ubezpieczenia społecznego, a więc ani prawa do leczenia, ani do rent za niezdolność do pracy, a bezpłatnie leczony będzie tylko wtedy, jeśli sobie zafunduje którąś z chorób społecznych podlegających leczeniu przymusowemu: gruźlicę, chorobę weneryczną, albo umysłową. Właściciel prywatnego sklepu, pensjonatu, badylarz i tp. nie jest w świetle ludowych przepisów człowiekiem pracy i nie ma żadnych praw do „zdobyczy socjalizmu”, choć na osłodę ma dochody pozwalające mu właściwie bimbać państwowe lecznictwo, państwowe przydziały węgla i samochodów — bo jego stać na wszystko to samo, ale w lepszym gatunku, bo prywatnie. Obliczono kiedyś, że lekarz ubezpieczalni społecznej obciążony papierkową biurokracją, kartotekami, zaświadczeniami, może każdemu z pacjentów poświęcić nie więcej niż 30 sekund. I to nie jest pomysł wroga ludu. Jasne jest, że poświęcić musi znacznie więcej niż pół minuty, toteż trzy czwarte czekających na badanie pacjentów musi „poślizgiem” przejść na dni następne, nieraz dosyć odległe, co znów można by ekonomicznie obliczyć na tzw. roboczo-godziny utracone przez gospodarkę państwową w poczekalniach też państwowych lekarzy.

Warunki leczenia społecznego w Polsce się „usprawnia” — określenie, które budzi w ludziach dreszcz zgrozy, bo z doświadczenia wiadomo, że każde „usprawnianie” przynosi więcej komplikacji, niż rzeczywistej poprawy. Sprawa „lekarzy domowych” była i jest wałkowana już tyle razy i tylu ulegała przemianom, że dziś nikt nie wie właściwie jak to wygląda, jak się z tego korzysta, do czego ma się prawo i td. Lekarza wzywać można

do domu dopiero wtedy, kiedy ma się ileś tam stopni gorączki, w związku z czym chory ciężko ale bez objawów gorączkowych ma prawo spokojnie umrzeć. Ten nonsens ratują lekarze rzeczywiście przejmujący się swoją niezwykle nędznie płatną pracą. Ale to jest ich dobra wola.

Wszystkie usługi lekarskie zdobywane z najwyższym samozaparciem, kosztem czasu, nerwów, są przy tym jakościowo tak niskie, nie z winy lekarzy, lecz wyposażenia gabinetów i aptek dostarczanego przez państwo, że kto chce mieć przyzwoite zęby, lub dobrze wyleczone, kto chce mieć zdrowe dziecko, dobrze zbadane oczy, płuca czy serce — idzie do tych samych lekarzy, ale prywatnie, gdzie za odpowiednią i wcale nie niską opłatą zostanie potraktowany jak prawdziwy pacjent, a nie w ciągu 30 sekund, a i wtedy znajdują się zagraniczne specyfiki, okaże się, że prywatnie lekarz używa narzędzi prywatnie sprowadzonych również zza granicy, choć na takie luksusy państwo zdobywa się jedynie w odniesieniu do kliniki rządowej, do której dostęp mają tylko ministrowie, dyrektorzy departamentów, wysocy aparatczycy i laureaci nagród państwowych, czyli kategorie ludzi, do których reemigrant należeć raczej nie będzie. Tyle, i nawet znacznie więcej, kryje się za odpowiedzią „tak”, jaka musi paść na pytanie: czy w Polsce istnieje społeczna opieka lekarska. Rzadko chyba bywa, by słowo „tak” zawierało tyle elementów przeczenia.



Oglądając wycieczki zagraniczne przyjeżdżające do Polski, rzuca się w oczy, że są to ludzie w swej większości starzy. I tu nasuwa się każdemu krajowcowi niepokojące i smutne porównania. Los ludzi starych w Polsce jest chyba najcięższy i nikt poza ludźmi albo mającymi przedwojenne zasoby, zamożną rodzinę za granicą, albo wysoko i dobrze ustawioną politycznie rodzinę w kraju, nie będzie sobie mógł, będąc w wieku emerytalnym, pozwolić na żadne wojaże. Ktoś kto na swoją rentę zapracował, albo własną pracą, albo męża, albo udziałem w wojnie, wiekiem, chorobą nieuleczalną, będzie miał trudności z utrzymaniem się przy życiu, skoro otrzymywane pieniądze nie starczą nawet na codzienny obiad. Są przecież — i to nie rzadkie — bezwstydne renty w wysokości 400 złotych na miesiąc, co oznacza, że po zapłaceniu mieszkania, światła, gazu, nawet na kartofle i chleb może nie starczyć. Trzeba przy tym dodać, że renta taka przychodzi po latach pracy za pół darmo, co nie pozwalało na poczynienie nieraz nawet najdrobniejszych oszczędności, na kupienie odzieży w ilości wystarczającej na lata najchudsze i najbardziej

samotne. A jeśli nie samotne, jeśli stary człowiek ma dzieci, wnuki — staje się dla nich pomocą, niezbędnym piastunem by umożliwić im pójście do pracy dla utrzymania domu na jakim takim poziomie. To wcale nie łatwiejsze życie być niańką, służącą do wszystkiego za kąt w domu, za pożywienie i rzadko dobre słowo. Ale instytucja babć jest koniecznością i młoda matka może uważać się za szczęśliwą, jeżeli ma matkę czy teściową w domu, której może powierzyć opiekę nad swymi dziećmi. Państwo jest świadome roli, jaką odgrywają ludzie starzy w domach młodych rodziców, i obecność babki albo dziadka powoduje odrzucenie podania o miejsce w żłobku lub przedszkolu, bo przecież są inne dzieci pozbawione nawet najelementarniejszej opieki, pozostawiane albo pod kluczem w domu na czas pracy rodziców, albo wyganiane na ulicę czy podwórko.

Istnieją wprawdzie domy starców, domy rencistów, gdzie człowiek samotny, albo nie zgadzający się ze swą rodziną, może teoretycznie zamieszkać przekazując swą emeryturę na koszty swego utrzymania. Ale tylko teoretycznie, bo domów takich jest o wiele za mało, znacznie mniej niż także stale zbyt mało licznych żłobków i przedszkoli dla najmłodszych. Niektóre instytucje — te zamożniejsze, albo ożywione bardziej ludzkimi uczuciami — organizują, budują, utrzymują domy emeryta dla swych byłych pracowników, interesują się nimi, pamiętają o wczasach, o świętach Bożego Narodzenia czy Wielkanocy. Ale takich instytucji jest przerażająco mało. Starzy ludzie są niepotrzebni i kto wie czy nie byłoby dla nich lepszym losem pozbywanie się ich fizyczne, jak to było u niektórych ludów prymitywnych.

Państwo interesuje się losem emerytów, toteż co kwartał sprawdza czy jeszcze żyją, każąc im przychodzić do odpowiednich państwowych instytucji zajmujących się przyznawaniem rent i udowodniać za każdym razem na nowo, że nie wygasły podstawy do dalszego wypłacania nędznej jałmużny.

Wiek starczy, niedołężność, to to, czego ludzie w Polsce boją się najbardziej, wiedząc jaki ich los czeka, a jednak mimo wszystko trwają na posadach nawet najgorzej płatnych — jeżeli nie ma lepszych — ale przynoszących w perspektywie nędzarską po trzydziestu latach pracy emeryturę. Nie zobaczy się starych ludzi z Polski na Orbisowskich wycieczkach zagranicznych (trzy tygodnie w Jugosławii równają się dwuletniej emeryturze!), a na wakacjach chyba tylko wtedy gdy towarzyszą swym wnukom. Zdarzają się, o czym prasa donosi niechętnie, najsmutniejsze, najbardziej przynębiające samobójstwa starych ludzi chcących przyspieszyć śmierć, nie czekając na powolną — z głodu. Żebracy, których można tu i ówdzie zobaczyć na ulicach polskich miast,

nie są ludźmi najbiedniejszymi, bo oni umieją wyciągnąć rękę po datek, czego nie ośmieliliby się zrobić emeryci.

Wieś, życie na wsi jest oczywiście nieporównanie tańsze, niż życie w mieście, toteż obserwuje się exodus ludzi starych do małych miasteczek, do wsi, zaludniających się i bez tego coraz bardziej ludźmi starymi, podczas gdy młodzi migrują za pracą do miast. Na wsi można pomocą w gospodarstwie, u księdza, zarobić jakieś liche grosze, które umkną uwagi państwa i nie spowodują cofnięcia emerytury jak się to dzieje przy podjęciu jakiegokolwiek pracy w mieście, nawet na półetacie, opłacanej nędzarskim pół tysiącem i jedną złotówką.

Reemigrant chcący się osiedlić w kraju, a mający rentę wysokości stu czy nawet pięćdziesięciu dolarów na miesiąc będzie żył doskonale, a w porównaniu z krajowymi rencistami, po królewsku. Ale łaska pańska na pstrym koniu jeździ i uprzedzam jeszcze raz i ostrzegać nie przestanę, że przepisy co do wypłat rent zagranicznych mogą ulec i ulegają nieustannym zmianom. I nigdy na korzyść obywatela.

Polak wracający do kraju na stare lata, a przyzwyczajony do spędzania wakacji w mniej lub bardziej atrakcyjnych miejscowościach wypoczynkowych, musi o tym raczej zapomnieć. Stosować się będą do niego przepisy o podróżowaniu za granicę, obowiązujące obywateli miejscowych, i przez lat dwadzieścia także do nich nie przywykłych. Każdy wyjazd zagraniczny, nie tylko na Zachód ale i do niektórych krajów socjalistycznych, uwarunkowany jest otrzymaniem zaproszenia, gwarantującego utrzymanie i pełną odpowiedzialność finansową na czas pobytu, oraz opłaceniem kosztów podróży w dewizach, gdyż inaczej paszport będzie w kraju kosztował dziesięciokrotnie więcej. Widać z tego, że władzom państwowym nie zależy wcale na wyobrażeniach, jakich nabiera o socjalistycznych rządach przeciętny mieszkaniec „kapitalistycznego” Zachodu. Reemigrant zostający obywatelem polskim i podlegający polskim prawom, przepisom i ustawom nie będzie mógł mieć konta bankowego za granicą dla opłacenia z za granicy swych podróży, i wtedy odczuje na własnej skórze upokorzenie tubylca, proszącego się osób, sobie czasem nie najbliższych, o wsparcie w formie zaproszenia, utrzymania i przejazdu na cudzy koszt. Jeśli k a ż d y Polak jadący za granicę zabiera ze sobą wódkę, spirytus, kawior, aparaty fotograficzne, grzyby, pierze — to za takie przestępstwo karani być powinni nie ludzie szmuglujący przez granicę swą nędzę, ale autorzy zarządzeń: za spotwarzenie Polski, za przynoszenie szkody obrazowi Polaka w oczach wszystkich ludzi, których ich rząd nie skazuje na takie poniżenie.

Polak-reemigrant nie znajdzie nawet rekompensaty w odwiedzaniu Czechosłowacji, Bułgarii, Węgier, Rumunii, ZSSR czy NRD (Albania jest zupełnie niedostępna), bo i tam nie jeździ się bez utrudnień w postaci wyrobienia sobie każdorazowo wkładki paszportowej, co kosztuje czas i pieniądze, i pozwala obejrzeć inną wersję tego samego chaosu. W krajach demokracji ludowej ogląda się chętnie muzea, wystawy, zabytki, podczas gdy na Zachodzie Magazyn Louvre cieszy się większym powodzeniem, niż przypadkiem noszące podobną nazwę muzeum. I to przecież nie jest wina obywateli, że nie mogą w swoim własnym kraju, za swoje własne pieniądze, kupić przedmiotów codziennego użytku, a choćby nawet odzieży i oddawać się pasjonującemu zajęciu zasługując na niezawsze zaszczytną nazwę handlowego-Polaka. Tego też, prędzej czy później, nauczy się były Amerykanin, Brazylijczyk, Francuz czy Anglik. Chyba że przywiąże się do produkcji krajowej, nabywanej w rodzimym handlu, poganiany różnymi okrzykami sprzedawcy, któremu śpieszno do wykonania planu, lub nie obsługiwany wcale, gdy plan już został przedterminowo wykonany.

Dystrybucja czyli handel miejski, spółdzielczy i wątki prywatny — to rzeczywistość najbardziej narzucająca się i najbardziej waząca na rozkładzie dnia przeciętnego Polaka. Statystycy obliczyli ile godzin przeciętny krajowiec śpi, ile godzin odżywia się, goli, ubiera, ale nie obliczyli jakoś ile czasu zabierają zakupy. Sprawa, której przybywający na krótko w odwiedzinach turysta raczej nie dostrzeże, narzuci się z całą siłą każdemu, kto spróbuje w kraju pomieszkać z wszelkimi z tego faktu płynącymi konsekwencjami.

Kobiety pracujące opuszczają biura w godzinach pracy, przed południem, to jest wtedy, kiedy przeważnie towar dostarczany jest do sklepów, bo po południu, w drodze powrotnej do domu, zastałyby puste półki i haki. Kupują wędliny i sery w bufetach swych instytucji, jeżeli o ich istnieniu ktoś zadbał. Coraz częściej kupują lodówki, które w Polsce spełniają rolę nie tylko bezpośrednio chłodniczą, ale i magazynu zapasów na dni chude w państwowych sklepach. Mając lodówkę można kupić każdy towar na tej zasadzie, że „jest”, bo za chwilę może go już nie być. Tym tłumaczy się przede wszystkim run na lodówki, a ich litraż wzrasta razem ze wzrostem braków na rynku i nieregularnością dostaw.

W pierwszych latach powojennych sklepy spożywcze były zawałone najróżniejszym towarem i nikomu nie śniło się, że nagle może nie być rzeczy tak normalnej jak parówki czy szynka. Ale razem ze zwycięskim marszem ideologii sklepy traciły swych indywidualnych właścicieli na rzecz olbrzymich przedsiębiorstw

Miejskiego Handlu Detalicznego. Po zjednoczeniu partii nawet spółdzielnie zaczęły się powoli stawać zacofaną formą gospodarki i czymś obrzydliwie reakcyjnym, a na placu pozostawały coraz częściej same „emhadziaki” nie mające już żadnej konkurencji. Zaczęły się w handlu detalicznym dziać rzeczy nieznane dotąd z doświadczenia, lecz tylko może z Zoszczenki oraz Ilfa i Pietrowa. Książki tych autorów, niewznawiane w okresie stalinowskim, cieszyły się sporą poczytnością, ponieważ sprawy w nich opisywane stały się nagle dziwnie bliskie obywatelom kraju, za których plecami zdecydowano budowę socjalizmu. Na czymkolwiek państwo położyło rękę, to niknęło z rynku, stawało się niedostępne lub drogocenne. Tak się stało na przykład z mlekiem, które przestało pojawiać się w sklepach a jedynymi dostawcami były tak zwane popularnie „bezetemy” czyli baby z mlekiem z podmiejskich wsi, noszące je w bańkach po kilka lub kilkanaście kilometrów, ścigane przez milicję jako przestępczynie gospodarcze.

Niezlikwidowanym jeszcze prywatnym właścicielom jakoś nigdy nie brakowało najrzadszych na upaństwowionym rynku towarów: było mleko, były sery, były wędliny, jajka, drób, mięso. We wczesnych latach pięćdziesiątych braki mięsa stały się tak wielkie, że nawet restauracje, zaopatrywane z osobnych hurtowni, znacznie zasobniejszych niż te obsyłające sklepy — już w godzinach popołudniowych nie miały dań mięsnych. Sytuację miała ratować wtedy Akcja H (hodowla) i drakońskie kary na nielegalny ubój, bez zezwolenia władz. Powoli zwiększało się pogłowie świń, a zmniejszało pogłowie hodowców odsiadujących na Gęsiówce i w innych zakładach zamkniętych morderstwa popełniane na kolczykowanych egzemplarzach, o których mówiono, że ów państwowy kawałek metalu w uchu przeszkadza w rozwoju zwierzęcia. (Tajemnica jest prosta: kolczyki przekładano z uszu dorodniejszych sztuk na uszy mniejszych, opóźniając w ten sposób moment ich odstawy dla państwa).

Te sprawy to już dziś historia, ale historia w czasie, a nie w poprawie zaopatrzenia. Późniejsze czasy — popaździernikowe reprivatyzacje, konieczności eksportowe — przywróciły jakieś takie normy stosowania rozsądku, ale jeszcze nie napełniły sklepów w sposób zadowalający.

Braki w sklepach będą niewątpliwie irytować nowoprzybyłych przez jakiś czas, ale należy przyjąć, że już gdzieś po roku zasymilują się na tyle, by cieszyć się niezafałszowaną radością dzieci niespodziewanym nabyciem szynki, albo jakiejś wykwintnej kiełbasy w zupełnie niepodejrzewanym o to emhadziaku.

Na pytanie dlaczego przy przedwojennej, pięciokrotnie krótszej linii brzegowej Bałtyku, jednak jakoś zawsze bywały ryby,

a dziś nie zawsze, odpowiedź jest podobno prosta: bo ryby się rozlaży na całą długość wybrzeża. Bywają w Polsce sklepy specjalistyczne rybne, w których poza setką puszek ze szprotami czy byczkami i ekspedientką, rzadko co innego bywa. A jeśli bywa, to raczej halibuty i dziesiątka nikomu bliżej nieznanym ryb z wybrzeży Afryki Zachodniej, niż rodzime dorsze i śledzie. Kiedyś przed wojną bywały śledzie-katoliki, uliki, matjasy i inne, jak nas może o tym pouczyć choćby lektura Wiecha, opisującego z zamiłowaniem stosunki towarzyskie w Hali Mirowskiej i za Żelazną Bramą. Dziś żąda się śledzia — sprawy jak widać znacznie się uprościły — a jedyne urozmaicenie wprowadzają fabryki konserw, które nadając swym produktom egzotyczne nazwy mogą w ten sposób podnieść razem z ceną wykonanie planu finansowego, oczywiście kosztem klienta.

Gospodyni domowa w Polsce nie może planować menu domowych posiłków — choć nie brak publikacji periodycznych, doradzających i sugerujących apetyczne innowacje — bo gotuje swym domownikom to, co było w sklepie do nabycia.

Co jakiś czas na rynku pojawiają się artykuły spożywcze odrzucone przez zagranicznego importera, naprawdę doskonałe, i drogie, bo skoro nie poszły za dewizy, to chociaż niech przyniosą zwiększony dochód w krajowej walucie. Wtedy krajowy nabywca dowiaduje się, że Polska produkuje konserwowane bażanty, indyki, gęsi, kurczęta, gotowe pieczenie cielęce, wołowe, rzeczy niewidywane w normalnych warunkach. Kiedy na wiosnę tego roku postanowiono bodajże w Łodzi przeprowadzić publiczną degustację nieznanym w Polsce i niejadanych żabich udek, chyba sam minister handlu zagranicznego musiał dać zezwolenie na użycie cennego dewizowego eksportowego surowca. I może mi ktoś, znający się na odpowiednich przepisach, wyjaśni czy mój znajomy smakosz nie popełnia przestępstwa dewizowego łapiąc beapańskie winniczki i przyrządzając je na rodzinny stół?

Sprawy towarów importowanych załatwia się czasem dosyć śmiesznie, jak to na przykład było kiedyś z tytoniem zagranicznym. Komisom odebrano prawo skupu tytoni, ponieważ został stworzony specjalny sklep tytoniowy na Kruczej, ale zapomniano przy okazji o drobiazgu: nie dano mu uprawnień do prowadzenia skupu. Skutek był tylko jeden: podniesienie cen tytoniu przez prywatnych sprzedawców, którzy nigdy przesadnie nie przejmowali się zarządzeniami, o których było z góry wiadomo, że są tak nieżyłowe i głupie, że w końcu nawet ktoś w odpowiednim departamencie Ministerstwa Handlu Wewnętrznego to zauważy.

Shopping na szczeblu wyższym, zakup obuwia, odzieży, do-

starczy jeszcze więcej emocji, i może nawet sprzyjać podrójom do innych miast.

Jadący do Polski reemigrant powinien zaopatrzyć się w ubranie i obuwiu do końca nawet najdłuższego życia, ponieważ konfekcja w kraju jest gatunkowo kiepska, brzydka, i droga, a na kupowanie w komisach czy szycie na zamówienie u krawców nie każdy może sobie pozwolić. Robienie garniturów na miarę nie jest, jak z tego widać, wynikiem snobizmu, lecz zwykłą potrzebą obywatela, który chce wyglądać jak człowiek a nie jak karykatura. W okresie późno-stalinowskim, kiedy szerokie spodnie przestały być wyrazem postawy ideologicznej, sklepy państwowe nadal dysponowały raczej jednolitym asortymentem półmistrzowskich nogawek i jesionek prawie do kostek — dziś uległo to niejakej poprawie, nie dlatego żeby państwowy przemysł odzieżowy szedł razem z modą, ale dlatego, że powstały dziesiątki spółdzielni szyjących na miarę po jako tako dostępnych cenach. O ile to jest „jako tako” to najlepiej widać na ulicach miast polskich po wymiętoszonym wyglądzie przeważającej części obywateli, dla których kwestia ubrania pozostaje nadal problemem finansowo nie do rozwiązania.

W sytuacji kraju, w którym oszczędności na jedzeniu nie pozwalają na zwiększenie wydatków na odzież z powodu niewspółmierności cen — tak musi być. Jeżeli to jest niejasne, to może dam przykład symboliczny: kilo szynki kosztuje 90 złotych, a skarpetki *stretch-nylon* — 100-150.

I jeszcze jedno. Chciałbym uprzedzić nowoprzybyłych, by nie liczyli na kupno okazyjne, na wyprzedających posezonowych. To są wyprzedaje tylko z nazwy, bo towary na nich to są tzw. buble, których nikt i nigdy inaczej nie chciał kupić — i nieraz produkcji A.D. 1948. Bo tyle czasu trzeba było handlowi wewnętrznemu dla przekonania się, że tego towaru nikt nie chce.



Tłumy urzędników zaludniających biura stołeczne muszą wykazać swą niezbędność, toteż coraz to nowe zarządzenia ścigają się i zmieniają jak w kalejdoskopie. Za zarządzeniami nie nadążają nawet drukarnie ministerialne, a co za tym idzie i urzędnicy polskich konsulatów za granicą. Przepisy o tym co repatriant może przywieźć do kraju bez cła, w jakiej ilości, o jakim ciężarze, zawarte są w kilku zarządzeniach i kilku dodatkach do zarządzeń, i dziś chyba nawet celnicy nie są tak bardzo pewni czy ich czynności są zgodne z prawem i z jakim.

Te sprawy łączą się dość ściśle z zagadnieniem natury ogół-

niejszej: sprawa bezpieczeństwa osobistego w ustroju, który ma, jakby nie było, dość ponurą opinię, uzasadnioną przeszłością pełną bezprawia. Jeżeli reemigrant zza oceanu wypłynął z bagażem o zawartości zgodnej z przepisami ważnymi w momencie wyjazdu, to może na miejscu, w Gdyni, zastać już przepisy zupełnie nowe. I stać się na przykład przestępcą dewizowym, albo zapłacić cło przekraczające nie tylko jego wyobrażenia, ale i możliwości.

Zmiany popaździernikowe, likwidacja Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, przesunięcia kompetencyjne spraw ochrony, obrony wewnętrznej, służby porządku i bezpieczeństwa wprowadziły na lat kilka chaos, z którego jednak obecne Ministerstwo Spraw Wewnętrznych wygrzebało się dosyć szybko. Niemniej działalność służby bezpieczeństwa nie jest dziś tak widoczna i oczywista jak to było kiedyś, w minionym okresie.

Na codzień reemigrant — po odpowiednich konfessatach z okazji swego powrotu — stykać się będzie raczej tylko z milicją drogową, jeśli ma samochód, albo jeśli nie będzie się stosował do przepisów ruchu dla pieszych, — może z departamentem do spraw przestępstw dewizowych, jeżeli narazi się niebacznie przekroczeniem jakichś nieznanych przepisów. (Ostatecznie panią Husiatyńską skazano na długie lata mamra na podstawie artykułu w kodeksie karnym, specjalnie stworzonego dla jej konkretnej sprawy — czyli, że w pewnych wypadkach ustawa potrafi działać wstecz: rzecz nieznaną chyba w żadnym innym prawodawstwie poza socjalistycznym).

Żeby długie wyjaśnienia skrócić do minimum, ostrzegam, że w każdym sporze z przedstawicielem władzy ludowej, rację będzie miała zawsze władza, a nie obywatel. Można się wprawdzie poskarżyć przełożonemu milicjanta, ale to może narazić szarego obywatela na łażenie po komendach głównych, wojewódzkich, gdzie będzie traktowany podejrzliwie i z niechęcią. Był kiedyś w warszawskiej *Syrenie* skecz, w którym tak zwany uczciwy znalazca odnosi do biura rzeczy znalezionych zegarek, do tego złoty. I ów znalazca staje się podejrzany — bo jaki idiota dobrowolnie odniósłby przedmiot wart kilkanaście tysięcy złotych, bez jakichś ubocznych a tylko sobie wiadomych celów?

Pewien znajomy plastik, któremu jakaś prowincjonalna wystawa nie dopłaciła kilkunastu tysięcy złotych, o co się z nią procesował, otrzymał wezwanie do sądu w tej sprawie. Przypadek chciał, że plastik malował jakiś kościół gdzieś na odległej prowincji i kiedy wrócił do domu zastał tam milicjanta, który miał zadanie dostarczenia go do owego sądu, odległego od miejsca zamieszkania plastyka o 400 kilometrów. I chociaż ów plastik był

w sprawie powodem, to na wezwaniu sądowym nie było o tym ani słowa, a milicjant, chcąc jak najlepiej wykonać zadanie zakuł powoda w kajdanki i nocnym pociągiem dostarczył do sądu. Sąd się trochę zdziwił, ale milicjanta nie zganił, bo to przecież kompetencyjnie sprawa komendy wojewódzkiej, i tylko uradował się szczerze, że można będzie zakończyć sprawę. Na osłodę całej afery plastik wyjechał zamożniejszy o wygrane w procesie, a należące mu się bezspornie fundusze. Ale z zażalenia na milicjanta zrezygnował. Ten przypadek powinien podzielać instruktazowo na każdego.

Rzecz, do której także nowoprzybyły musi się jak najprędzej w kraju przyzwyczaić, to noszenie przy sobie zawsze i w każdych okolicznościach dowodu osobistego, bo wylegitymowanym można być przy najbłahszej nawet okazji, jak np. jazda na stopniach zatłoczonego tramwaju, przejście przez jezdnię w niewłaściwym miejscu czy czasie i td. Brak dowodu osobistego w takim wypadku stanie się okolicznością obciążającą, a chodzenie po kopenhawach dzielnicowych i innych może przeciągnąć się w nieskończoność. Poza tym dowód osobisty potrzebny będzie w każdym urzędzie choćby nawet pocztowym. Każdy rasowy tubylec nosi przy sobie tyle dowodów i legitymacji, związkowych, Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, członkowskie stowarzyszeń, klubów, że mógłby chyba nimi w karty grać. A to wszystko razem jeszcze nie wystarcza przy składaniu podania właściwie o cokolwiek, bo wtedy zażąda się metryki urodzenia, metryki ślubu, może metryki urodzenia dzieci, poświadczenia zameldowania, w sezonie — zaświadczenia szczepienia tyfusu, zaświadczenia z miejsca pracy — a inne już według indywidualnej wyobraźni urzędu. Warto może przy tym dodać, że wszystkie te dane znajdują się na rozmaitych stronach dowodu osobistego, gdzie inne urzędy wpisują pracowicie adres, miejsce pracy, a inne dane personalne zostały przecież tam umieszczone na podstawie odpowiednich dokumentów. W tym miejscu należy z całą powagą doradzić zaopatrzenie się natychmiast po przyjeździe w większą ilość odpisów wszelkiego rodzaju świadectw, metryk, dyplomów, bo w ten sposób zyskuje się na czasie i nie trzeba nic wyrabiać sobie wtedy, gdy zajdzie tego potrzeba. — Panie dyrektorze, to są akta sprzed piętnastu lat, dawno nieaktualne, może warto by się ich pozbyć i po prostu spalić — głosił dowcip. — A naturalnie — odpowiedział postępowy antybiurokratyczny dyrektor — ale niech pan zrobi po dwa odpisy z każdego.

Jeżeli wracający do Polski będzie w wieku nadającym się jeszcze do służby wojskowej dojdą kłopoty dodatkowe — z Rejonową Komendą Uzupełnień, gdzie też trzeba się zgłosić, dostać

książeczkę wojskową odpowiedniej kategorii do stanu zdrowia i specjalności zawodowej — i nauczyć się unikać obowiązkowych dla oficerów ćwiczeń trzymiesięcznych albo półrocznych, tak jak to robi większość przytomnych krajowców i nawet nie bez powodzenia.

Dla człowieka, który nie będzie czytywał prasy polonijnej, tej niewydawanej za pieniądze ludowe, nie będzie opowiadał ubowcom kawałów o Moczarze, będzie za to chodził przepisowo po jezdni, płacił mandaty bez mrugnięcia okiem i bez uwag w rodzaju „demokracja, psiakrew” — największe zagrożenie osobiste stanowić będzie zawsze biurokracja, kwaterunki i jeszcze raz biurokracja.

Z tego zagrożenia zdaje sobie przecież doskonale sprawę nawet rząd i partia tworząc cały system możliwości składania skarg. Zaczyna się to od dołu, bo każdy najmniejszy dyrektor ma raz w tygodniu wyznaczone godziny przyjmowania petentów mających żal do jego przedsiębiorstwa czy departamentu. Wyżej, jest tak samo z ministrami, po czym następuje biuro skarg i zażaleń przy Prezydium Rady Ministrów, przy Radzie Państwa. A równolegle, podobne komórki istnieją w komitetach partyjnych aż do Komitetu Centralnego włącznie, — prośenie o interwencję swego posła, którego jakby nie było wybierało się, w Komitecie Frontu Jedności Narodu, wreszcie poprzez gazety, radio, związki zawodowe. Jeżeli istnieje tak rozbudowana szeroko i wysoko obywatelska ściana płaczu, to chyba jest po co. I rzeczywiście. Redakcje zavalane są dziennie tysiącami listów z prośbą o obronę przed takim czy innym kacykiem na ogół prowincjonalnym, który winien jest często zbyt dosłownego wykonywania zarządzeń swych przełożonych, a czasem pokazuje swą władzę i co to on może.

Pęd do władzy i ważność na zajmowanym stanowisku poszła w masy ludowe i sięgnęła aż po konduktorki w miejskiej komunikacji, chętnie odgrywające się (za co?) na współobywatelach. Czasem wydaje się, że ponure warunki ekonomiczne stworzyły w kraju konieczność wyżywiania się we władzy, w złośliwościach, w dokuczaniu swym bliźnim. Kierowca miejskiej polewaczki chętnie oblewa ludzi na jezdniach i chodnikach, drobny urzędnik w radzie narodowej wymyśla dziesiątki trudności, żeby tylko nie ułatwić życia interesantom, kierowca autobusu rusza z przystanku nie czekając na sygnał, choć może to stać się przecież przyczyną nawet groźnego w skutkach wypadku, kontroler żąda okazania dowodu osobistego od posiadacza biletu miesięcznego, choć wcale to nie jest potrzebne, kierownik sklepu sprzedaje z łaski mięso czy wędliny. W systemie, gdzie wszyscy ludzie są pośrednio czy

bezpośrednio urzędnikami państwowymi, obywatel załatwiający jakikolwiek zakup, interes, korzystający z przejazdu, staje się petentem błagającym o załatwienie jego prośby, o sprzedanie mu biletu do Pcimia, dziesięciu deka szynki, paczki papierosów, znaczka pocztowego. Do sklepu wchodzi się zawsze z jakby nieczystym sumieniem, że będzie się przez ileś tam — jak najmniej oczywiście — minut zawracać głowę państwowej czy miejskiej urzędnicze od męskich gaci. Nabywca towaru jest oczywiście w godzinach urzędowych referentem na przykład od rejestracji szczepienia psów — i na tym stanowisku ma naturalnie okazję pokazać swą ważność swoim interesantom: innym urzędnikom, konduktorom, robotnikom, profesorom.

Ta ważność, ogólny tumiwizizm, są chyba realiami najbardziej zatruwającymi życie. I ciekawe, że jednak sporo ludzi dokładnie sobie zdaje sprawę z ich przyczyn, choć nie zostały one nigdy nazwane po imieniu. Jeżeli przeprowadzimy porównanie analogicznych zjawisk w innych krajach demokracji ludowej — wniosek narzuci się sam. To też jest rezultat immanentnego zła socjalizmu, wynik ustroju — nowe socjalistyczne stosunki międzyludzkie.

Od tych stosunków, bez względu co się robi, czy też nic nie robi, nie ma właściwie ucieczki. Jeżeli ktoś ma pieniądze dosyć, by mieszkać tam gdzie chce i żyć z bankowych zasobów, także na każdym kroku będzie miał do czynienia z urzędami czy to w formie miejscowej rady narodowej, czy kasy PKP.

Jest rzeczą typową dla nie tylko Polski dzisiejszej, ale dla wszystkich demokracji ludowych, że ta masa urzędnicza i gąszcz przepisów nie mają praktycznie żadnego wpływu na dobre funkcjonowanie już nie tylko urzędów, ale nawet gazu, elektryczności, wodociągów, nie tylko w hotelach ale i w domach prywatnych. Jeżeli w Związku Radzieckim sprawy te wyglądają fatalnie jeszcze po pięćdziesięciu latach władzy komunistycznej, to fakt, że w Polsce trochę lepiej się dzieje, należy uznać za zdolność przetrwania jakichś dawniejszych przyzwyczajęń, nie zupełnie jeszcze wykorzenionych przez system.

Obywatel *in spe* musi do tego wszystkiego przywyknąć. Innej rady nie ma. Jeżeli woda nie dochodzi do czwartego piętra w wielkim bloku mieszkalnym, to nie ma sensu awanturowanie się w administracji, bo winę za ten stan rzeczy ponoszą miejskie stacje pomp albo filtry, a na pewno rada narodowa, której urzędnicy czegoś tam nie przewidzieli. Na przykład wzrostu zużycia wody w wyniku wzrostu miasta i wysokości zabudowy.

Jeżeli pewnego dnia zabraknie nagle w całym kraju taśmy

magnetofonowej, to nie będzie winien handel, a przyczyny będą znacznie głębsze. Jakiś zakład przemysłowy podejmie się produkcji taśmy do coraz popularniejszych w kraju magnetofonów, w związku z czym skreśli się tę pozycję z listy importu, i równocześnie ktoś inny zainteresowany eksportem uzna, że taśma może być przynoszącym dewizy materiałem eksportowym. Teraz fabryka, której to się też opłaci, zacznie produkować wyłącznie na wywóz, a w kraju taśma zniknie ze sklepów i ludzie posiadający magnetofony będą taśmę kupować albo w komisach, albo zdobywać nie całkiem legalnie poprzez znajomych z radia.

Trudno opisać wszystkie problemy i trudności, bo właściwie każdy najmniejszy szczegół i fragment dnia codziennego urasta do rangi zagadnienia, nieraz nie do rozwiązania. Sprawa taśmy magnetofonowej jest przykładem niejako z marginesu, bo jednak z dziedziny luksusów. Bardziej typowe będą trudności z naprawą czegokolwiek: pralki, lodówki, radia, z uzyskaniem dokładnej i rzetelnej informacji. Może się zdarzyć, że informator krajoznawczy zapewni o istnieniu schroniska w tej czy innej miejscowości, a turysta dochodząc tam wieczorem przekona się naocznie, że schronisko rzeczywiście jest, ale w remoncie. Może się zdarzyć, że w Orbisie podając nam godzinę odjazdu, pomylą się w dworcach; że samolot będzie opóźniony o godzinę czy dwie i nikt nie tylko o tym słowa nie powie, ale nie przeprosi, bo nawet nie będzie o tym wiedział. Polacy żyjący od lat w podobnych warunkach są w jakimś stopniu immunizowani na takie przypadki i nauczyli się czytać gazety, informować się w kilku miejscach (informacje mogą być sprzeczne), czekać z rezygnacją i jeszcze się śmiać. Nie wiem natomiast ile lat upłynie zanim nauczy się śmiać reemigrant. Jeżeli nauczy się patrzeć na stan rzeczy jak na stan normalny, to każde korzystne odchylenie od tej normy, będzie miłym zaskoczeniem, niespodzianką, a dla niektórych nawet dowodem, że w końcu socjalizm funkcjonuje.

Ciągłe braki, trudności, bieganie po całym mieście, a czasem i po innych miastach, za takim czy innym towarem, musiały wytworzyć nastroje dość konsumpcyjne, a samochód, lodówka, telewizor, pralka, obok wartości użytkowej, stały się symbolami statusu w stopniu zapewne większym, niż gdziekolwiek na świecie.

Słyszy się za granicą wiele o polskim chuligaństwie, ale nie zawsze chyba jest ono tym, co nazywamy potocznie stosunkiem antyspołecznym. Coraz bardziej słowo chuligan staje się eufemizmem na określenie zwykłego bandyty. O ile chuligaństwo powoli jednak maleje, to bandytyzm wzrasta. Nie ma dnia, by prasa nie doniosła o co najmniej jednym napadzie rabunkowym czy ban-

dyckim i chociaż odbywają się one przede wszystkim albo na kasjerki niosące dzienny utarg ze sklepu do banku, albo wypłaty pracownicze z banku do instytucji, na pocztowców, na sklepy — to i osoby jak najbardziej prywatne nie są z takiego zagrożenia wyłączone. Są miejscowości, głównie w pobliżu wielkich miast, tak notorycznie znane z napadów, że ludzie wyprowadzają się stamtąd w miarę możliwości i dziwić się tylko trzeba dlaczego władze, tak czujne w wypadku ścigania pisarzy czy anegdotyków, nie potrafią sobie z tą plagą dać rady. Przed wielu laty w jednej z dzielnic Warszawy złożono doniesienie do komendy dzielnicowej o miejscu ukrywania się poszukiwanego od paru miesięcy mordercy. I nie milicja przysłała po mordercę, lecz morderca do osoby, która milicji o tym doniosła. Chyba trudno o ładniejszy przykład funkcjonowania pewnych powiązań. Napady na ludzi wracających wieczorem z pracy odbywają się bez wyboru i widocznie bez nadziei większych zdobyczy, skoro moją znajomą, osobę raczej ubogą, napadnięto zabierając pięć złotych, plastikową torebkę i bardzo stary zegarek, oraz łamiąc jej kilka zeber i nos. Takie napady i takie stosunki trafiają się zresztą wszędzie na świecie, ale tu dzieje się to w określonych warunkach określonego ustroju, którego celem było stworzenie nowego człowieka, socjalistycznego. Chyba się to nie udało.

Innym produktem trudnych i po dwudziestu latach nieustabilizowanych warunków życia, są wszelkiego typu hochsztaplerzy, oszuści, cwaniacy, których ofiarą najłatwiej padnie nowoprzybyły, a nie zahartowany tubylec. Metody najpopularniejsze to odpłatne ofiarowywanie „chodów” w kwaterunku, w przydziale samochodów z Prezydium Rady Ministrów, w sądownictwie dla uzyskania łagodniejszego wyroku, i drobniejsze: o opony samochodowe, atrakcyjny materiał ubraniowy, bilet na cieszący się wyjątkowym powodzeniem film, mecz, występ zagranicznego teatru. Ilość kombinacji jest niekończona, tak samo jak nieskończona jest ilość atrakcji, których posiadaczami lub uczestnikami chcą się stać ludzie pozbawieni ich w drodze normalnej. W kraju, gdzie przy pomocy „chodów” można załatwić wszystko, musi być z konieczności dużo ułatwaczy, z których tylko niewielu jest uczciwych, a żaden nie jest instytucją charytatywną i każe sobie dobrze zapłacić.

Grasuje w Polsce niemało ludzi, którzy mogliby swoje dochody — choć nie ich wysokość, bo jej nie znają — podać jako pożyczki. Pożyczając pieniądze u jednej osoby, a większą sumę u drugiej, można zwrócić pierwszej i pożyczyć u trzeciej. Są w tym zawodzie majstrowie, którzy mają po kilkadziesiąt tysięcy złotych długu i prowadzą całkiem radosne życie. O ile sprawa

o nadużycia, oszustwa, kradzieże może skończyć się w sądzie, to w jaki sposób można dochodzić zwrotu pożyczki.

Miasta w Polsce roją się od genialnych przedsiębiorców cierpiących na brak gotówki, i wobec tego szukających chętnych dla sfinansowania imprezy. W ogromnej większości wypadków zamierzone inwestycje są wynikiem konfabulacji, a jedynym realnym dla finansisty skutkiem będzie rozstanie się na zawsze z wręczoną geniuszowi gotówką. Wydaje się przy tym, że już nie jeden przybył z zagranicy padł ofiarą takiego dowcipu, jeżeli nawet i krajowi Polacy niezawsze potrafili uniknąć pokusy.

Na pograniczu chuligaństwa i kradzieży znajdują się zajęcia młodocianych, polegające na urywaniu tabliczek rejestracyjnych z samochodów, kolekcjonowaniu znaków fabrycznych, rysowaniu karoserii szkłem, i wreszcie już wyraźnie na dochód nastawione zabieranie wycieraczek z przedniej szyby, wykręcanie reflektorów, części silników a nawet całych silników z wozów pozostawionych bez opieki — a takich wozów przy głodzie garażowym, przewyższającym mieszkaniowy, jest ogromna większość. Od tego nie chronią strzeżone parkingi, zorganizowane w wielu miastach i miasteczkach, ośrodkach turystycznych, gdzie setki samochodów pilnuje zniedołężniały staruszek pobierając wysoką opłatę nie do kieszeni własnej, lecz dla swojej spółdzielni, która w zamian nie gwarantuje właściwie nic i nie bierze żadnej odpowiedzialności za rzeczy pozostawione w wozie. Mimo, że poziom kradzieży właściwie się znacznie podniósł i zamiast drobnych dochodów z cudzych kieszeni podskoczył na okradanie państwowych instytucji głównie od wewnątrz — należy jednak zawsze się liczyć z istnieniem pewnej liczby początkującej młodzieży, która nie pogardzi żadną formą i żadną sumą w uzyskaniu dochodu nieplanowanego, zwanego kradzieżą. Nie należy zostawiać walizek na peronie, ani w poczekalni, nie należy zostawiać rowerów ani motocykli, a przez otwarte okno w pociągu „wędkarze”, posługując się naprawdę zwykłą wędką z haczykiem, potrafią wyciągnąć palto z wieszaka. To nie są reguły, bo w sumie ludzie swą własność jakoś zachowują, ale nie należy o tym wszystkim zapominać, jeśli przyjechało się z kraju uczciwego, a przy tym trzeba też pamiętać, że u sąsiadów jest jeszcze gorzej.

Jeżeli wszystkie prawdy, o których piszę — a to są przecież niejako tylko sygnały, bo niemożliwą rzeczą jest danie pełnego obrazu codzienności w dzisiejszej Polsce — nieuprzedzony reemigrant odkryje sam na własnej skórze, jeżeli wyda mu się, że życie jednak jest bardziej brutalne czy surrealistyczne niż przypuszczał — to odwrotu dla niego już nie ma. To znaczy, przepraszam, jest. Ale bez pieniędzy, które nieopatrnie wwiózł do

kraju, bo ponieważ są to dewizy — może wyjechać, ale bez nich. Jak normalny, zwykły tubylec, dostając na pociechę pięć dolarów wiatyku.

Jeśli ktoś potrafi sobie „chodami” (znów chody!) załatwić prawo pobytu w Polsce i równocześnie paszport obcy — będzie mógł zapewne w kraju pracować i zarabiać złote polskie, ale przy wyjeździe zostanie potraktowany w sposób identyczny.

Jeżeli was, ewentualni reemigranci, jeszcze od powrotu na niepewne losy nie odstraszyłem — to to chyba stanie się ostatnim memento. Bo kto na tym świecie, nie mając gwarancji i absolutnej pewności, będzie ryzykował podróż do kraju, w którym nie wiadomo, czy potrafi się zaaklimatyzować, przyzwyczać, a może po prostu przeżyć.

Taką rzecz potrafią zrobić tylko uciekinierzy polityczni i ekonomiczni z krajów demokracji ludowej. Ale to nie wchodzi w zakres naszych zainteresowań. Przynajmniej na obecnym etapie i w tej książce.

R o z d z i a ł X

KONFRONTACJA

Polak na Zachodzie zdany jest na informacje o Polsce zawarte albo w prasie obcojęzycznej swego kraju, albo na prasę polską emigracyjną. I jeden i drugi gatunek prasy poświęca Polsce uwagę właściwie wtedy, kiedy stanie się coś niezwykle politycznie, albo nastąpi kataklizm w rodzaju powodzi, trąby powietrznej — czyli wypadki losowe i nader rzadkie. Najmniej miejsca poświęca się sprawom codziennym, jednostajnym dniom jak codzien, i nikt na dobrą sprawę nie wie: czym to się je.

Przeciętny cudzoziemiec po przyjeździe do Polski wydaje naiwne okrzyki zdziwienia na widok na przykład jogurtu, bo nigdy nie przypuszczał, że jogurt bywa za żelazną kurtyną. Przeciętny cudzoziemiec wyobraża sobie, że Polska, Chiny, Związek Radziecki, Albania i jeszcze parę krajów dotkniętych zarazą budowania socjalizmu — są nie tyle podobne w swym wyglądzie i sprawach najprostszych, ile identyczne. Ta dezinformacja jest źródłem największych zdziwień, nieporozumień i pomyłek.

Sprostowań nie należy szukać w prawodawstwie takich krajów, ani w ich konstytucji, bo jeżeli konstytucja PRL mówi, że praca jest obowiązkiem każdego obywatela, to jeszcze nie znaczy, że istnieje przymus pracy — bo takiego przymusu nie ma. I tak jest mniej więcej ze wszystkim. A zresztą, gdyby to było takie proste, to po co pisałbym tę książkę? Widać wyraźnie — mam nadzieję — z tego co dotąd napisałem, że o ile chce się jechać do Francji, Włoch czy Hiszpanii, idzie się (nie w Polsce oczywiście) do odpowiedniego biura podróży i otrzymuje wszelkie informacje w obfitości i w uprzejmym tonie. Natomiast żadne polskie biuro podróży, konsulaty, ambasady i td. nie jest w stanie tego zrobić, nie tylko dlatego, że musi podać informacje zgodne

z przepisami, ale i dlatego, że wyjaśnienia musiałyby zająć chyba parę tygodni. Książka zawierająca przepisy drogowe i samochodowe w PRL liczy sobie coś ponad tysiąc stron druku!

Przepisy w Polsce traktowane są jako ramy stworzone wyłącznie dla naiwnych, bo w powszechnym odczuciu załatwić można i trzeba wszystko, i tym „trzeba” mierzy się trudności i bariery przepisów mówiących coś przeciwnego. Ta prawda wynika z postawy: ja chcę, — i wobec tego robi się wszystko, by ten zamiar wprowadzić w życie, szuka się dróg, protekcji, chodów. Bo gdyby robiło się tylko to na co zezwala prawo, to pewnie niewiele by się działo. Ludzie w kraju ze zgrozą słuchają jak to w Bułgarii, na przykład, ludzie zarabiają tylko tyle ile państwo pozwoli i nikt nawet nie odważa się rozejrzeć za bokami, chałturami i fuchą. W Polsce to jest nie do pomyślenia. Z dwóch przyczyn: bo z oficjalnych zarobków by się nie wyżyło, i po drugie, ludzie nauczyli się mieć wymagania względem swej stopy życiowej i nawet życzą sobie luksusu takiego, na jaki ich stać.

Mówiąc najkrócej: stosunki i warunki życia w kraju można zrozumieć dopiero wtedy, kiedy zrozumie się, że Polacy żyją tak, jakby ustrój miał się rozsypać jutro, a równocześnie tak, jakby miał trwać wiecznie. Wbrew pozorom nie ma w tym stwierdzeniu sprzeczności, i parędziesiąt milionów ludzi daje na to codziennie potwierdzenie.

Formy tego są najróżniejsze, jak to widać z poprzednich rozdziałów, i właściwie prawie wszystkie prowadzą do celu: możliwie jak najznośniejszego życia zorganizowanego indywidualnie, jeśli państwo nie potrafiło tego zrobić — tak jak może by chciało — zbiorowo.

Ludziom przyjeżdżającym zza granicy, obojętne Polakom czy cudzoziemcom, zawsze wydaje się, że najważniejszy i najbardziej rzucający się w oczy będzie brak swobody osobistej obywateli kraju za żelazną kurtyną. Nic bardziej fałszywego. Polacy wewnątrz czują się nader swobodnie. Natomiast największe zagrożenia są z zupełnie innej strony. Jeżeli przeciętny Polak nie chce i boi się wojny to przede wszystkim dlatego, że boi się śmierci z głodu. Bo jeżeli w czasie pokoju jest tak źle z zaopatrzeniem sklepów spożywczych, to co dopiero byłoby w czasie wojny. Nie ratowałyby wtedy nawet wieś polska, która choć zamożna, a nawet zamożniejsza niż przed ostatnią wojną, byłaby ściśnięta dostawami obowiązkowymi tak jak tego nie potrafili zrobić Niemcy.

W okresie stalinowskim, ZMP, partia, warunki coraz ostrzejszego terroru przy równoczesnym stworzeniu warunków jak najlepszych dla ludzi potulnych, wytworzyły grupę ludzi może nawet

dosyć liczną, może głównie wśród młodzieży, która szczerze wierzyła we wszystko, co jej do wierzenia podawano. Razem z XX Zjazdem, Październikiem — to zniknęło, a owa młodzież jest chyba dziś najbardziej nihilistyczna i drugi raz nie pójdzie na żadne partyjne frazesy.

Dwadzieścia lat rządów komunistycznych nie wytworzyło żadnego nowego typu człowieka po myśli władców. A jeżeli jakiś nowy rodzaj powstał, to taki jak to widzieliśmy na poprzedniej setce stron tej książki. Minione dwadzieścia lat nie przekonały dosłownie nikogo o wyższości obecnego ustroju, natomiast stały się szkołą wiedzy praktycznej i teorii przeżycia, stosowanej do nawet najmniej temu sprzyjających warunków.

Są w Polsce ludzie, którzy mówią; jeśliby się obecny ustrój załamał, to Polska zginęłaby ekonomicznie, wykupiona żywcem przez obcy kapitał. Nie bałbym się tego. Czego jak czego, ale obrotności ludzie w kraju nauczyli się przez ubiegłe lata, a kapitały krajowe prywatne też by się znalazły dla podmienienia państwowego właściciela.

A jeśli jakieś obawy mogą być w pełni uzasadnione, to obawy niedoceny znaczenia Polski i potraktowania jej nie tak jak na to zasługuje przy ewentualnym podziale i rozdziale się w takiej nowej Europie.

Można na to znaleźć dowody w dzisiejszym stosunku do Polski widocznym na łamach prasy zagranicznej, dla której najdrobniejsze i praktycznie bez znaczenia wydarzenie w Związku Radzieckim ma więcej „prasy” niż poważniejsze znacznie sprawy zachodzące w Polsce. To prawda, że Polska, jej intelektualiści, myśl polityczna są bardziej ściśnięte niż w Rosji, ale to przede wszystkim dlatego, że każdy wolniejszy głos w Polsce jest właściwie głosem anty-komunistycznym w mniej lub bardziej zakamuflowany sposób, a podobne wystąpienia w innych krajach odbywają się na podstawie przyjęcia i uznania panującego ustroju, nawet bez prób podważania doktryny jako takiej. Więcej jeszcze, każdy wolniejszy głos w Polsce, nawet przyjmujący i zakładający kontynuację ustroju, przyjmowany jest przez szerokiego odbiorcę jako wystąpienie anty-komunistyczne. I to zapewne jest dla władz i dla ideologów stałym postrachem, trzymającym ich w ciągłym napięciu.

Spotkałem się ze zdaniem, że z Rumunii, Węgier, Czechosłowacji dochodzą odgłosy proponowanych reform ekonomicznych, a z Polski tylko śpiewy kościelne. To też jest niezrozumienie sytuacji, bo reform ekonomicznych, o których mowa, Polska już próbowała, i dawno stwierdził już *vox populi*, że one także prowadzą do nikąd, natomiast sprawy sporu kościelnego są proble-

mem politycznym, może niezawsze najzręczniejszym wygrywanym przez episkopat, ale niemniej o dużym znaczeniu na przyszłość. I nie ulega wątpliwości, że partia sama nie wie, co ma zrobić i jak całą sprawę zlikwidować po cichu, i możliwie bez jeszcze większych strat.

O wszystkim, o całej przyszłości kraju będą decydować sami mieszkańcy — nie o ustroju, bo żadna zmiana od wewnątrz nie jest w obecnych warunkach możliwa — ale do tego będzie potrzebna pomoc zewnętrzna. Kłopot tylko z tym, że Polacy w dużym stopniu utracili zaufanie do Zachodu, do obietnic danych i nie dotrzymany, dostając w zamian Jałtę, Teheran i Poczdam, wreszcie najlepszą naukę poświęcenia na ołtarzu *appeasement* rewolucji węgierskiej. I jeśli mimo wszystko, mimo trudności ekonomicznych, mimo nieuregulowanej sytuacji zewnętrzno-politycznej, mimo nieustannych przegranych na rzecz potężnego sąsiada zza Bugu — ludzie nie pogodzili się z losem, znaleźli sposoby przetrwania i przechowania jednak myśli o wolności politycznej kraju, a przy tym niezły humor — to jest to kraj, który zasługuje chyba na więcej uwagi ze strony tak zwanego wolnego świata. I wcale nie w sensie pouczania nas o tym czym są swobody obywatelskie, bo nawet jeśli były na ten temat kiedykolwiek jakiegokolwiek nieporozumienia, to zrozumienie głębsze tych swobód musiało przyjść samo po dwudziestu pięciu latach terroru hitlerowskiego i stalinowskiego.

I dopiero jeżeli nałożymy na siebie wszystkie trzy obrazy: Polaka-niepodległego duchowo, Polaka-handlowca i kombinatora i Polaka typu *wait and see*, otrzymamy pełny obraz swego rodzaju ogólnonarodowego rozstrojenia jaźni. Każdy obraz oglądany osobno da zawsze tylko jedną trzecią prawdy — a pełnię dojrzy tylko ten, kto zechce, pofatyguje się i przyjedzie naprawdę zainteresowany krajem zwanym Polską Ludową.

Stąd może bierze się tyle sprzecznych relacji o tym dziwnym kraju, bo jeśli nawet każda z nich będzie jakoś tam prawdziwa — to będzie to tylko część prawdy i niekoniecznie ta najlepsza, lecz za to pewnie powierzchowna.

Wracając na stałe do Polski Amerykanin, Brazylijczyk, Francuz czy Anglik nie prędko zapewne odkryje wszystkie warstwy, pod którymi skryta jest prawda. A ja chciałbym w tym trochę pomóc.

Co trzeba zrobić, by samemu — bo książka nie da nigdy obrazu absolutnie pełnego — dojść do tego czym i jaka jest dzisiejsza Polska? Chyba przede wszystkim odrzucić wszelkie sądy *a priori*, zarówno krajowo-prasowe jak i zagraniczne. Zacząć może tak jak Melchior Wańkowicz, od szukania wieczornych

koncertów żab w zarośniętym rześą stawie. Może od gorących dyskusji w gronie znajomych i przyjaciół, którym te sprawy nie są obce. Może od obejrzenia tego czym jest Polska dzisiejsza przynajmniej w swym wyglądzie zewnętrznym: krajem nieustannych przemian ekonomicznych i przede wszystkim społecznych.

Jeżeli zdecydowaliście się wracać.

Wiem, że patrząc z Polski na Związek Radziecki przeciętny Polak nie widzi ludzi, tylko jedną olbrzymią twarz o zamazanych, mglistych rysach, budzącą niechęć i lęk, i nawet pewnego rodzaju pogardę. I obawiam się, że niejeden może, patrząc z Zachodu na Polskę nie dostrzega za jej nazwą trzydziestu dwu milionów ludzi myślących bardzo indywidualnie, tak samo postępujących, którzy w swym podejściu do rzeczywistości dnia codziennego mają może jeden tylko punkt styku: nienawiść do ustroju. Bez względu na to czy są urzędnikami państwowymi, miejskimi, chłopami, badylarzami, czy hodują psy rasowe, ślimaki, czy chałturzą na marginesie literatury. Wszyscy zgodziliby się na pewno na jedno: zmienić to co jest. Ale tymczasem żyją w tym co jest, bo inaczej nie można, choć żyć wcale nie jest łatwo.

Jeżeli żyją ludzie w Polsce czasem dość radośnie, to chyba jest to jakaś nieuświadomiona kłapa bezpieczeństwa psychicznego. A wzrost spożycia alkoholu i przyspieszenie cyrkulacji dowcipów politycznych są symptomami lepszych czy gorszych dni.

Taką codzienność każdy nowoprzybyły zrozumie dosyć szybko, choć na odczucie potrzeb tego typu będzie musiał poczekać. Ale i one przyjdą.

Tak jak ze wszystkim w tym ustroju, tak samo się stało z losami tak zwanego społeczeństwa bezklasowego. To znaczy stało się odwrotnie, niż to przewidział Marks & Co. W dzisiejszej Polsce rozwarstwienie posunęło się chyba dalej niż kiedykolwiek, bo po pierwsze pozostały na miejscu dawne szacunki dla tytułów profesorskich, doktorskich, czasem nawet arystokratycznych, a doszły nowe tytuły: partyjne, badylarskie, szacunek dla ciężkiej forsy obrotnych obywateli, co jeszcze nie ułatwia im wejścia do towarzystwa ludzi obdarzonych wykształceniem czy talentem pokwitowanym legitymacją któregoś ze związków twórczych. Rozwarstwiła się więc nie tylko, jak to dzielono za czasów minionego okresu, na kułaków, średniaków i biedniaków, ale i na hodowców, farmerów, chłopo-robotników, z których ci ostatni nie są znów uważani przez zwykłych robotników za sobie równych. W wykrzywionej historii społecznej Polski raptem zaczyna brakować miejsca na proletariats fabryczny. Bo nikt nie chce się za proletariats uważać. Awans społeczny, rzecz kiedyś wyśmiana, kiedy to bywali dyrektorzy z awansu, stał się rzeczywistością,

ale też nie tak, jak to sobie wymarzyła partia. Sprawa ważności stanowiska, które może nie dawać wystarczających funduszy na przeżycie do końca miesiąca, jest wynikiem obawy zdeklaszowania się, ale i chęć i konieczność zarabiania czyni cuda, i na przykład urzędnik Ministerstwa Finansów w niedzielę chodzi po prywatnych domach z prywatnie importowaną maszynką i strzyże psy; żona wysokiego urzędnika MSZ robi w domu sweterki na maszynie tkackiej, przywieszonej z zagranicznej placówki — by uzupełnić kiepską pensję, dopóki znów na następną placówkę się nie pojedzie; warszawiacy zamieniają swe mieszkania w centrum na dalekie przedmieścia tak zwanej zielonej Warszawy, w nadziei, że prędzej czy później ogródki uprawiane na własne potrzeby będzie można zamienić na badylarskie przedsiębiorstwo. Można tak bez końca mówić o ludzkim przystosowaniu się, a nie zapominajmy, że strzyżący psy urzędnik, jeżeli nawet nie należy do partii, to jednak bywa na zebraniach, chodzi na pochody pierwszomajowe i w rocznicę Rewolucji Październikowej śpiewa Międzynarodówkę. Oczywiście śpiewa jak najszybciej, bo dzień jest wolny od pracy i po akademii ma randki z psimi klientami.

Dziwny kraj? Chyba nie.

Niektórzy ludzie za granicą wyobrażają sobie, że w Polsce nawet podoficerowie nie tylko oficerowie w armii są „sowieciarzami”. Błąd. To nie jest potrzebne: instynkt samozachowawczy, odruchy warunkowe. Niedarmo Pawłow był Rosjaninem.

Niektórzy przybysze zza granicy sądzą, że Pałac Kultury i Nauki jest instytucją radziecką, obsadzoną przez sztab ruskich Kulturtraegerów, a tymczasem mieszczą się tam tak czcigodne instytucje jak Polska Akademia Nauk, parę redakcji, parę teatrów, kina, a uroczyste i hieratyczne kamienne postacie trzymanym w rękę Marksem czy Engelsem wskazują ludowi drogę do nocnego lokalu w podziemiach, gdzie skaczą półnogie tancerki, wcale nie w takt pieśni rewolucyjnych.

Znajomy sklepikarz prywatny, który chętnie upłynnia znaczne nadwyżki zarobkowe z pełnej butelki we wszystkich możliwych nocnych knajpach, nosi przy sobie skarbowe rozgrzeszenie od domiaru, które nabył za kilkanaście tysięcy w swoim urzędzie skarbowym. To na wypadek, gdyby miał do niego o coś żal któryś z kontrolerów skarbowych grasujących po lokalach.

W takiej knajpie zawsze gdzieś siedzi w kącie przedstawiciel Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, którego zadaniem jest trochę pilnowanie porządku, a trochę pewnie prawomysłowości pijackich okrzyków, i dążeniem każdego ululanego Polonusa jest upicie takiej ochrony, a jeszcze lepiej zmuszenie słabogłowego milicjan-

ta do złożenia paru anty-państwowych deklaracji. Bywało tak, i to nie raz.

Mimo wszystkich zmian na gorsze, jakie są łatwe do zaobserwowania w ostatnich latach, mimo stanowczego odrotu od Październikowych „ideałów” Gomułki, Polska nadal w niektórych krajach ościennych ma opinię kraju niezwykle wolnego. Rosjanie, którzy od pięćdziesięciu lat uczyli się dorabiania i dokradania, nielegalnego handlu, czarnego rynku — wysoko sobie cenią względne swobody handlowe kraju między Odrą i Bugiem. Toteż zięć Polak jest wart na rynku moskiewskim i leningradzkim samochodu i kilkudziesięciu tysięcy rubli posagu, bo mając w Polsce rodzinę będzie się do niej jeździć bez większych trudności i dostarczać do radzieckich sklepów komisowych towar, który jak dotąd tylko polskie Pociągi Przyjaźni przywożą.

Kiedy umarł Stalin trochę ludzi żałowało go szczerze, bo za mało o nim wiedzieli, a w każdym razie nie tyle ile Nikita Siergiejewicz, ale jeszcze więcej martwiło się raczej tym, co się potem stanie. Podobnie chyba i teraz ludzie boją się jakichś stale jednak wiszących w powietrzu zmian, bo lepsze jest to, co jest: wielkość wiadoma, niż niepewna przyszłość. W czasach nawet tak wątpliej jak dzisiejsza stabilizacji można się jakoś urządzać, planować na przyszłość biorąc poprawkę na nigdy nieprzewidziane pomysły partyjno-finansowe, ale każda zmiana może stać się katastrofą. Bo wszyscy wiedzą, że zmiany mogą być przede wszystkim na gorsze, i niezmiernie rzadko na lepsze.

Gdyby zamach na Gomułkę, dokonany przed kilku laty, był podany do wiadomości publicznej, ludzie pewnie by się nawet szczerze oburzali — nie dlatego, żeby uwielbiali Gadułkę, ale dlatego, że w dzisiejszym układzie nie widać kto od niego mógłby być lepszy: Moczar? Kliszko? Gierek?

Taka postawa ogółu wcale nie oznacza przywiązania do ustroju, tylko świadomość, że książe Lech zupełnie niepotrzebnie zatrzymał się w województwie poznańskim, i tego się już dziś nie zmieni.

Dziwny kraj? Wcale nie.

Jeżeli Polska leży w tym punkcie Europy, w takim otoczeniu — to nikt już na to nic nie poradzi i sprawy życia codziennego załatwia się, jak to starałem się wykazać, najbardziej prywatnymi pomysłami. W końcu można przyjąć, że postrzyżyny Ziemowita przez dwa anioły (czy jak chcą inni przez Cyryła i Metodego — Cyryl jak Cyryl ale te metody... — mawiano w czasach kiedy praska komenda UB mieściła się na ulicy noszącej imię owych dwóch słowiańskich świętych) były pierwszym w dziejach zajęciem wykonanym ubocznie, czyli mówiąc po dzisiejszemu: chał-

turą. I tak zostało do dziś, jeżeli nawet Ministerstwo Kultury nazywa się popularnie Ministerstwem Chałtury i Szutki, milicjanci po wsiach pędzą bimber, urzędnicy handlu zagranicznego handlują znaczkami i kawiozem, inni szyją buty dla prywatnych kupców, pułkownik WP produkuje prywatnie syrop na kaszel, a drugi sacharynę — z czym się ukrywają, nawet nie dlatego, żeby się specjalnie czegoś obawiali, ale dla uniknięcia zdeklasowania. Dziwny kraj? Dziwny.

Przyjeżdża do Polski, wraca na stałe, nawet dość dużo ludzi starych — jak mówią — dla złożenia kości na swej rodzinnej ziemi, do której tęsknili przez długie lata pracy na obczyźnie. I w granicach rozsądku, to jest jedyne rozwiązanie godne pochwały i zalecenia. Bo nie wiem, czy ktoś, komu wypadnie żyć w Polsce Ludowej przez lat kilka czy kilkanaście — potrafiłby tego dokonać.

Jeżeli prasa na świecie donosi stale i przekonuje wszystkich, że życie za żelazną kurtyną jest bezlitosne i niemożliwe, — to przecież autorzy tych enuncjacji nie zakosztowali tego życia naprawdę, a wiadomości swoje czerpali z doświadczeń tak strasznych jak na przykład brak soku grapefruitowego w Europejskim, albo toniku we Francuskim. Bo ja twierdzę, że żyć w demoludach da się, jeżeli się musi. Bo inaczej nie ma po co.

Człowiek jest jak wiadomo koroną stworzenia, kontynuacją małpy, najwyżej ukonstytuowanym ssakiem i brzmi dumnie, — i zawsze potrafi jakoś przeżyć albo w formie korony stworzenia, albo darwinowskiej małpy, albo... ekonomicznego czy politycznego uciekiniera. I dopiero w tej trzeciej formie dobrze jest czasem, za lat ileś tam, przyjechać do kraju na parę tygodni i popatrzeć okiem znawcy, któremu nic nie jest obce, jak daleko posunęła się mimikra, bo to o czym będą na dożynkach, albo na polonijnym zjeździe mówili politycy — znamy już od dawna na pamięć, i nie wierzymy. Bo wiemy, że oni też w to co mówią — nie wierzą.

POSŁOWIE

Zamiast pisać tygodniami stronę po stronie, składać pracowicie w całość książkową — można by wszystkie poprzednie strony streścić jednym zdaniem. Na czym polega różnica między krajami Zachodu i demokracjami ludowymi? Przede wszystkim, jeżeli nie wyłącznie, na tym, że państwo kapitalistyczne jest tak zamożne jak zamożni są jego mieszkańcy, a obywatele demokracji ludowej są tak biedni jak państwo im na to pozwoli. Ludzi w Polsce śmieszą artykuły zagranicznych publicystów, którzy po zachodniemu wyliczają jakie kolosalne pieniądze muszą kosztować radzieckie sukcesy astronautyczne. Bo w Polsce się rozumie, że to są sprawy, których w tamtym systemie nie liczy się w rublach, lewach czy złotych, ale w tym, o ile obniża się stopę życiową ludności na rzecz państwowo-ważnych i ambicjonalnych eksperymentów. Przy czym cyfry takie miną nawet nie dostrzeżone i nieświadomione, bo zawarte są w tajnych pozycjach budżetowych, i są wielkością spisaną na straty — przynajmniej dla ludności.

Biolodzy, zoologowie, ostrzegają posiadaczy domowych ulubieńców: psów, kotów, przed przypisywaniem im ludzkich reakcji. I *mutatis mutandis* to samo trzeba powiedzieć o oglądaniu z zewnątrz systemu komunistycznego: przypisuje mu się reakcje na sposób kapitalistyczny, podczas gdy jest to świat zupełnie różny od reszty świata.

Nie dotyczy to ludzi, bo ludzie poruszają się, bo muszą, w ramach tego ustroju, ale tego co ogląda się z zewnątrz: obraz tego świata jest obrazem państwa, a nie kraju. Stąd powstał pomysł pokazania na Zachodzie „czym to się je”.

Jeździ z Polski na Zachód bardzo wielu ludzi: służbowo, turystycznie, do rodzin, do znajomych. I można przecież, na ich przykładzie, doświadczalnie sprawdzić to o czym od paru tygodni pisałem. Jeżeli mamy do czynienia z poważnym historykiem, albo

geologiem posługującymi się językiem pełnym „alienacji adekwatnych do sfrustrowanego behawioryzmu” — powiedzmy mu od niechcienia: „A wie pan, że widziałem wczoraj Volkswagena po dwudziestu tysiącach, z pierwszych rąk za sto funtów”. — I wtedy czekajmy spokojnie na reakcję łańcuchową. Jestem pewien, że ten niegodny trick można zastosować z pełnym powodzeniem wobec każdego Polaka aż do Cyrankiewicza w górę, wyłączając jednak Gomułkę.

Zawsze mi się zdawało, i jestem tego pewien dziś bardziej niż kiedykolwiek, że przemysł lekki i motoryzacyjny na Zachodzie są największym niebezpieczeństwem dla ustroju panującego na wschód od Łaby. Chyba dobrze podchwycił tę nutę pewien rysownik w kraju, który pod zdjęciem komisju z tłumem ludzi przed wystawą, dał podpis: „okno na świat”. I jeżeli tak jest, to możemy być spokojni o przyszłość młodzieży, wychowywanej wizualnie na szmuglowanych produktach z *soldes'ów*, *sales'ów* i *Verkauf'ów* — uważającej jednak tę chałę za szczyty wykwintu światowego.

W kraju, gdzie nie trudno o wiślanego łososia i rosyjski kawior, potrawami najwytworniejszymi — chyba na zasadzie importowanej egzotyki — pozostają limfjordskie moule i portugalskie sardynki. (Moi czytelnicy zagraniczni będą świetnie wiedzieli, że chodzi o spyżę na Zachodzie najtańszą).

Mądrość państwowa — istnieje takie pojęcie — nakazuje ustępstwa gustom i zachciankom ludności, bo takie rzeczy jednak się do Polski sprowadza, a za fanaberie smakowe każe się tylko płacić haracz, czyniąc z tych produktów luksusy na stoły ludzi zamożnych albo snobów.

Ze strawą duchową jest gorzej, bo chyba te zagadnienia bardziej zeszyły na psy w ciągu ostatnich stu lat. Kiedyś Sienkiewicz pisał „Trylogię” „ku pokrzepieniu serc”, a jeżeli dziś Wajda kręci „Popioły” to jako rozrachunek z przeszłością bo z teraźniejszością mu nie wolno. Z teraźniejszością można rachować się wydając książki na Zachodzie, bo w Polsce przyniosłyby one wprawdzie chleb, ale raczej wyłącznie z wodą i spożywany nie z wolnej stopy. Zresztą książki takie nie budzą wielkiego zainteresowania u ludzi, których powinno w końcu interesować jak myślą obywatele pod ich rządami, w ustroju przez nich wykoncypowanym. Natomiast, tak jak to przewidziałem, interesuje ich wyłącznie: kto to jest Fleming.

Minęły miesiące od wydania przez Institut Littéraire w Paryżu mojej pierwszej książki. Miesiące pełne napięcia dla aniołków-podsłuchiowaczy. Wyznaczono nagrody za wskazanie, *who is who*.

Cieszy mnie to wszystko niewymownie. Bo jest najlepszym dowodem, że napisałem rzecz prawdziwą: gdyby tak nie było, to można by książkę spokojnie wyśmiać na łamach prasy partyjnej i „niezależnej”.

Nie jest żadną tajemnicą, że książek prawdziwych o Polsce dzisiejszej w Polsce nie ma. Jeżeli są jakieś nieśmiałe próby, to są one tak „literackie”, symboliczne, przenoszące akcję w okolice biblijnego potopu, że tylko nieliczni mogą w nich rozpoznać próbę obrachunku ze współczesnością. Nie robi się tak z przyjemności; wreszcie po Październiku ujrzało światło dzienne — choć na krótko, bo w periodykach — kilka nowel i opowiadań, nie gorszych od Sołżenicyna czy Daniela i Siniawskiego — ale dla cenzury, dla usatysfakcjonowania kilku partyjnych podskakawiczów, którzy z radością donieśliby komu trzeba o tym jaką to książkę wydał ktoś tam. A o Flemmingu musi być jeszcze cicho, bo który by się przyznał głośno, że czytał. Bo skąd ma egzemplarz? Ze szmuglu?



To są jednak sprawy, które zajmują przede wszystkim tzw. *high-life*, wierchuszkę, *obere Zehntausend*. Ja starałem się dać odpowiedź na pytanie postawione w tytule i zawrzeć na tych stronach sumę rad dla ludzi, którzy w bliższej lub dalszej przyszłości noszą się jednak z zamiarem powrotu do Polski.

Jeśli tę odpowiedź udało mi się dać — będę zadowolony.

S P I S T R E Ś C I

<i>Wstęp</i>	7
Rozdział I — <i>Jak zdobyć mieszkanie?</i>	10
Rozdział II — <i>Jak robić pieniądze?</i> (Bez zbytej pracy i możliwie legalnie)	19
Rozdział III — <i>Jak zrobić karierę?</i>	30
Rozdział IV — <i>Jak być w Polsce turystą?</i> (I przeżyć) ..	36
Rozdział V — <i>... w Polskę!</i>	57
Rozdział VI — „ <i>Właściciele Polski Ludowej</i> ”	68
Rozdział VII — <i>Prowincja</i>	83
Rozdział VIII — <i>Prowincja?</i>	90
Rozdział IX — <i>Wracają...</i>	99
Rozdział X — <i>Konfrontacja</i>	119
<i>Postowie</i>	127

**A C H E V E D'IMPRIMER
LE 14 NOVEMBRE 1966
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e)**

Dépôt légal : 4^e trim. 1966

Dar
Biblioteka Polska
Paryż

Cena 10 F. (dol. 2,25; 15/-)